

# KASS MORGAN

11611

The number '11611' is rendered in a large, bold, sans-serif font. Each digit is filled with a different scene from the movie 'Interstellar': the first '1' shows a server room; the second '1' shows a close-up of a character's face; the '6' shows a couple kissing; the first '1' shows a sunset over a desert landscape; the second '1' shows a man in a dark coat looking down.

100

The number '100' is rendered in a large, bold, sans-serif font. Each digit is filled with a different scene from the movie 'Interstellar': the '1' shows a futuristic cityscape; the '0' shows a close-up of a woman's face; the second '0' shows a rocket launch from a planet's surface.

# ROZPOCZĘŁO SIĘ ODLICZANIE

2:48... 2:47... 2:46...

Bellamy robił głupie rzeczy  
przez całe życie.  
Dlaczego miałby przestać właśnie teraz?

1:32... 1:31... 1:30...

Glass wiedziała, że tego nie przeżyje.  
Chciała jednak się z kimś zobaczyć  
– po raz ostatni.

0:45... 0:44... 0:43...

Wells spojrzął na dziewczynę, którą kochał.  
Może kiedyś mu wreszcie wybaczyć?

0:03... 0:02... 0:01...

Clarke zamknęła oczy  
i zaczęła się zastanawiać,  
czy już czas umierać.

# Spis treści

Karta tytułowa	
Karta redakcyjna	
Rozdział 1. Clarke	
Rozdział 2. Wells	
Rozdział 3. Bellamy	
Rozdział 4. Glass	
Rozdział 5. Clarke	
Rozdział 6. Wells	
Rozdział 7. Bellamy	
Rozdział 8. Glass	
Rozdział 9. Clarke	
Rozdział 10. Bellamy	
Rozdział 11. Glass	
Rozdział 12. Clarke	
Rozdział 13. Wells	
Rozdział 14. Bellamy	
Rozdział 15. Clarke	
Rozdział 16. Glass	
Rozdział 17. Wells	
Rozdział 18. Clarke	
Rozdział 19. Bellamy	
Rozdział 20. Glass	
Rozdział 21. Clarke	
Rozdział 22. Wells	
Rozdział 23. Bellamy	
Rozdział 24. Glass	
Rozdział 25. Bellamy	

Rozdział 26. Clarke

Rozdział 27. Wells

Rozdział 28. Glass

Rozdział 29. Bellamy

Rozdział 30. Clarke

Rozdział 31. Glass

Rozdział 32. Wells

Rozdział 33. Bellamy

Rozdział 34. Glass

Rozdział 35. Clarke

Rozdział 36. Wells

Podziękowania

Okładka

**KASS MORGAN**

**MISJA**  
***100***

przełożył  
Maciej Studencki

BUKOWY • LAS

TYTUŁ ORYGINAŁU: *The 100*

Copyright © 2013 by Alloy Entertainment

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Copyright © for the Polish edition and translation by

Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2015

ISBN 978-83-64481-81-9

PROJEKT OKŁADKI: Elizabeth H. Clark i Liz Dresner

REDAKCJA: Anna Rojkowska

KOREKTA: Anna Miecznikowska

REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:

Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.

ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław

[www.bukowylas.pl](http://www.bukowylas.pl), e-mail: [biuro@bukowylas.pl](mailto:biuro@bukowylas.pl)



WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:

Firma Księgarska Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Sp.j.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. 22 721 30 11, fax 22 721 30 01

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl), e-mail: [fk@olesiejuk.pl](mailto:fk@olesiejuk.pl)

Skład wersji elektronicznej: [pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

*Rodzicom i dziadkom – z wyrazami miłości  
i wdzięczności*

# ROZDZIAŁ 1

Clarke

Przesuwne drzwi otworzyły się szeroko. „Już po mnie”, pomyślała Clarke.

Utkwiła oczy w butach strażnika i opanowała gwałtowny atak paniki. Uniosła się na łokciu, odklejając koszulę od zapoconej pryczy, czując tylko ulgę, że wszystko się już kończy.

Przeniesiono ją do izolatki po tym, jak zaatakowała strażnika, ale w przypadku Clarke izolacja nigdy nie była pełna. Gdziekolwiek się znajdowała, wszędzie słyszała głosy. Mówiły do niej z kątów ciemnej celi, wypełniały ciszę pomiędzy uderzeniami pulsu, odzywały się z najgłębszych zakamarków umysłu. Nie chciała umierać, jeżeli jednak miałyby to być jedyny sposób na uciszenie głosów, była gotowa na śmierć.

Została Odosobniona za zdradę, lecz prawda wyglądała o wiele gorzej, niż ktokolwiek mógł sobie wyobrazić.



Nawet gdyby jakimś cudem podczas ponownego procesu została ułaskawiona, nie przyniosłoby jej to ulgi. Bolesne wspomnienia doskwierały jej bardziej niż ściany celi.

Strażnik odchrząknął i przestąpił z nogi na nogę.

– Więzień cztery tysiące dziewięćdziesiąt osiem, proszę wstać!

Był młodszy, niż mogła się spodziewać, a niebieski mundur wisiał na nim jak na tyczce, zdradzając, że jego właściciel zaciągnął się dopiero niedawno. W wypadku tego chłopaka kilka miesięcy wojskowych racji żywnościowych nie wystarczyło, by zatrzeć ślady niedożywienia i biedy panującej na pokładach zewnętrznych statków Kolonii, „Waldena” i „Arkadii”.

Clarke odetchnęła głęboko i wstała.

– Ręce przed siebie – powiedział, wyciągając z kieszeni uniformu metalowe kajdanki.

Clarke zadrżała, kiedy ich dłonie zetknęły się przelotnie. Od kiedy przeniesiono ją do nowej celi, nikogo nie widziała, a tym bardziej nie dotykała.

– Za ciasne? – zapytał oficjalnym tonem, w którym dało się jednak usłyszeć nutę współczucia. Sprawiała ona, że Clarke poczuła w piersi dojmujący ból. Już od dawna nikt nie okazywał jej współczucia – poza Thalią, jej była towarzyszką z celi i jedyną przyjaciółką na świecie.

Potrząsnęła głową.

– Siadaj na pryczy, doktor już idzie.

– Robią to tutaj? – zapytała ochryple Clarke, z trudem wyduszając słowa.

Jeżeli nadchodził doktor, oznaczało to, że zrezygnowano z ponownego procesu. Nie powinno jej to zaskoczyć: zgodnie z prawami Kolonii egzekucje na dorosłych wykonywano niezwłocznie po wydaniu wyroku, ale nieletni podlegali Odosobnieniu, dopóki nie skończyli osiemnastu lat. Wtedy dawano im jeszcze jedną, ostateczną szansę na przedstawienie swojej sprawy radzie. Ostatnio jednak – nawet po ponownym procesie – skazańców tracono za przestępstwa, za które jeszcze kilka lat wcześniej zostaliby ułaskawieni.

Mimo to Clarke nie mogła uwierzyć, że śmiertelny wyrok zostanie wykonany w celi. Spodziewała się, że czeka ją ostatni, długi spacer do szpitala, w którym spędziła tyle czasu podczas stażu – ostatnia szansa, by znaleźć się w znajomym otoczeniu, nawet jeżeli przed śmiercią poczuje tylko zapach środka dezynfekcyjnego i usłyszy szum klimatyzacji.

Strażnik, unikając jej wzroku, odezwał się:

– Siadaj, powiedziałem!

Clarke zrobiła kilka kroczków i usadowiła się sztywno na krawędzi wąskiej pryczy. Wiedziała, że izolacja zaburza poczucie czasu, ale trudno jej było uwierzyć, że spędziła samotnie niemal sześć miesięcy. W porównaniu z tym rok w celi z Thalią i jeszcze jedną dziewczyną, Lise, która uśmiechnęła się po raz pierwszy dopiero wtedy, gdy zabierano Clarke do izolatki, był całą wiecznością. Nie widziała jednak innej możliwości. Dziś musiały przypadać jej osiemnaste urodziny, a jedynym prezentem, jaki na nią

czekał, była strzykawka z płynem, który sparaliżuje mięśnie, aż serce przestanie bić. Potem zaś jej martwe ciało zostanie zgodnie ze zwyczajami Kolonii wyrzucone ze statku, by bez końca krążyć w przestrzeni kosmicznej.

W drzwiach pojawił się następny gość, wysoki, szczupły mężczyzna. Sięgające do ramion siwe włosy częściowo zasłaniały odznakę na kołnierzu kitla. Clarke mimo to rozpoznała głównego medycznego doradcę rady, doktora Lahiriego. Przed Odosobnieniem spędziła niemal rok u jego boku; nie potrafiłaby policzyć, ile razy asystowała mu podczas operacji. Inni stażyści zazdrościli Clarke przydziału, a kiedy odkryli, że doktor Lahiri był jednym z najbliższych przyjaciół jej ojca, oskarżali ją nawet o nepotyzm. Przestali to robić po egzekucji jej rodziców.

– Cześć, Clarke – rzucił przyjacielskim tonem, jakby witał ją w szpitalnej kantynie, a nie w więziennej celi. – Jak się masz?

– Myślę, że lepiej niż za chwilę.

Doktor Lahiri zazwyczaj nagradzał przejawy czarnego humoru Clarke uśmiechem, ale tym razem skrzywił się tylko.

– Czy mógłby pan zdjąć te kajdanki i zostawić nas na chwilę samych? – poprosił strażnika.

Mężczyzna poruszył się niezdecydowanie.

– Nie wolno mi pozostawiać jej bez straży.

– Może pan przecież pełnić straż z tamtej strony drzwi – powiedział doktor z przesadną cierpliwością. – To

nieuzbrojona siedemnastolatka. Sądzę, że potrafię sobie z nią poradzić.

Funkcjonariusz zdjął Clarke kajdanki, usiłując nie patrzeć jej w oczy. Ukłonił się krótko doktorowi i wyszedł z celi.

– Miał pan na myśli „nieuzbrojona osiemnastolatka” – poprawiła go Clarke, starając się przywołać na twarz grymas, który według niej był uśmiechem. – Czy też zamienił się pan w jednego z tych szalonych naukowców, którzy nie wiedzą, jaki mamy rok?

Właśnie taki był jej ojciec. Zapomniał kiedyś zaprogramować oświetlenie w mieszkaniu i skończyło się to tym, że wyszedł do pracy o czwartej rano, zbyt pochłonięty swoimi badaniami, by zauważyć, że korytarze statku są jeszcze puste.

– Wciąż jeszcze masz siedemnaście lat, Clarke – wyjaśnił doktor Lahiri spokojnym, flegmatycznym tonem, którego używał zazwyczaj wobec pacjentów wybudzających się z pooperacyjnej narkozy. – Siedziałaś w izolatce przez trzy miesiące.

– W takim razie co pan tu robi? – zapytała, nie potrafiąc ukryć paniki w głosie. – Prawo mówi, że musi pan poczekać, dopóki nie skończę osiemnastu lat!

– Nastąpiła zmiana planów. To wszystko, co wolno mi powiedzieć.

– Ach, więc wolno panu mnie zabić, ale nie wolno ze mną porozmawiać? – Pamiętała doktora Lahiriego z sali sądowej. Wyczytała wtedy z jego ponurej twarzy

dezaprobatę dla procesu jej rodziców, ale teraz nie była już tego pewna. Nie wstawił się za nimi – ani on, ani nikt inny. Siedział tylko i milczał, podczas gdy rada uznała, że dwoje najznakomitszych naukowców z „Feniksa” naruszyło Kodeks Gai, zbiór zasad ustanowionych po kataklizmie, by zapewnić ludzkiej rasie przetrwanie. – A co z moimi rodzicami? Ich też pan zabił?

Doktor Lahiri zamknął oczy, jak gdyby słowa Clarke zmieniły się w coś widzialnego i groteskowego.

– Nie przyszedłem, żeby cię zabić – rzekł spokojnie. Otworzył oczy i wskazał taboret obok pryczy. – Mogę usiąść?

Kiedy Clarke nie odpowiedziała, doktor zrobił dwa kroki i siadł naprzeciwko niej.

– Pokaż mi, proszę, swoje ramię.

Clarke poczuła, jak mięśnie jej klatki piersiowej sztywnieją, i zmusiła się do oddychania. Kłamał. W okrutny sposób kłamał, ale za minutę wszystko się już skończy...

Wyciągnęła ku niemu dłoń. Doktor sięgnął do kieszeni kitla i wyciągnął chusteczkę pachnącą środkiem odkażającym. Clarke zadygotała, kiedy przecierał nią jej ramię.

– Nie martw się, to nie zaboli.

Z całych sił zacisnęła powieki.

Przypomniała sobie udręczony wzrok Wellsa, kiedy strażnicy wyprowadzali ją z pomieszczeń rady. Wściekłość, podczas procesu pożerająca ją gwałtownym płomieniem,

dawno już się wypaliła, lecz myśl o Wellsie posłała przez jej ciało nową falę gorąca, tak jak umierająca gwiazda emituje ostatni błysk światła, zanim zapadnie się w nicość.

Jej rodzice byli martwi, i to wyłącznie z jego winy.

Doktor Lahiri trzymał jej ramię, a jego palce szukały żyły.

„Mamo, Tato, zaraz się zobaczymy”.

Jego dłoń zacisnęła się. To było to.

Clarke zaczerpnęła głęboko powietrza, czując ukłucie po wewnętrznej stronie przegubu.

– No. Gotowe.

Gwałtownie otworzyła oczy. Spojrzała w dół i zobaczyła na ramieniu metalową bransoletę. Przebiegła po niej palcami i skrzywiła się, czując na skórze tuzin drobnych igiełek.

– Co to jest? – zapytała z obawą, odsuwając się od doktora.

– Spokojnie – odparł flegmatycznie. Jego brak emocji zaczynał ją powoli irytować. – To przełącznik monitorujący stan zdrowia. Będzie śledził twój oddech, badał skład krwi i zbierał różne użyteczne informacje.

– Użyteczne dla kogo? – spytała Clarke.

Wyczuwała już, co odpowie doktor, a w żołądku rosła jej wielka kula strachu.

– Ostatnio w nauce dokonano kilku niebywałych odkryć – oznajmił doktor Lahiri, a jego słowa brzmiały jak słaba imitacja przemowy ojca Wellsa, kanclerza Jahy, z okazji ceremonii pamięci. – Powinnaś być bardzo dumna,

to dzięki twoim rodzicom.

– Moi rodzice zostali straceni za zdradę!

Doktor popatrzył na nią z dezaprobatą. Rok wcześniej Clarke skurczyłaby się ze wstydu, ale teraz odpowiedziała mu równie twardym spojrzeniem.

– Nie psuj tego, Clarke. Masz szansę postąpić odpowiednio i zadośćuczynić przerażającej zbrodni twoich rodziców.

Pięść dziewczyny z głuchym trzaskiem trafiła w twarz doktora, a zaraz potem jego głowa z łomotem odbiła się od ściany. Kilka sekund później strażnik wykręcił Clarke ręce za plecami.

– Wszystko w porządku, sir? – zapytał.

Doktor Lahiri powoli wracał do pozycji siedzącej, trącając szczękę i mierząc rozmówczynię wzrokiem, w którym wściekłość mieszała się z rozbawieniem.

– Przynajmniej wiemy, że będziesz w stanie obronić się przed innymi przestępcami, kiedy już tam będziesz.

– Gdzie będę? – wystękała Clarke, usiłując uwolnić się z uchwytu strażnika.

– Dzisiaj opróżniamy centrum zatrzymań. Setka kryminalistów dostanie szansę stworzenia nowej historii. – Kąciaki ust doktora rozciągnęły się w złośliwym uśmiešku.  
– Lecisz na Ziemię.

# ROZDZIAŁ 2

Wells

Kanclerz postarzał się. Choć nie minęło nawet sześć tygodni, od kiedy Wells widział swojego ojca, ten wyglądał na starszego o całe lata. Na jego skroniach można było zauważyć nowe pasma siwizny, a zmarszczki wokół oczu pogłębiły się.

– Powiesz mi w końcu, dlaczego to zrobiłeś? – zapytał kanclerz zmęczonym głosem.

Wells poruszył się niespokojnie na krześle. Czuł, jak prawda ciśnie mu się na usta. Wolałby nie rozczarować ojca, ale nie chciał ryzykować – zanim nie zyska pewności, czy jego brawurowy plan wypalił.

Unikał spojrzenia kanclerza, rozglądając się po pokoju i usiłując zapamiętać wszystko, co widział zapewne po raz ostatni w życiu: szkielet orła w szklanej skrzyni, kilka malowideł, które przetrwały pożar Luwru, i fotografie pięknych, dawno martwych miast, których nazwy zawsze wywoływały u Wellsa dreszcz.

– Czy to był zakład? Próbowaleś popisać się przed



przyjaciółmi? – ciągnął kanclerz niskim, opanowanym tonem, używanym przez niego podczas posiedzeń rady.

Uniósł brwi, sugerując, że teraz kolej na odpowiedź Wellsa.

– Nie, sir.

– Może opanowała cię jakaś chwilowa niepoczytalność? Zażywałeś narkotyki?

W głosie starszego mężczyzny zabrzmiała słaba nuta nadziei, którą w innej sytuacji Wells mógłby uznać za zabawną. W spojrzeniu nie było jednak wesołości, tylko zmęczenie i dezorientacja, których chłopak nie widział od pogrzebu matki.

– Nie, sir.

Przez moment poczuł pokusę, by dotknąć ramienia ojca, ale oprócz kajdanek krępujących jego przeguby powstrzymało go jeszcze coś. Nawet gdy spotkali się przy luku wyjściowym, bez słów żegnając się ostatecznie z matką Wellsa, nie przekroczyli dwudziestocentymetrowego dystansu, jaki zawsze ich dzielił. Wyglądało to tak, jakby chłopak i jego ojciec byli jednobiegunowymi magnesami odpychającymi się nawzajem własnym smutkiem.

– Czy to była jakaś deklaracja polityczna? – Na samą myśl ojciec lekko się skrzywił. – Czy namówił cię do tego ktoś z „Waldena” lub „Arkadii”?

– Nie, sir – odparł Wells, opanowując z wysiłkiem oburzenie.

Kanclerz najwyraźniej spędził ostatnie sześć tygodni,

próbując odnaleźć źródło buntu syna i wracając myślą do własnych wspomnień, by zrozumieć, dlaczego ten szkolny prymus i najlepszy spośród kadetów pogwałcił prawo, popełniając jawnie największe przestępstwo w historii Kolonii. Prawda tylko pogłębiłaby dezorientację kanclerza. Nic nie mogło usprawiedliwić podłożenia ognia pod Drzewo Edenu, sadzonkę przywiezioną na „Feniksa” tuż przed exodusem. Wells jednak nie miał wyjścia. Kiedy odkrył, że Clarke znajduje się wśród stu przestępców, którzy mają zostać posłani na Ziemię, musiał zrobić coś, by do nich dołączyć. A ponieważ był synem kanclerza, tylko przestępstwo popełnione jawnie i w obecności wielu świadków mogło zagwarantować mu Odosobnienie.

Wells przypomniał sobie, jak przeciskał się pomiędzy ludźmi podczas ceremonii pamięci, czując na sobie setki oczu, jak trzęsa mu się dłoń, gdy wyjmował z kieszeni zapalniczkę i krzesał iskrę, która błysnęła jasno w półmroku. Przez chwilę zebrani patrzyli w ciszy, jak płomień owijają się wokół drzewa. Gdy strażnicy dotarli do niego poprzez spanikowany tłum, nie dało się nie zauważyć, kogo odciągają z miejsca zbrodni.

– Coś ty sobie, do cholery, myślał? – spytał kanclerz, patrząc na niego z niedowierzaniem. – Mogłeś spalić salę i spowodować śmierć tych wszystkich ludzi!

Lepiej byłoby skłamać. Ojciec prędzej uwierzyłby, że Wells usiłował wypełnić warunki jakiegoś głupiego zakładu. A może powinien udać, że rzeczywiście zażył narkotyki. Kanclerz łatwiej pogodziłby się z takimi

scenariuszami niż z prawdą – że syn zaryzykował wszystko dla dziewczyny.

Drzwi szpitalnej sali zamknęły się za Wellsem. Uśmiech zamarł mu na ustach, jak gdyby siła potrzebna, żeby unieść ich kąciki, trwale uszkodziła mu mięśnie twarzy. Matka, oglądając go przez mgłę środków znieczulających, prawdopodobnie uważała ten uśmiech za szczery – a tylko to się teraz liczyło. Trzymała go za rękę, a on kłamał jej prosto w oczy. Kłamstwa wylewały się obficie, gorzkie, lecz bezbolesne.

– Tak, radzimy sobie z tatą świetnie. – Nie musiała wiedzieć, że zamieniają ze sobą nie więcej niż kilka słów na tydzień. – Kiedy ci się polepszy, dokończymy *Zmierzch i upadek cesarstwa rzymskiego*. – Oboje wiedzieli, że matka nie doczeka lektury ostatniego tomu.

Wells wyszedł ze szpitala i ruszył pokładem B, który na szczęście był jeszcze pusty. O tej godzinie większość ludzi przebywała w szkole, pracy lub na bazarze. On sam powinien słuchać w tej chwili wykładu z historii, swojego ulubionego przedmiotu. Kochał opowieści o starożytnych miastach, takich jak Rzym czy Nowy Jork. Ogrom ich upadku dorównywał ich imponującemu rozwojowi. Nie mógł jednak spędzić dwóch godzin otoczony przez kolegów z klasy, którzy wypełnili jego skrzynkę odbiorczą banalnymi, pełnymi skrępowania kondolencjami. Jediną osobą, z którą mógłby porozmawiać o matce, była Glass, ale ostatnio wydawała się dziwnie odległa.

Nie był pewny, jak długo tkwił przed drzwiami, zanim zdał sobie sprawę, że stoi przed biblioteką. Pozwolił, by promień skanera prześlizgnął się po oczach, poczekał na wezwanie, a potem przycisnął kciuk do płytki czytnika. Drzwi odsunęły się na chwilę wystarczająco długą, by Wells dostał się do środka, a potem zamknęły się za nim z sapnięciem, wpuszczając młodego człowieka tak, jakby robiły mu wielką łaskę.

Odetchnął, kiedy ogarnęły go cisza i cienie. Książki, przeniesione na „Feniksa” przed kataklizmem, były przechowywane w wysokich próżniowych pojemnikach, które znacznie spowalniały proces niszczenia papieru. Dlatego ze starych tomów wolno było korzystać tylko w czytelni, tylko przez kilka godzin i tylko raz na jakiś czas. Olbrzymi pokój miał własne oświetlenie, niezależne od wyznaczających dobowy rytm światła reszty statku. W bibliotece panował wieczny półmrok.

Od kiedy pamiętał, spędzali tu z matką niedzielne wieczory. Czytała mu na głos, kiedy był mały, a potem, gdy urósł, robili to razem. W miarę postępów jej choroby, objawiającej się między innymi bólem głowy, Wells przejął rolę lektora. Pewnego wieczoru zaczęli drugi tom *Zmierzchu i upadku cesarstwa rzymskiego*, a następnego dnia zatrzymano ją w szpitalu.

Przecisnął się przez wąskie alejki między półkami ku sekcji języka angielskiego i dalej, do historii upchniętej z tyłu, w ciemnym kącie. Kolekcja była mniejsza, niż powinna. Pierwszy rząd Kolonii zarządził digitalizację wszystkich tekstów, lecz niecałe sto lat

później wirus wymazał większość cyfrowych archiwów zapisanych w centralnym komputerze „Feniksa”. Jedyne papierowe książki, jakie pozostały, pochodziły z prywatnych kolekcji. Pierwsze pokolenie kolonistów przekazało je swoim potomkom, a oni w ciągu ostatniego stulecia podarowali większość z nich bibliotece.

Wells pochylił się nad półką z autorami na literę G. Nacisnął kciukiem zamek i szklana tafla odsunęła się z cichym sykiem, wpuszczając powietrze do próżniowego zasobnika. Sięgnął po *Zmierzch i upadek*, lecz coś go powstrzymało. Chciał przeczytać kilka stron i powtórzyć wszystko matce, ale to byłoby zupełnie tak, jakby przynieść jej do szpitalnego łóżka projekt jej własnego nagrobka i poprosić o ułożenie właściwego napisu.

– Nie powinieneś zostawiać pojemnika otwartego – zabrzmiał głos zza jego pleców.

– Ach tak, dziękuję – odparł Wells nieco ostrzej, niż chciał.

Wstał, obrócił się i spojrzał na znaną mu skądś dziewczynę. To ta stażystka ze szpitala mierzyła go wzrokiem. Na myśl o tym poczuł ułkucie gniewu. Wchodząc do biblioteki, chciał zapomnieć o mdlącym zapachu antyseptyków i pikaniu monitora pulsu, które brzmiało w jego uszach nie jak sygnał życia, ale raczej jak odliczanie do śmierci.

Dziewczyna cofnęła się o krok i przekrzywiła głowę, a jej jasne włosy opadły na jedną stronę.

– Och. To ty.

Wells przygotował się na błysk rozpoznania, a zaraz potem

nagły ruch oka, oznaczający, że wysyła komunikat wszystkim swoim przyjaciółom przez implant w rogówce. Ona skoncentrowała jednak wzrok bezpośrednio na nim, jak gdyby spoglądała prosto w jego umysł, odstawiając kolejne warstwy, by ujawnić wszystkie ukryte myśli.

– Chciałeś wziąć tę książkę? – Skinęła w kierunku półki, na której stał *Zmierzch i upadek*.

Wells potrząsnął głową przecząco.

– Poczytam ją innym razem.

Przez chwilę milczała.

– Sądzę, że powinieneś zabrać ją teraz. – Wells zacisnął zęby, ale nic nie powiedział, więc dziewczyna kontynuowała: – Widywałam cię tu z matką. Może zanieziesz jej tę książkę?

– To, że mój ojciec stoi na czele rady, nie oznacza, że spróbuję złamać zasadę obowiązującą od trzystu lat – odparł nieco protekcyjnie.

– Książce nic się nie stanie przez te parę godzin. Przesadzają z tym zagrożeniem dla papieru.

Wells uniósł brew.

– Z możliwościami skanera na wyjściu też przesadzają?

W większość publicznych drzwi na „Feniksie” wmontowane były skanery, które dało się zaprogramować na wykrywanie dowolnej substancji. W bibliotece monitorowały skład cząsteczkowy każdej wychodzącej osoby, żeby zagwarantować, że nikt nie opuści pomieszczenia z książką w dłoni lub schowaną pod ubraniem.

Uśmiech przemknął przez jej twarz.

– Już dawno wymyśliłam, jak to ominąć. – Zerknęła przez ramię na ciemną alejkę pomiędzy półkami, wyciągnęła szare tworzywo i podała mu. – Dzięki temu skaner nie wykryje celulozy z papieru. – Weź, proszę.

Wells cofnął się o krok. Bardziej prawdopodobne, że dziewczyna chce go skompromitować, niż że rzeczywiście ma w kieszeni kawałek magicznego materiału.

– Dlaczego to robisz?

Wzruszyła ramionami.

– Lubię czytać w różnych miejscach. – Kiedy nic na to nie odpowiedział, uśmiechnęła się i wyciągnęła drugą rękę. – Och, po prostu daj mi książkę. Przemycę ją dla ciebie na zewnątrz i zaniosę do szpitala.

Wells zaskoczył sam siebie, wręczając jej tom.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Chcesz wiedzieć, komu masz być wdzięczny na wieki?

– Chcę wiedzieć, na kogo mam zwalić winę, kiedy mnie aresztują.

Dziewczyna włożyła książkę pod pachę i wyciągnęła ku niemu rękę.

– Clarke – przedstawiła się.

– Wells – powiedział, ściskając jej dłoń. Uśmiechnął się i tym razem nie zabolato.

– Ledwie zdołali uratować drzewo. – Kanclerz patrzył

na Wellsa, jakby szukał jakiegoś śladu skruchy lub radości, czegokolwiek, co pomoże mu zrozumieć, dlaczego syn próbował podpalić największe drzewo ocalone z ich spustoszonej planety. – Niektórzy z członków rady chcieli stracić cię na miejscu, nie dbając o to, czy jesteś pełnoletni, czy też nie. Jedynym sposobem, by cię oszczędzić, jest wysłanie cię na Ziemię.

Wells odetchnął z ulgą. Odosobnieniu podlegało mniej niż sto pięćdziesięcioro nieletnich, założył więc, że do misji na Ziemię wybrani zostaną starsi, nastoletni zatrzymani. Nie mógł być jednak tego pewien – aż do teraz.

Jego ojciec popatrzył na niego zaskoczony, nagle rozumiejąc, w czym rzecz.

– Tego właśnie chciałeś, prawda?

Wells skinął głową.

Kanclerz się skrzywił.

– Gdybym wiedział, że aż tak bardzo chcesz zobaczyć Ziemię, mógłbym bez problemu włączyć cię do składu drugiej ekspedycji, jak tylko ustalilibyśmy, że to bezpieczne.

– Nie chciałem czekać. Wolałem lecieć z pierwszą setką.

Kanclerz zmrużył lekko oczy, studiując beznamiętną twarz syna.

– Dlaczego? Doskonale znasz ryzyko.

– Z całym szacunkiem, to ty przekonywałeś radę, że nuklearna zima minęła. To ty powiedziałeś, że misja jest bezpieczna.

– Tak, wystarczająco bezpieczna dla setki przestępców,



którzy i tak mieli umrzeć – odparł kanclerz tonem zarazem protekcyjnym i niedowierzającym. – Nie chodziło mi o to, że jest bezpieczna dla mojego syna.

Gniew, który Wells starał się opanować, wybuchł z nową siłą, obracając jego poczucie winy w popiół. Potrząsnął rękami, aż zadzwoniły kajdanki.

– No to teraz jestem jednym z nich!

– Wells, twoja matka nie chciałaby tego. Owszem, lubiła marzyć o powrocie na Ziemię, ale to nie znaczy, że pozwoliłaby ci zaryzykować.

Chłopak pochylił się, ignorując metal wpijający się w jego ciało.

– Nie dla niej to robię! – syknął, patrząc ojcu prosto w oczy po raz pierwszy, od kiedy rozpoczęli tę rozmowę. – Myślę, że i tak byłaby ze mnie dumna.

To była częściowo prawda. Matka Wellsa miała romantyczne skłonności i z pewnością pochwalałaby pragnienie syna, by chronić ukochaną. Żołądek skręcał mu się jednak na myśl, jak zareagowałaby na to, co zrobił, by ocalić Clarke. Gdyby poznała prawdę, podpalenie Drzewa Edenu wyglądałoby przy tym jak niewinna psota.

Ojciec wbił w niego wzrok.

– Próbujesz mi powiedzieć, że przyczyną całej tej żenującej sytuacji jest dziewczyna?

Wells twierdząco skinął głową.

– To moja wina, że posyłacie ją na Ziemię jak jakiegoś laboratoryjnego szczura. Mam zamiar zrobić wszystko, żeby przeżyła.

Kanclerz przez chwilę siedział w milczeniu. Gdy znów przemówił, jego głos był spokojny.

– To nie będzie konieczne. – Wyjął z szuflady swojego biurka i położył przed Wellsem metalowy pierścień z czipem wielkości ludzkiego kciuka. – Wyposażamy każdego członka ekspedycji w bransoletę przesyłającą do nas dane – wyjaśnił – więc w każdej chwili będziemy znali twoje położenie i stan zdrowia. Jak tylko dostaniemy dowód, że środowisko sprzyja ludziom, zaczniemy ponownie kolonizować rodzinną planetę. – Uśmiechnął się ponuro. – Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, niedługo do was dołączymy, a wtedy wszystko to – wskazał skute rękę Wellsa – zostanie wymazane z rejestrów.

Drzwi otworzyły się i wszedł strażnik.

– Już czas, sir.

Kanclerz skinął głową, a mężczyzna w mundurze podszedł i siłą podniósł Wellsa z krzesła.

– Powodzenia, synu – powiedział kanclerz Jaha, w obecności strażnika powracając do tradycyjnie szorstkiego tonu. – Jeżeli ta misja się powiedzie, to przede wszystkim dzięki tobie.

Wyciągnął rękę, by ucisnąć dłoń Wellsa, ale szybko zorientował się w pomyłce i opuścił ją bezwładnie. Dłonie jego jedyne go syna były skute za plecami.

# ROZDZIAŁ 3

## Bellamy

Ten bezczelny łajdak oczywiście się spóźniał. Bellamy niecierpliwie tupał nogą, nie dbając o echo odbijające się od ścian magazynu. I tak nikt tu nie przychodził, wszystkie cenne przedmioty zostały rozkradzione wiele lat temu. Całą podłogę pokrywały śmieci – części zamienne do mechanizmów, których nikt już nie używał, banknoty, niekończące się zwoje lin i drutów, potrzaskane ekrany monitorów.

Bellamy poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia. Obrócił się na pięcie, wznosząc pięści ku twarzy i jednocześnie robiąc unik.

– Facet, spokojnie – powiedział Colton, świecąc mu latarką prosto w oczy. Patrzył na niego badawczo, z widocznym rozbawieniem na długiej, wąskiej twarzy. – Dlaczego chciałeś się spotkać akurat tutaj? – Uśmiechnął się ironicznie. – Szukałeś jaskiniowego porno na popsutych komputerach? Nieee, nie osądzam cię. Gdybym był zmuszony wybierać spośród dziewczyn z „Waldena”,

pewnie sam bym nabrał jakichś chorych nawyków.

Bellamy zignorował przytyk. Mimo strażniczego munduru Colton nie miał szans u żadnej dziewczyny, niezależnie od statku. – Powiedz mi wreszcie, co jest grane, dobra? – odparł, starając się bardzo, żeby jego głos zabrzmiał możliwie beztrąsko.

Colton oparł się o ścianę i uśmiechnął.

– Niech mój mundur cię nie zwiedzie, ziom. Nie zapomniałem pierwszej reguły interesów. – Wyciągnął rękę. – Dawaj!

– To tobie się coś pomyliło, Colt. Wiesz, że zawsze dotrzymuję umowy. – Poklepał się po kieszeni, w której tkwił czip z ukradzionymi punktami przydziału. – A teraz mów, gdzie ona jest?

Strażnik uśmiechnął się ironicznie, a Bellamy poczuł, że coś tężeje mu w piersi. Przekupywał Coltona, by wiedzieć wszystko o Octavii od czasu jej zatrzymania, a ten idiota największą przyjemność miał wtedy, gdy przekazywał złe wieści.

– Wysyłają ich dzisiaj. – Bellamy poczuł, jak te słowa uderzają go niczym twarda pięść. – Uruchomili jeden z tych starych lądowników na pokładzie G. – Colton znów wyciągnął rękę. – A teraz dawaj. To ściśle tajna misja i ryzykuję własny tyłek, przychodząc tutaj. Starczy tego dobrego.

Żołądek Bellamy’ego skurczył się gwałtownie, kiedy przed oczami przemknęła mu seria obrazów: jego ukochana siostrzyczka, przypięta do starej metalowej klatki, gna

przez kosmiczną przestrzeń z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę. Siniejąca twarz Octavii, kiedy dziewczyna próbuje oddychać toksycznym powietrzem. Jej zmiażdżone ciało leżące nieruchomo na...

Bellamy zrobił krok naprzód.

– Przepraszam, facet.

Colton zmrużył oczy.

– Za co?

– Za to. – Bellamy zamachnął się i walnął strażnika w szczękę. Coś głośno chrupnęło, ale nie poczuł nic poza przyspieszonym pulsem, kiedy nieruchome ciało Coltona padało na podłogę.

Pół godziny później Bellamy usiłował ogarnąć wzrokiem całość osobliwej sceny rozgrywającej się przed jego oczami. Oparł się plecami o ścianę szerokiego korytarza prowadzącego ku stromej rampie. Przepływał przed nim strumień skazańców w szarych strojach, kierowanych przez kilku strażników w dół. Cel ich drogi stanowił okrągły lądownik, w którego wnętrzu widać było rzędy foteli wyposażonych w pasy. To w nim miały polecieć na Ziemię wszystkie te biedne, nieświadome niczego dzieciaki.

Pomysł był chory, choć i tak lepszy niż alternatywa. Owszem, w osiemnaste urodziny każdy skazany miał prawo do ponownego procesu, ale w ciągu ostatniego roku wszyscy, którzy próbowali się obronić, zostali uznani za winnych. Gdyby nie ta misja, pozostałoby im tylko odliczanie dni do egzekucji.

Bellamy'ego ścisnęło w żołądku, kiedy jego wzrok spoczął na drugiej rampie i przez moment myślał, że przegapi Octavię. Nie miało to jednak większego znaczenia. Wkrótce będą znów razem.

Obciągnął rękawy munduru Coltona. Nie leżał na nim jak trzeba, ale dotąd żaden ze strażników tego nie spostrzegł. Ich uwaga skupiała się na dolnej części rampy, gdzie kanclerz Jaha przemawiał do pasażerów.

– Dano wam bezprecedensową okazję pozostawić za sobą grzechy przeszłości – mówił. – Misja, w którą za chwilę wyruszyacie, jest niebezpieczna, ale wasza odwaga nie pozostanie bez nagrody. Jeżeli wam się uda, wasze przestępstwa zostaną wybaczone i zaczniecie nowe życie na Ziemi.

Bellamy ledwie powstrzymał parsknięcie. Kanclerz musiał mieć niezłą czelność, żeby tak stać, wypluwając z siebie bzdury. Chyba powtarzał je sobie co wieczór przed snem, żeby zasnąć z czystym sumieniem.

– Będziemy uważnie obserwować wasze postępy, by zapewnić wam bezpieczeństwo – kontynuował mówca.

W dół rampy zeszło kolejnych dziesięciu więźniów konwojowanych przez strażnika, który zasalutował krótko kanclerzowi, dopilnował, by podopieczni zajęli miejsca w lądowniku, i wycofał się na korytarz. Bellamy spojrział, spodziewając się dostrzec Luke'a, jedyne znajomego waldenitę, który nie zgłupiał ze szczętem po wstąpieniu do straży. Na pokładzie startowym było jednak mniej niż tuzin funkcjonariuszy. Rada najwyraźniej uznała, że tajemnica

jest ważniejsza niż bezpieczeństwo.

Usiłował nie tupać nogą z niecierpliwości, gdy kolejka więźniów podążała w dół rampy. Gdyby złapano go na bezprawnym noszeniu munduru, lista zarzutów byłaby naprawdę długa: łapówkarstwo, szantaż, kradzież tożsamości, spiskowanie i wszystko, co tylko rada byłaby uprzejma dorzucić do kompletu. Ponieważ miał już dwadzieścia lat, nie podlegał Odosobnieniu. W ciągu dwudziestu czterech godzin od wydania wyroku byłby martwy.

Serce Bellamy'ego zatrzymało się na moment, kiedy na przeciwnym końcu korytarza błysnęła znajoma czerwona wstążka na tle grzywy czarnych błyszczących włosów. Octavia.

Przez ostatnie dziesięć miesięcy pożerała go obawa, jak siostra daje sobie radę w więzieniu. Czy dostaje dość jedzenia? Czy znajduje sobie jakieś zajęcia? Czy pozostała przy zdrowych zmysłach? Odosobnienie zawsze było ciężkim doświadczeniem, lecz Bellamy wiedział, że dla Octavii będzie gorsze niż dla innych.

Wychowywał siostrę w dużej mierze samodzielnie... a w każdym razie próbował. Po wypadku matki opieką nad nimi zajęła się rada, która nie bardzo wiedziała, co z tym fantem zrobić. Surowe prawa dotyczące prokreacji stanowiły, że para nie może mieć więcej niż jedno dziecko, a czasem w ogóle ani jednego, więc nikt w Kolonii nie rozumiał, co oznacza „mieć rodzeństwo”. Bellamy i Octavia mieszkali przez wiele lat w różnych centrach

opieki, ale chłopak zawsze dbał o siostrę: przemycał jej dodatkowe porcje jedzenia, kiedy tylko udało mu się „zawędrować” do jakiegoś pilnie strzeżonego magazynu, i stawiał czoła pyskatym starszym dziewczynom, które uważały znęcanie się nad pyzată sierotą z niebieskimi oczami za niezłą zabawę. Bellamy martwił się o siostrę; dla niego była wyjątkowa i zrobiłby wszystko, aby dać jej szansę na inne życie. Wszystko, by wynagrodzić jej to, przez co musiała przejść.

Kiedy strażnik prowadził Octavię rampą, Bellamy powstrzymał uśmiech. Inne dzieciaki podczas spaceru do lądownika powłóczyły apatycznie nogami, ale tu było jasne, że to Octavia nadaje tempo. Schodząc po rampie, celowo zmuszała strażnika do przyspieszenia kroku. Wyglądała nawet lepiej niż ostatnim razem, kiedy Bellamy ją widział. To akurat było łatwo wytłumaczyć – została skazana na cztery lata Odosobnienia, a ponowny proces w osiemnaste urodziny mógł równie dobrze zakończyć się jej egzekucją. Teraz dano jej drugą szansę przeżycia i Bellamy cholernie się uparł, by dopilnować, że ją wykorzysta.

Nie obchodziło go, co musi w tym celu zrobić. Wybierał się na Ziemię razem z nią.

Głos kanclerza wzniósł się ponad stukot butów o pokład i nerwowe szepty. Przywódca Kolonii wciąż nosił się jak żołnierz, jednak lata przewodzenia radzie nadały mu szlif rasowego polityka. – Nikt w całej Kolonii nie wie, dokąd zmierzacie, ale jeżeli wam się uda, będziemy



zawdzięczali wam życie. Wiem, że zrobicie, co w waszej mocy dla was samych, waszych rodzin i wszystkich na tym statku: dla całej ludzkiej rasy!

Octavia zauważyła brata i na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. Mógł niemal zobaczyć, jak jej myśli galopują, podczas gdy oceniała sytuację. Oboje wiedzieli, że Bellamy nigdy nie zostałby strażnikiem, co oznaczało, że mundur jest tylko przebraniem. Otworzyła usta, usiłując przesłać mu bezgłośnie ostrzeżenie, ale właśnie wtedy kanclerz zwrócił się wprost do więźniów, wciąż schodzących po rampie. Octavia z ociąganiem odwróciła głowę, ale po jej sylwetce znać było napięcie.

Kanclerz zakończył przemowę i gestem nakazał strażnikom, by dokończyli załadunek pasażerów. Bellamy z bijącym sercem czekał na właściwy moment. Jeżeli zacznie działać zbyt szybko, da im czas na wywleczenie go z lądownika. Jeżeli się spóźni, Octavia będzie mknąć przez przestrzeń kosmiczną w kierunku zatrutej planety, a on pozostanie na pokładzie i poniesie karę za zakłócenie startu.

Nadeszła kolej na ruch Octavii. Obróciła się przez ramię, a napotkawszy jego wzrok, potrząsnęła lekko głową, wyraźnie ostrzegając go, żeby nie robił nic głupiego.

Jej brat robił jednak głupie rzeczy przez całe życie – i nie miał zamiaru przestać właśnie teraz.

Kanclerz skinął głową kobiecie w czarnym mundurze, która obróciła się ku panelowi kontrolnemu obok lądownika, po czym zaczęła wciskać seriami guziki. Rządki

liczb na ekranie ruszyły w dół.

Zacząło się odliczanie.

Bellamy miał trzy minuty, żeby przedostać się przez drzwi, zbiec w dół po rampie i wejść do lądownika albo straci siostrę na zawsze.

Gdy ostatni pasażerowie zostali usadzeni w fotelach, nastrój na pokładzie startowym wyraźnie się zmienił. strażnicy odprężyli się i zaczęli cicho rozmawiać. Po przeciwnej stronie, przy drugiej rampie, ktoś drwiąco prychnął.

2:48... 2:47... 2:46...

Bellamy w jednej chwili poczuł gwałtowny przypływ wściekłości. Jak te dupki ośmielały się śmiać, kiedy jego siostrę i dziewięćdziesięcioro dziewięcioro innych małolatów właśnie wysyłano w misję, która mogła okazać się zabójcza?

2:32... 2:31... 2:30...

Kobieta przy panelu kontrolnym uśmiechnęła się i szepnęła coś do kanclerza, ale on odwrócił się z gniewnym grymasem.

Prawdziwi strażnicy wrócili do korytarza. Widocznie uważali, że mają coś lepszego do roboty niż przyglądanie się, jak ludzkość po raz pierwszy próbuje wrócić na Ziemię... A może sądzili, że zabytkowy lądownik wybuchnie podczas startu, i woleli znaleźć się w bezpiecznym miejscu?

2:14... 2:13... 2:12...

Bellamy zaczerpnął powietrza. Nadszedł właściwy

moment.

Przepchnął się przez tłum, tak by stanąć za postawnym strażnikiem, który beztrąsko przypiął kaburę do pasa, pozostawiając kolbę pistoletu odsłoniętą. Chłopak wyszarpnął mu broń i ruszył biegiem w dół, po rampie.

Zanim ktokolwiek zauważył, co się dzieje, wbił łokieć w żołądek kanclerza i unieruchomił go, zarzucając mu ramię na szyję. Pokład startowy eksplodował krzykiem i tupotem stóp, lecz nikt nie zdążył dosięgnąć Bellamy'ego, który przyłożył lufę pistoletu do skroni mężczyzny. Nie chciał zastrzelić starego łajdaka, ale miał nadzieję, że strażnicy potraktują to zagrożenie poważnie.

1:12... 1:11... 1:10...

– Wszyscy do tyłu! – wrzasnął, zaciskając chwyt.

Kanclerz jęknął. Rozległ się głośny pisk i liczby na ekranie zmieniły kolor z zielonego na czerwony. Do startu pozostała niecała minuta. Teraz Bellamy musiał tylko poczekać, aż luk zacznie się zamykać, a potem odepchnąć kanclerza i wskoczyć do środka. Nie zdążył go powstrzymać.

– Wpuście mnie do lądownika albo strzelam!

Zapadła cisza, w której zabrzmiał tylko szcęk tuzina odbezpieczanych pistoletów.

Za trzydzieści sekund będzie zmierzał ku Ziemi z Octavią... albo wróci na „Waldena” w plastikowym worku.

# ROZDZIAŁ 4

Glass

Glass zdążyła zaciągnąć pasy uprząży, kiedy rozległy się krzyki. Strażnicy gromadzili się wokół dwóch postaci w pobliżu wejścia do lądownika. Przez ruchomą masę mundurów trudno było coś zobaczyć, ale Glass mignął czyjś rękaw, siwe włosy i błysk metalu. Połowa strażników klęknęła raptem i uniosła broń, dzięki czemu Glass zobaczyła wyraźnie kanclerza w roli zakładnika.

– Cofnąć się! – krzyknął napastnik trzęsącym się głosem.

Miał na sobie mundur, ale najwyraźniej nie był strażnikiem. Włosy miał dłuższe, niż zezwalał regulamin, kurtkę niedopasowaną, a sposób, w jaki trzymał pistolet, zdradzał, że nigdy nie szkolono go w obsłudze broni.

Nikt się nie ruszył.

– Powiedziałem: cofnąć się!

Po odrętwieniu, które opanowało ją podczas długiego spaceru z celi na pokład startowy, nie pozostał nawet ślad. Rozpłynęło się jak lodowa kometa przelatująca obok

słońca, pozostawiając w przestrzeni słabą mgiełkę nadziei. Glass poczuła, że jej miejsce jest gdzie indziej. Nie potrafiła udawać, że rusza dokądkolwiek z historyczną misją. Była pewna, że padnie trupem w chwili, gdy lądownik odłączy się od statku. „Teraz mam szansę!”, pomyślała nagle, a podniecenie i przerażenie przeszły falami jej ciało.

Rozpięła uprząż i skoczyła na równe nogi. Kilku więźniów zauważyło to, ale uwagę większości przykuwał dramat rozgrywający się u szczytu rampy. Glass ruszyła ku odwrotnej stronie lądownika, skąd druga rampa prowadziła na pokład ładunkowy.

– Chcę polecieć z nimi! – krzyknął chłopak, ciągnąc za sobą kanclerza w kierunku luku wejściowego. – Chcę lecieć z siostrą!

Na pokładzie startowym zapadła pełna zdumienia cisza. „Siostra”. Słowo odbiło się echem w głowie Glass, ale zanim zdała sobie sprawę z jego znaczenia, znajomy głos przerwał tok jej myśli.

– Pozwólcie mu lecieć!

Glass obejrzała się i zamarła na widok swojego najlepszego przyjaciela. Oczywiście słyszała wszystkie te śmieszne plotki, że Wells został Odosobniony, ale nie dawała im wiary. Co on tutaj robił? Patrzyła w jego szare oczy utkwione z napięciem w ojcu i odpowiedź sama przyszła jej do głowy: chciał być tam, gdzie Clarke. Wells zrobiłby wszystko, żeby chronić tych, na których mu zależało, a najbardziej ze wszystkich zależało mu na

Clarke.

Wtedy rozległ się ogłuszający trzask – strzał? – i coś wewnątrz niej pękło. Nie zastanawiając się wiele, na jednym oddechu przemknęła przez luk i pobiegła w górę rampy. Walcząc z chęcią spojrzenia przez ramię, wcisnęła głowę między ramiona i biegła co sił.

Wybrała, jak się okazało, najwłaściwszy moment. Przez kilka sekund strażnicy stali nieruchomo, jak gdyby echo strzału zatrzymało ich w miejscu.

A potem ją zauważyli.

Jeden z nich zawołał: „Więzień ucieka!”, a inni szybko zwrócili się w jej kierunku. Nagły ruch aktywował instynkty wpajane im podczas treningu. Nie miało znaczenia, że uciekinierką jest siedemnastoletnia dziewczyna. Strażników zaprogramowano tak, żeby nie miały na nich wpływu rozwiane blond włosy i wielkie niebieskie oczy, które zawsze zjednywały Glass sympatię otoczenia. Widzieli w niej tylko zbiegłego więźnia.

Runęła ku wyjściu, ignorując gniewne okrzyki. Ciężko dysząc i wciągając powietrze urywanymi haustami, przemknęła korytarzem prowadzącym z powrotem na „Feniksa”.

– Ty! Stój! – wrzasnął jeden ze stojących tam strażników.

Ruszył za nią, ale nie zwolniła tempa ani trochę. Jeżeli będzie biegła szybko, a szczęście, którego brakowało jej przez całe życie, w końcu dopisze, może zdoła zobaczyć Luke’a po raz ostatni. I być może – ale tylko być może –

przekona go, by jej wybaczył.

Dyszząc i słaniając się, Glass mknęła korytarzem z mnóstwem nieoznaczonych drzwi po obu stronach. Kolano ugięło się pod nią i musiała oprzeć się o ścianę, żeby dojsć do siebie. Korytarz zaczął zamazywać jej się przed oczami. Obróciła głowę i jak przez mgłę dostrzegła wlot wentylacji. Wczepiła się palcami w szczelinę i pociągnęła, bez rezultatu. Jęknęła i pociągnęła raz jeszcze, tym razem czując, że metalowa kratka ustępuje. Podniosła ją jednym szarpnięciem, odsłaniając ciemny, wąski tunel, pełen zabytkowych rur i przewodów.

Glass wdrapała się na krawędź, a następnie przesunęła na brzuchu jak gąsienica, podciągając kolana do klatki piersiowej. Metal chłodził rozpaloną skórę. Ostatkiem sił wpełzła głębiej w tunel i opuściła za sobą pokrywę. Nasłuchiwała przez chwilę odgłosów pościgu, ale poza rozpaczliwymi uderzeniami własnego serca nie słyszała ani krzyków, ani kroków.

Spróbowała się zorientować, gdzie właściwie jest. W panującej ciemności nie było to łatwe. Ciasny, zakurzony tunel rozciągał się przed nią i za nią. Musiał to być jeden ze starych ciągów wentylacyjnych z czasów przed budową systemu nowych przewodów i filtrów. Glass nie miała pojęcia, dokąd ją doprowadzi, ale nie miała wyboru. Zaczęła pełznąć naprzód.

Już po chwili czuła, jakby robiła to od wielu godzin. Kolana jej zdrętwiały, a dłonie zaczęły palić, i właśnie wtedy dotarła do rozgałęzienia. Jeżeli nie myliło jej

poczucie kierunku, lewy tunel prowadził na „Feniksa”, a prawy – na „Waldena”, wzdłuż rękawa łączącego oba statki. Na „Waldena”, a więc do Luke’a!

Luke. Chłopak, którego kochała. Którego była zmuszona rzucić wiele miesięcy temu. O którym myślała przez wszystkie noce Odosobnienia, rozpaczliwie pożądam jego dotyku, mocnego uścisku jego ramion.

Wzięła głęboki oddech i wybrała prawą odnogę tunelu, nie wiedząc, czy prowadzi ku wolności, czy też ku pewnej śmierci.

Dziesięć minut później Glass wyslizgnęła się po cichu z tunelu wentylacyjnego i stanęła na pokładzie. Zrobiła krok i chmura kurzu zawirowała, opadając na jej spoconą twarz. Zaniósła się kaszlem. To był magazyn.

Gdy tylko oczy przywykły do półmroku, rozpoznała na ścianach jakieś kształty; po chwili zdała sobie sprawę, że są to litery. Podeszła bliżej i uniosła ze zdumienia brwi. To były wyryte na ścianach **w i a d o m o ś c i**.

„Spoczywaj w pokoju”.

„Ku pamięci”.

„Z gwiazd do nieba”.

Znalazła się w najstarszej części „Waldena”, w pomieszczeniach przeznaczonych dla przechodzących kwarantannę. Kiedy broń biologiczna i jądrowa zagrażały całkowitym zniszczeniem Ziemi, kosmos był jedynym wyjściem dla tych, którzy mieli szczęście przetrwać pierwsze etapy kataklizmu. Kilku zainfekowanych wywalczyło sobie drogę do kapsuł transportowych –



zabroniono im jednak wstępu na „Feniksa” i pozostawiono na „Waldenie”, by zmarli. Za każdym razem, kiedy zachodziło najłżejsze podejrzenie choroby, zainfekowana osoba poddawana była kwarantannie, daleko od reszty wrażliwej populacji Kolonii – ostatnich przedstawicieli ludzkiej rasy.

Glass zadrżała i ruszyła pośpiesznie ku drzwiom, modląc się w duchu, by nie okazały się przyrdzewiałe na amen do futryny, ale ku jej uldze ustąpiły pod naciskiem. Pobiegła korytarzem, ściągając przepoconą kurtkę. W białej koszulce i więziennych spodniach mogła uchodzić za robotnicę, być może jedną ze sprzątaczek. Spojrzała nerwowo na bransoletę opasującą nadgarstek, niepewna, czy urządzenie działa również na statku, czy też przeznaczone było tylko do przekazywania danych z Ziemi. Niezależnie od wszystkiego musiała zdjąć je z siebie jak najprędzej. Nawet jeżeli uda jej się unikać skanerów siatkówki, wszyscy strażnicy w Kolonii ruszą jej śladem.

Cała nadzieja w tym, że będą jej się spodziewać na „Feniksie”. Nie domyśla się, że przyszła tutaj. Wspięła się głównymi schodami „Waldena” i dotarła do drzwi pokładu, na którym mieszkał Luke. Skręciła w jego korytarz i zwolniła, wycierając spocone dłonie w spodnie. Nagle poczuła zdenerwowanie większe niż wtedy, gdy siedziała w ładowniku.

Nie wyobrażała sobie, co powie Luke; co ona wyczyta w jego oczach, stając na progu jego mieszkania ponad

dziwięć miesięcy po zniknięciu.

Może nie będzie musiał nic mówić? Być może kiedy tylko ją zobaczy, uciszy jej pierwsze słowa długim pocałunkiem, dając jej poznać, że wszystko jest w porządku? Że jej przebaczył?

Glass zerknęła przez ramię, a potem wymknęła się za drzwi. Chyba nikt jej nie zauważył, ale musiała zachowywać się ostrożnie. Wyjście z ceremonii partnerstwa przed ostatecznym błogostawieństwem było wyjątkowo nieuprzejme, jednak Glass nie mogła już wytrzymać ani minuty dłużej obok Cassiusa z jego brudnymi myślami i jeszcze gorszym oddechem. Dotyk jego dłoni kojarzył jej się z Carterem, dwulicowym współlokatorem Luke'a. Gdy tylko Luke był na służbie, Carter zmieniał się w nader obleśnego typa.

Zaczęła wchodzić po schodach na pokład obserwacyjny, przy każdym kroku starannie unosząc rąbek sukienki. Głupio byłoby zmarnować tak wiele przydziałowych punktów, za które kupiła materiały na tę kreację – kawałek brezentu, starannie przyszyty do srebrnej halki. Czuła, że sukienka jest nic nie warta, dopóki Luke jej nie zobaczy.

Nienawidziła wieczorów spędzanych z innymi chłopakami, ale jej mama nie zgadzała się, żeby Glass widywano podczas towarzyskich spotkań bez męskiej obstawy, chociaż zdawała sobie sprawę, iż córka nie ma stałego adoratora. Matka nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Glass nie udało się poderwać Wellsa. Na próżno

dziewczyna tłumaczyła jej, iż nie czuje do młodego Jahy nic poza szczerą sympatią; mama wzdychała tylko i mruzczała pod nosem: „Nie można pozwolić, by jakaś kiepsko ubrana panna od jajogłowych sprzątnęła mojej córce sprzed nosa taką partię”. Glass jednak była zadowolona, że Wells zakochał się w pięknej, chociaż może trochę zbyt poważnej Clarke Griffin. Nie mogła przecież wyznać matce prawdy, czyli powiedzieć, co czuje do przystojnego, wspaniałego chłopaka, który nie mógł zaprowadzić jej na koncert ani ceremonię partnerstwa.

– Może zatańczymy?

Glass zdusiła okrzyk zaskoczenia i obróciła się na pięcie. Spojrzała prosto w znajomą parę brązowych oczu, a na jej twarzy zagościł szeroki uśmiech.

– Co ty tu robisz? – szepnęła, zerkając naokół, by upewnić się, że są sami.

– Nie mogłem pozwolić, żeby chłopaki z „Feniksa” miały cię tylko dla siebie – odparł Luke, cofając się o krok, by objąć wzrokiem całą jej postać w nowej sukience. – Na pewno nie wtedy, gdy wyglądasz tak jak teraz.

– Wiesz, w jakie kłopoty się wpakujesz, jeżeli cię złapią?

– Niech tylko spróbują! – Muzyka z dołu zabrzmiała głośniejsze, a on objął ją ramionami w talii i zakręcił w powietrzu.

– Postaw mnie! – na wpół wyszeptano, na wpół zaśmiała się, zartobliwie uderzając go w ramię.

– Czy w taki sposób młode damy powinny odnosić się do swoich

wielbicieli? – zapytał z przesadnym, fałszywym akcentem z „Feniksa”.

– Przestań – zachichotała, łapiąc go za rękę – naprawdę nie powinno cię tu być.

Luke zatrzymał się i przyciągnął ją do siebie.

– Powinienem być wszędzie tam, gdzie ty.

– Ależ to zbyt ryzykowne... – powiedziała cicho, przytulając się do niego.

Uśmiechnął się.

– W takim razie zrobmy wszystko, żeby ryzyko nam się opłaciło.

Objął jej głowę i pocałował ją prosto w usta.

Glass uniosła dłoń, żeby zapukać ponownie, lecz drzwi się otworzyły. Jej serce na chwilę zamarło.

Luke stał na progu. Jego płowe włosy i ciemnobrązowe oczy wyglądały dokładnie tak, jak zapamiętała. Oglądała je w więzieniu co noc – we śnie. W jej marzeniach chłopak nie miał jednak tak zaskoczonej miny jak teraz.

– Luke – szepnęła, czując, że wszystkie emocje zgromadzone przez ostatnie dziewięć miesięcy szukają ujścia. Tak bardzo chciała mu wyznać, co się stało, dlaczego z nim zerwała, a potem zniknęła. Opowiedzieć, że w każdej minucie półrocznego koszmaru myślała o nim, że nigdy nie przestała go kochać. – Luke – spróbowała jeszcze raz, a łza popłynęła jej po policzku. Spędziła w więziennej celi wiele wieczorów, szepcząc jego imię pomiędzy kolejnymi spazmami płaczu. Dlatego teraz, kiedy mogła wymówić je w jego obecności, czuła się zupełnie

nierealnie.

Zanim jednak zdołała wypowiedzieć choćby jedno ze słów przelatujących jej przez głowę, w drzwiach pojawiła się kolejna postać, dziewczyna o rudych włosach spływających falami na ramiona.

– Glass?

Glass spróbowała się uśmiechnąć. To była Camille, przyjaciółka Luke’a z dzieciństwa, dziewczyna, z którą łączyło go to, co Wellsa z Glass. A teraz była tu... w mieszkaniu Luke’a. „Oczywiście”, pomyślała Glass ze znużeniem i goryczą. Zawsze się zastanawiała, czy pomiędzy Camille a Lukiem jest coś więcej, niż on byłby skłonny przyznać.

– Może wejdiesz? – zapytała Camille z przesadną grzecznością w głosie.

Jej dłoń objęła rękę Luke’a, ale Glass poczuła się, jakby palce rudowłosej wpiły się w jej serce. Podczas gdy ona spędziła miesiące Odosobnienia, tęskniąc za Lukiem do tego stopnia, że czuła fizyczny ból, on po prostu zmienił obiekt uczuć.

– Nie... nie, w porządku – odpowiedziała Glass ochryple.

Nawet gdyby zdołała znaleźć odpowiednie słowa, w tej sytuacji nie mogła powiedzieć chłopakowi prawdy. Teraz, kiedy zobaczyła ich razem, wszystkie jej zabiegi i całe ryzyko, które podjęła, by się z nim zobaczyć, wyglądały wyjątkowo śmiesznie.

– Wpadłam, żeby się przywitać...

– Wpadłaś, żeby się przywitać?! – powtórzył Luke. – Po prawie roku ignorowania moich wiadomości zdecydowałaś tak po prostu sobie wpaść?! – Nie próbował nawet ukryć wściekłości. Camille wypuściła jego dłoń. Uśmiech stęzał jej na twarzy w nieruchomy grymas.

– Ja... przepraszam. Zostawię was samych...

– Co tu jest grane?! – spytał Luke, wymieniając z Camille spojrzenie, które sprawiło, że Glass poczuła się rozpaczliwie głupio i strasznie samotnie.

– Nic – odparła szybko, bezskutecznie próbując powstrzymać drżenie głosu. – Pogadamy później... Do zobaczenia... – zakończyła ze słabym uśmiechem, ignorując wściekłe żądania swojego ciała, by pozostać blisko Luke'a.

Odeszłaby spod jego drzwi, ale wtedy dostrzegła kątem oka mundur. Gwałtownie wciągnęła powietrze i odwróciła twarz od przechodzącego strażnika.

Luke zacisnął usta, spoglądając przez jej głowę. Glass zdała sobie sprawę, że czyta wiadomość wyświetlaną na implancie. Ze sposobu, w jaki poruszały się mięśnie jego szczęki, rozumiała z mdlącą pewnością, że wiadomość ta dotyczy właśnie jej.

Jego źrenice rozszerzyły się, kiedy dotarła do niego treść przekazu... i wtedy się przeraził.

– Glass – zaczął ochryple – zostałaś Odosobniona.

To nie było pytanie. Skinęła głową.

Na chwilę skupił wzrok na jej twarzy, po czym westchnął i zacisnął dłoń na jej ramieniu. Czuła palce

Luke'a przez cienką tkaninę koszulki i mimo niepokoju jej skóra zamrowiła pod tym dotykiem.

– Chodź – powiedział, pociągając ją za sobą.

Camille odsunęła się w bok z wyraźną irytacją. Kiedy Glass weszła do mieszkania, Luke szybko zamknął drzwi.

W małym saloniku było ciemno – Luke i Camille przebywali przy wyłączonym świetle. Glass spróbowała odepchnąć od siebie możliwe implikacje tego faktu, patrząc, jak Camille siada w fotelu, który prababka Luke'a znalazła na bazarze. Przesząpiła z nogi na nogę, nie wiedząc, czy powinna również usiąść. Status eksdziewczyny Luke'a wydał się jej nagle bardziej kłopotliwy niż status zbiegłego więźnia. Przez sześć miesięcy Odosobnienia przyjęła do wiadomości, że jej czyny miały kryminalny charakter, ale nie wyobrażała sobie nigdy, jak by to było – stać w tym mieszkaniu, czując się kompletnie obco.

– Jak ci się udało uciec? – zapytał.

Glass zastanowiła się przez moment. Przez cały okres Odosobnienia wyobrażała sobie, co powie Luke'owi, jeśli kiedykolwiek jeszcze się z nim spotka. A teraz, gdy jej się to w końcu udało, wszystko, co wcześniej wymyśliła, zabrzmiałoby powierzchownie i samolubnie. Właśnie zdała sobie sprawę z tego, że Luke miał własne życie. Po co mówić mu prawdę? Chyba tylko po to, aby odbić go Camille i poczuć się mniej samotnie? Drżącym głosem Glass szybko opowiedziała mu o setce więźniów i ich tajnej misji, o postrzeleniu zakładnika i pościgu.

– Wciąż nie rozumiem jednego. – Luke rzucił przez ramię szybkie spojrzenie na Camille, która już nawet nie udawała, że nie zwraca uwagi na ich rozmowę. – Za co właściwie cię Odosobniono?

Glass uciekła wzrokiem. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Gorączkowo myślała nad fałszywym, ale wiarygodnym wyjaśnieniem. Nie mogła powiedzieć prawdy, nie teraz, kiedy był już z kimś innym, kiedy stało się oczywiste, że nie czuł już do niej tego samego, co ona do niego.

– Nie mogę o tym mówić – odparła cicho. – Nie zrozumiałbyś...

– Ach, świetnie – przerwał jej ostro Luke. – Wyjaśniłaś to już wyczerpująco: jest mnóstwo rzeczy, których nie rozumiem.

Przez króciutką chwilę Glass żałowała, że nie została w ładowniku razem z Clarke i Wellsem. Nie sądziła, że można czuć się tak samotnie, stojąc obok ukochanego mężczyzny. Bardziej samotnie niż na spustoszonej Ziemi.



# ROZDZIAŁ 5

Clarke

Strzały za bardzo wstrząsnęły więźniami, aby przez pierwsze dziesięć minut podróży w ogóle zauważyli, że znajdują się już w przestrzeni kosmicznej. Byli pierwszymi ludźmi od prawie trzystu lat, którzy opuścili Kolonię na dłużej! Fałszywy strażnik osiągnął to, czego chciał. Odepchnął bezwładne ciało kanclerza, gdy luk lądownika właśnie się zamykał, wskoczył do środka i opadł ciężko na fotel. Widząc jego bladą, oszołomioną twarz, Clarke domyśliła się, że nie miał w planach strzelaniny.

Mimo to bardziej od widoku rannego kanclerza zaniepokoiło ją coś innego, co zobaczyła tuż przedtem.

W lądowniku znajdował się również Wells.

Kiedy ujrzała, jak wchodzi na pokład, była pewna, że to halucynacja. Prawdopodobieństwo postradania zmysłów w izolatce było nieskończenie większe niż możliwość, iż syn kanclerza zostanie Odosobniony. Clarke przeżyła wielki szok, gdy miesiąc po niej w celi obok pojawiła się Glass, najbliższa przyjaciółka Wellsa. A teraz on sam?

Nieprawdopodobne, ale prawdziwe. Patrzyła, jak skacze na równe nogi, widząc swojego ojca w roli zakładnika, a potem opada bezsilnie na fotel, gdy przemówiła broń prawdziwych strażników, podczas gdy zakrwawiony oszust przemykał na pokład lądownika. Wiedziona instynktem, chciała podejść do Wellsa i pocieszyć go, ale powstrzymało ją coś mocniejszego niż uprząż. To przez niego powlekli jej rodziców do komory straceń. Jeżeli cierpiał z powodu swojego ojca, należało mu się.

– Clarke...

Spojrzała w bok i zobaczyła, że z miejsca odległego o kilka rzędów szczerzy do niej zęby w uśmiechu Thalia. Jej przyjaciółka z celi była chyba jedyną osobą, która nie gapiła się na fałszywego strażnika. Mimo ponurych okoliczności Clarke musiała odpowiedzieć uśmiechem – dobry humor Thalii zawsze był zaraźliwy. Zaraz po zatrzymaniu Clarke i egzekucji jej rodziców, kiedy przygnębienie wydawało się przytłaczać ją tak, że nie mogła oddychać, Thalia potrafiła sprawić, że wszyscy w celi wybuchali śmiechem. Jej popisową rolą była parodia zadufanego w sobie strażnika, który na widok dziewczyny przestaje powłóczyć nogami i rusza sprężystym krokiem.

– Czy to on? – zapytała teraz bezgłośnie Thalia, wskazując Wellsa ruchem głowy.

Była jedyną osobą, która wiedziała o wszystkim – nie tylko o rodzicach przyjaciółki, ale o niewypowiedzianej strasznej zbrodni, którą popełniła.

Clarke potrząsnęła głową na znak, że to nie jest

najlepszy moment na rozmowę, lecz Thalia uparcie powtórzyła pytanie. Gdy Clarke ponownie dała jej do zrozumienia, by przestała, główne silniki lądownika z rykiem zbudziły się do życia, zgniatając jej słowa na ustach.

To działo się naprawdę. Po raz pierwszy od stuleci ludzie opuścili Kolonię. Spojrzała na pozostałych pasażerów: wszyscy umilkli, chwilą spontanicznej ciszy żegnając świat, który pozostawiali za sobą.

Chwila ta nie trwała jednak zbyt długo. Przez następne dwadzieścia minut na pokładzie lądownika rozbrzmiewała nerwowa, pełna podniecenia gadanina setki młodych ludzi, którzy jeszcze kilka godzin wcześniej nie mieli pojęcia, że polecą na Ziemię. Thalia próbowała krzyczeć coś do przyjaciółki, ale jej słowa ginęły w powszechnym gwarze.

Clarke słyszała tylko rozmowę siedzących przed nią dziewczyn, które kłóciły się o to, czy powietrze na Ziemi nadaje się do oddychania.

– Wolałabym raczej paść trupem na miejscu, niż zatruwać się powoli przez wiele dni – powiedziała posepnie jedna z nich.

Clarke w sumie się z nią zgadzała, trzymała jednak buzię na kłódkę. Takie rozważania nie miały sensu. Podróż na Ziemię nie potrwa długo – w ciągu kilku minut dowiedzą się, co ich czeka.

Wyjrzała przez okno, wypełnione teraz szarą mgłą. Nagle lądownikiem szarpnęło, a gwar rozmów ustąpił miejsca chórowi jęków.

– Wszystko w porządku – krzyknął Wells, zabierając głos po raz pierwszy od chwili, gdy zatrzasnął się luk wejściowy. – Podczas wchodzenia w ziemską atmosferę można się spodziewać turbulencji! – Jego słowa utonęły jednak w ogólnym wrzasku pasażerów.

Wstrząsy stały się coraz silniejsze, a po chwili dołączyło do nich dziwne buczenie. Uprząż wpiła się w brzuch Clarke, gdy rzuciło nią z boku na bok, potem w górę i w dół, a w końcu znów na lewo i prawo. Jej nozdrza wypełnił kwaśny smród i zdała sobie sprawę, że dziewczyna z fotela przed nią zwymiotowała. Clarke poczuła mdłości. Zacisnęła powieki, próbując się uspokoić. „Wszystko w porządku – pomyślała. – Za minutę te męki się skończą”.

Buczenie zmieniło się w przeszywające wycie przerywane od czasu do czasu głośnym trzaskiem. Clarke otworzyła oczy i zobaczyła, że okna popękały. Nie było w nich już szarej mgły.

Zamiast niej błysnęły płomienie.

Na pasażerów lądownika posypały się kawałki rozgrzanego do białości metalu. Clarke uniosła ramiona, by chronić głowę, ale mimo to czuła, jak metalowe pociski parzą ją w kark.

Lądownik zatrząsł się jeszcze mocniej i część sufitu odpadła z potwornym rykiem. Nastąpił ogłuszający huk, a po nim łomot, który posłał fale bólu przez jej ciało.

I nagle, równie gwałtownie, jak się zaczęło, wszystko się skończyło.

W kabinie było teraz ciemno i nienaturalnie cicho. Z dziury po panelu kontrolnym unosił się leniwymi kłębamii dym, a powietrze zgęstniało od zapachu stopionego metalu, potu i krwi.

Clarke skrzywiła się, próbując poruszyć palcami u rąk i nóg. Bolało, ale chyba nic sobie nie złamała. Rozpięta pasy upręży i wstała chwiejnie, dla zachowania równowagi trzymając się przypalonego oparcia fotela.

Większość pasażerów siedziała jeszcze przypięta, ale niektórych wstrząsy wyrzuciły z foteli i rozpląszczyły na podłodze. Clarke zmrużyła oczy, szukając wzrokiem Thalii. Puls przyspieszał jej za każdym razem, kiedy oczy odnajdywały kolejne puste miejsce. Do zdezorientowanego umysłu Clarke dotarła potworna prawda: podczas zderzenia z ziemią niektórzy pasażerowie zostali wyrzuceni na zewnątrz.

Pokuśtykała przed siebie, zaciskając zęby i usiłując ignorować kłujący ból w nodze. Dotarła do luku i z całych sił pociągnęła za dźwignię. Wzięła głęboki oddech i wyskoczyła na zewnątrz.

Przez chwilę widziała tylko kolory, nie kształty. Pasy błękitu, zieleni i brązu były tak intensywne, że jej mózg nie nadążał z ich przetwarzaniem. Poczwała, jak powiew wiatru łaskocze jej skórę i przynosi zapachy, których nie potrafiła zidentyfikować. Najpierw rozpoznała drzewa. Stały ich wokół setki, tak jakby przybyły wszystkie z całej planety, aby uczcić ich powrót na Ziemię. Uniosły potężne konary w geście powitania ku radośnie błękitnemu niebu. Grunt

rozciągał się we wszystkie strony – dziesięć razy dalej niż najdłuższy pokład na statku. Przestrzeń naokoło była rozległa ponad pojęcie. Clarke poczuła nagłą lekkość, tak jakby miała zaraz unieść się w powietrze i poszybować gdzieś daleko.

Niejasno zdawała sobie sprawę z jakichś głosów z tyłu. Odwróciła się i zobaczyła, że kilku innych pasażerów wychodzi powoli z lądownika.

– Jak tu pięknie... – wyszeptała ciemnoskóra dziewczyna, opuszczając drżącą dłoń, by dosięgnąć lśniących, zielonych źdźbeł trawy.

Niski, krępy chłopak zrobił kilka chwiejnych kroków naprzód. Sztuczna grawitacja w Kolonii była wyregulowana tak, żeby naśladować ziemską, ale porównanie z przyciąganiem na planecie dowodziło, że nie grzeszyła precyzją.

– Wszystko w porządku – powiedział, a w jego głosie zabrzmiała mieszanina ulgi i zdziwienia. – Mogliśmy wrócić na Ziemię wieki temu!

– Nie wiesz tego na pewno – odparła dziewczyna. – To, że można oddychać, nie oznacza, że powietrze nie jest toksyczne. – Odwróciła się ku niemu i uniosła rękę, pokazując bransoletę. – Rada nie dała nam ich dla ozdoby. Chcą zobaczyć, co się z nami stanie.

Mniejsza dziewczyna, krążąca wokół lądownika, jęknęła i zasłoniła usta kołnierzem kurtki.

– Oddychaj normalnie – poradziła jej Clarke, rozglądając się za Thalią.

Żałowała, że nie może powiedzieć czegoś bardziej pocieszającego, ale nie potrafiła sprawdzić, czy w atmosferze wciąż nie unoszą się radioaktywne elementy. Mogli tylko czekać z nadzieją, że wszystko dobrze się skończy.

– Wkrótce będziemy z powrotem – powiedział ojciec, wkładając kurtkę, w której Clarke nigdy go dotąd nie widziała. Podszedł do tapczanu, na którym leżała zwinięta w kłębek z tabletem w dłoniach, i zmierzwił jej piśszczotliwie włosy. – Nie wracaj zbyt późno. Ostatnio strażnicy zrobili się bardzo zasadniczy, jeżeli chodzi o godzinę policyjną. Chyba chodzi o jakieś kłopoty na „Waldenie”.

– Nigdzie się nie wybieram – odparła Clarke, wskazując swoje białe stopy i luźne spodnie, które zakładała do spania.

Umiejętności dedukcyjne jej ojca pozostawiały wiele do życzenia, zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę jego status najstydniejszego naukowca w Kolonii. Tyle czasu poświęcał badaniom, że nie orientował się nawet, czy spodnie od piżamy są uznawane wśród szesnastolatków za ostatni krzyk mody.

– W każdym razie byłoby dobrze, gdybyś trzymała się daleko od laboratorium – ostrzegł ją beztróskim tonem, jakby ta myśl właśnie przyszła mu do głowy.

W rzeczywistości mówił to kilka razy dziennie, od kiedy przenieśli się do nowego mieszkania. Rada przychyliła się do ich prośby o nietypową prywatną pracownię, ponieważ nowy projekt rodziców wymagał całodobowego monitorowania eksperymentów.

- Dobrze, obiecuję – odparła Clarke z przesadną cierpliwością.

- Chodzi o to, że niebezpiecznie jest przebywać w pobliżu tych radioaktywnych próbek – wyjaśniła matka sprzed lustra, przy którym układała sobie fryzurę. – Zwłaszcza bez odpowiedniego wyposażenia.

Clarke jeszcze raz przyrzekła trzymać się z daleka od laboratorium, a zaraz potem rodzice wyszli i mogła wreszcie wrócić do swojego tabletu. Zastanawiała się leniwie, co powiedziałyby Glass i jej przyjaciele, gdyby wiedzieli, że Clarke spędza piątkowy wieczór na odrabianiu pracy domowej. Zazwyczaj traktowała przedmiot „literatura ziemska” obojętnie, ale to zadanie ją zainteresowało. Zamiast zadać kolejne przewidywalne wypracowanie na temat zmieniających się wizji przyrody w poezji przed kataklizmem, nauczyciel poprosił ich o porównanie i opis różnic w modzie na wampiry z dziewiętnastego i dwudziestego pierwszego wieku.

Mimo że materiały źródłowe były interesujące, musiała w którymś momencie przysnąć. Gdy usiadła, prostując plecy, światła imitujące naturalny dobowy rytm były przyćmione, a całe mieszkanie – pełne poplątanych cieni. Wstała i skierowała się ku swojej sypialni, kiedy ciszę przeszył dziwny dźwięk. Clarke zamarta. Brzmiało to niemal jak czyjś krzyk. Zmusiła się do głębokiego wdechu... Nie powinna była czytać o wampirach tuż przed snem.

Ruszyła korytarzem, ale usłyszała kolejny dźwięk wywołujący dreszcz przerażenia.



„Przeستاń!” – skarciła się Clarke. Nigdy nie zostanie lekarzem, jeżeli pozwoli, żeby umysł płatał jej takie figle. To tylko wpływ ciemnego wnętrza nowego mieszkania. Rano wszystko wróci do normy. Przesunęła dłoń nad czujnikiem przy drzwiach sypialni i już miała do niej wejść, kiedy znów usłyszała udręczony jęk.

Serce waliło jej jak młotem. Odwróciła się i poszła długim korytarzem prowadzącym do laboratorium. Drzwi, zamiast w skaner siatkówki, wyposażone były w klawiaturę. Clarke musnęła panel koniuszkami palców, zastanawiając się przez chwilę, czy będzie umiała odgadnąć hasło, a potem pochyliła się i przycisnęła ucho do drzwi.

Zawibrowały, kiedy następny dźwięk zabrzączał jej w głowie. Zamarta. „To niemożliwe”. Potem jednak usłyszała go kolejny raz, i to jeszcze wyraźniej.

Z tym, że nie był to jęk bólu. To było słowo.

„Proszę...”.

Palce Clarke zatańczyły na klawiaturze, gdy wprowadzała pierwsze hasło, jakie przyszło jej do głowy: „Pangea”. Matka używała tego słowa do ochrony zaszyfrowanych plików. Panel zapiszczał i wyświetlił komunikat o błędzie. Jeszcze raz! Tym razem wpisała „Elizjum”, nazwę podziemnego miasta z mitologii, w którym – zgodnie z baśniami opowydany mi dzieciom z Kolonii na dobranoc – ludzie znaleźli schronienie po kataklizmie. Kolejny błąd. Palce zawisły nad klawiaturą, podczas gdy Clarke gorączkowo grzebała w pamięci w poszukiwaniu kodu. „Lucy” – imię nadane najstarszemu

człekształtnemu stworzeniu, którego szczątki odnaleźli ziemscy paleontologowie. Rozległ się niski dźwięk i drzwi stanęły otworem.

Pracownia była dużo większa, niż myślała, większa niż całe ich mieszkanie. Wypełniały ją rzędy wąskich, szpitalnych łóżek.

Żrenice Clarke rozszerzyły się, gdy przebiegała po nich wzrokiem. Na każdym leżało dziecko. Większość spała, podłączona do monitorów i kroplówek, ale kilkoro siedziało podpartych poduszkami, trzymając na kolanach tablety. Mała dziewczynka, najwyraźniej jeszcze raczkująca, bawiła się na podłodze przy łóżku zniszczonym pluszowym misiem, a przezroczysty płyn spływał z plastikowej torebki do jej żył.

Myśli Clarke galopowały w poszukiwaniu wyjaśnienia. Dzieci na łóżkach musiały być ciężko chore i wymagać całodobowej opieki. Może cierpiały na rzadką chorobę, którą tylko jej matka potrafiła wyleczyć, a może to właśnie ojciec był na progu odkrycia nowej kuracji i potrzebował stałego dostępu do pacjentów? Musieli wiedzieć, że Clarke będzie to ciekawilo, ale ponieważ przypadłość była prawdopodobnie zaraźliwa, skłamali, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo.

Dobiegł ją znowu ten sam głos, który słyszała wcześniej w mieszkaniu, tym razem dużo głośniejszy. Podążyła za nim do łóżka po drugiej stronie laboratorium.

Dziewczyna w jej wieku – jedna z najstarszych w całym pomieszczeniu – leżała na wznak, z ciemnoblonde włosami rozrzuconymi na poduszce wokół trójkątnej twarzy. Przez chwilę

tylko patrzyła na Clarke.

– Proszę – wydyszała drżącym głosem – pomóż mi.

Clarke spojrzała na etykietkę przyklejoną do monitora funkcji życiowych. „PODMIOT 121”.

– Jak masz na imię? – zapytała.

– Lilly.

Clarke stała niezdecydowanie, ale gdy leżąca przesunęła się kawałek, usiadła obok niej na łóżku. Dopiero zaczęła staż w szpitalu i nie miała jeszcze doświadczenia, lecz wiedziała, że lekarz powinien być w bliskim kontakcie z pacjentem.

– Jestem przekonana, że niedługo wrócisz do domu – stwierdziła. – Jak tylko poczujesz się lepiej.

Dziewczyna skuliła się pod kołdrą, schowała głowę i powiedziała coś, ale jej głos był zbyt stłumiony, żeby Clarke mogła rozróżnić poszczególne słowa.

– Co mówisz? – spytała.

Obejrzała się przez ramię, szukając wzrokiem pielęgniarki lub stażystki opiekującej się pacjentami pod nieobecność rodziców. Nikt taki jednak się nie pojawiał. A gdyby coś się stało któremuś z dzieci?

Dziewczyna uniósł głowę, ale nie patrzyła na Clarke. Przygryzła wargę, a tży w jej oczach zniknęły, pozostawiając przeraźliwą pustkę.

Przemówiła wreszcie niemal niesłyszalnym szeptem:

– Tutaj nikt nigdy nie czuje się lepiej.

Dreszcz zgrozy przeszedł Clarke po plecach. Choroby były na

statku rzadkością. Ofiary ostatniej epidemii zostały poddane kwarantannie w odizolowanych pomieszczeniach na pokładzie „Waldena”. Rozejrzała się po laboratorium, szukając czegoś, co wskazywałoby, jaką dolegliwość leczą tu rodzice, aż jej wzrok spoczął na olbrzymim ekranie w głębi pomieszczenia. „Podmiot 32. Wiek: 7. Dzień 189. 3,4 Gy. Czerwone ciałka. Białe ciałka. Oddychanie. Podmiot 33. Wiek: 11. Dzień 298. 6 Gy. Czerwone ciałka. Białe ciałka. Oddychanie”.

Z początku Clarke nie widziała w tych danych nic szczególnego. Było oczywiste, że jej rodzice monitorują parametry życiowe chorych dzieci powierzonych ich opiece... może poza tym, że Gy nie miało nic wspólnego z tymi parametrami. Grej był jednostką dawki pochłoniętej radiacji. Wiedziała o tym, ponieważ rodzice od lat badali efekt wystawienia na promieniowanie. Stanowiło to część projektu mającego na celu ustalenie, kiedy powrót na Ziemię będzie bezpieczny dla ludzi.

Spojrzenie Clarke spoczęło na bladej twarzy Lilly i w tym momencie objął ją nagły chłód, który wypełził z jakiegoś ciemnego zakamarka jej umysłu. Spróbowała zmusić go, żeby wrócił tam, skąd przyszedł, ale wywinął się jej zręcznie, zagłuszając wszystkie myśli poza prawdą, tak straszliwą, że Clarke o mało nie zwymiotowała.

Badania rodziców nie ograniczały się już do kultur komórkowych. Teraz objęły całe organizmy – i to ludzkie.

Matka i ojciec nie leczyli tych dzieci. Oni je zabijali.

Wylądowali na polanie mającej z grubsza kształt litery

„L”.

Większość pasażerów nie odniosła poważniejszych obrażeń, ale ci, których to spotkało, zajęli Clarke sporo czasu. Przez blisko godzinę z oderwanych rękawów kurtek i nogawek spodni robiła prowizoryczne opaski uciskowe. Kilku osobom ze złamaniami kazała leżeć spokojnie, dopóki nie znajdzie sposobu na usztywnienie połamanych kości. Zasoby misji leżały porzucane na trawie, ale grupa posłana na poszukiwania skrzyni z lekarstwami nie potrafiła jej odnaleźć.

Poobijany lądownik stał na części polany stanowiącej krótsze ramię „L”. Przez pierwszy kwadrans pasażerowie gromadzili się wokół dymiącego wraku, zbyt przerażeni i otumanieni, żeby odejść od niego dalej niż na kilka kroków. Teraz jednak zaczęli kręcić się po całej polanie. Clarke nie dostrzegła Thalii ani Wellsa, chociaż nie była pewna, czy brak tego ostatniego zaniepokoił ją, czy też przyniósł ulgę. Może chłopak uciekł, podobnie jak Glass? Clarke nie widziała jej w lądowniku, ale musiała przecież gdzieś się podziać.

– Jak się czujesz? – zapytała, powracając myślami do ładnej dziewczyny z wielkimi oczami, postrzępioną czerwoną wstążką w ciemnych włosach i spuchniętą kostką.

– Lepiej – odpowiedziała tamta, wycierając nos wierzchem dłoni i niechętnie rozsmarowując po twarzy krew z niewielkiego rozcięcia.

Clarke musiała znaleźć prawdziwe bandaże i antyseptyki. Wszyscy byli narażeni na kontakt z nowymi

dla nich bakteriami. Istniało znaczne ryzyko infekcji.

– Zaraz wracam. – Clarke uśmiechnęła się do dziewczyny i wstała.

Jeżeli skrzyni z lekarstwami nie było na polanie, prawdopodobnie znajdowała się gdzieś w lądowniku. Pospieszyła do dymiącego wraku i obeszała go wokół, szukając najbezpieczniejszej drogi do środka. Gdy dotarła do tylnej części, oddalonej od linii drzew zaledwie o parę metrów, zadrżała. Po tej stronie polany las rósł tak gęsto, że panował półmrok, a liście rzucały na ziemię cienie o zawilym wzorze, zmieniającym się, gdy tylko powiał wiatr.

Zmrużyła oczy, koncentrując wzrok na kształcie, który się nie poruszał. To nie był cień.

Na ziemi, pomiędzy korzeniami drzew, leżała dziewczyna, która podczas lądowania musiała wypaść przez tylną część statku. Clarke poznała krótkie, kręcone włosy leżącej oraz piegi na jej nosie i poczuła, jak w gardle narasta jej łkanie. Thalia!

Pospieszyła ku niej i uklękła obok. Z rany na skraju żeber ciekła krew, plamiąc trawę wokół na ciemnoczerwono, tak jakby to sama ziemia krwawiła. Thalia oddychała, ale każdy oddech był ciężki i płytki.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptała Clarke, łapiąc dłoń przyjaciółki. – Przysięgam, Thalia, wszystko będzie dobrze.

Brzmiało to bardziej jak modlitwa niż zapewnienie mające pokrycie w rzeczywistości, chociaż Clarke nie była

pewna, do kogo się modli. Ludzie opuścili Ziemię w jej najczarniejszej godzinie, dlaczego więc Ziemię miałyby obchodzić, ilu ich zginie podczas prób powrotu?

# ROZDZIAŁ 6

Wells

Wells poczuł pierwsze ukłucie wieczornego chłodu i zadygotał. W ciągu kilku godzin od lądowania temperatura nieco spadła. Przysunął się bliżej ogniska, ignorując szydercze uśmiechy chłopaków z „Arkadii” siedzących po jego obu stronach. Każdej nocy Odosobnienia zapadał w sen, marząc o przybyciu na Ziemię z Clarke. Rzeczywistość okazała się nieco inna: zamiast trzymać ją za rękę i podziwiać razem cudowne krajobrazy planety, przez cały dzień sortował nadpalone zapasy, usiłując zapomnieć minę, jaką zrobiła Clarke na jego widok. Nie spodziewał się, że dziewczyna zarzuci mu ramiona na szyję, ale nic nie przygotowało go na czyste obrzydzenie, jakie zobaczył w jej oczach.

– Jak myślisz, twój stary już kopnął w kalendarz? – zapytał jeden z waldenitów, kilka lat młodszy od Wellsa, a dzieciaki parsknęły śmiechem.

Wells zeszytniał, ale zmusił się do zachowania spokoju. Bez problemu poradziłby sobie z kilkoma



gnojkami. Na kursie oficerskim był niekwestionowanym mistrzem walki wręcz. Tu jednak miał dziewięćdziesięciu pięciu przeciwników – dziewięćdziesięciu sześciu, jeżeli liczyć Clarke, w tej chwili chyba najmniej zagorzałą fankę Wellsa na całej planecie.

Kiedy ładowano ich do lądownika, zdumiała go nieobecność Glass. Wszyscy na „Feniksie” przeżyli szok, kiedy niedługo po Clarke Odosobniono również Glass – a Wells, mimo że wiele razy naciskał w tej sprawie ojca, nigdy nie dowiedział się, za co. Żałował, że nie wie, dlaczego nie wybrano jej do udziału w misji. Chociaż próbował wmówić sobie, że może została ułaskawiona, dużo bardziej prawdopodobne było, że wciąż przebywała w więziennej celi, odliczając dni do zbliżających się szybko osiemnastych urodzin. Ta myśl sprawiła, że żołądek skręcił mu się w korkociąg.

– Ciekawym, czy kanclerski synalek myśli, że zaklepał sobie całe żarcie? – zapytał arkadyjczyk z kieszeniami pełnymi racji żywnościowych pozbieranych podczas zamieszania po lądowaniu. Na ile Wells był w stanie ocenić, przydzielono im zapasy jedzenia na mniej niż miesiąc, a jeżeli ludzie dalej będą chomikować wszystko, co znajdują, żywność skończy się jeszcze szybciej. Niemożliwe – musiały być jeszcze jakieś zasobniki. Na pewno je znajdują, jak tylko skończą przesiewać to, co pozostało z wraku.

– A może się spodziewa, że będziemy mu ścielić łóżeczko? – parsknęła niska dziewczyna z blizną na czole.

Wells zignorował ich, spoglądając w nieskończony przestwór nieba. Było naprawdę zadziwiające. Mimo że widywał je już wcześniej na fotografiach, nigdy nie wyobrażał sobie, że jego kolor może być tak intensywny. Dziwne, że cienka kołdra błękitu – na który składały się tak ulotne elementy jak kryształki azotu i załamane światło – dzieli go od morza gwiazd i jedyne światła, który dotąd znał. Poczul nagły ból na myśl o trójce dzieciaków, które nie dożyły tych widoków. Ich ciała leżały po przeciwnej stronie lądownika.

– Łóżko? – odparł chłopak z przesadnym zdumieniem.  
– A gdzie ja ci tu znajdę łóżko?

– No to na czym, do cholery, mamy spać? – zapytała dziewczyna z blizną, rozglądając się, jakby oczekiwała, że magicznym sposobem wyrosnie przed nią sypialnia.

Wells odchrząknął.

– W bagażach mamy namioty. Musimy tylko zakończyć poszukiwania i zorientować się, czym dysponujemy. Jednocześnie powinniśmy wysłać zwiadowców na poszukiwanie źródła wody, żebyśmy wiedzieli, gdzie rozstawić obóz.

Dziewczyna teatralnie rozejrzała się na wszystkie strony.

– No, to mi wygląda całkiem nieźle – powiedziała, prowokując dalsze chichoty.

Wells nakazał sobie spokój.

– Jeśli znajdziemy w pobliżu strumień lub jezioro, będzie łatwiej...

– O, świetnie – przerwał mu niski głos. – Zdążyłem w sam raz na wykład.

Wells spojrział w bok i zobaczył zbliżającego się ku nim chłopaka imieniem Graham. Poza Wellsem i Clarke był jedynym mieszkańcem „Feniksa”, ale wydawał się dobrze znać większość waldenitów i arkadyjczyków, a oni wszyscy traktowali go z zaskakującym szacunkiem. Wells nie chciał nawet zgadywać, co zrobił Graham, żeby na niego zasłużyć.

– Nie wygłaszałem żadnego wykładu. Próbuję tylko zrobić coś, żebyśmy mogli przeżyć.

Graham uniósł brwi.

– A to ciekawe, jak się pomyśli, że twój ojciec wciąż skazuje naszych przyjaciół na śmierć... ale nie martw się, wiem, że jesteś po naszej stronie – uśmiechnął się krzywo do Wellsa. – Bo przecież jesteś, prawda?

Wells spojrział na niego ostrożnie, a potem skinął głową.

– Oczywiście, że tak.

– No to – ciągnął Graham przyjacielskim tonem, który dziwnie kontrastował z wrogim błyskiem w jego oku – coś ty, chłopie, przeskrobał?

– To niezbyt grzeczne pytanie, prawda? – uśmiechnął się Wells, mając nadzieję, że jego uśmiech wygląda wystarczająco tajemniczo.

– Och, przepraszam! – Twarz Grahama przybrała wyraz udawanego przerażenia. – Wybacz mi! Widzisz, kiedy ktoś spędził ostatnie osiemset czterdzieści siedem dni życia zapuszkowany na dnie statku, to mógł zapomnieć, jak wygląda grzeczna rozmowa na „Feniksie”!

– Osiemset czterdzieści siedem dni? – powtórzył Wells.

– W takim razie można założyć, że nie zostałeś Odosobniony za doprowadzenie z magazynu paru ziółek?

– Nie – odparł Graham, robiąc krok naprzód w kierunku rozmówcy. – Nie za to. – Zapadła cisza, a Wells zauważył, że kilka osób przesunęło się niezdecydowanie, natomiast inni pochylili się naprzód, by nie uronić słowa z ich starcia. – Trafiłem do Odosobnienia za morderstwo.

Ich oczy spotkały się. Wells postarał się, by jego spojrzenie było całkowicie wyprane z emocji. Nie chciał dać Grahamowi satysfakcji, okazując, jak bardzo nim to wstrząsnęło.

– Ach, tak? – rzekł beztrasko. – A kogo zabiłeś?

Graham uśmiechnął się zimno.

– Gdybyś spędził z nami trochę czasu, wiedziałbyś, że to właśnie jest uznawane za niegrzeczne pytanie. – Nastąpił moment pełnej napięcia ciszy, zanim Graham zmienił ton. – Nie szkodzi. Wiem, co zrobiłeś. Kiedy synek kanclerza zostaje zapuszkowany, wieści szybko się rozchodzą. Widać, że i tak byś się nie przyznał. No, ale tak sobie miło gadamy, więc może powiesz nam dokładnie, co tutaj robimy. Może nam wyjaśnisz, dlaczego tak wielu naszych przyjaciół wciąż jest skazywanych na śmierć po ponownych procesach. – Graham dalej się uśmiechał, ale jego głos był niski i groźny. – I dlaczego właśnie teraz? Co kazało twojemu ojcu tak nagle wysłać nas tutaj?

Jego ojciec. Przez cały dzień, pochłonięty doświadczeniami życia na Ziemi, Wells prawie zdołał

przekonać sam siebie, że scena na pokładzie startowym – ostry trzask wystrzałów, krew, która zakwitła czerwienią na piersi jego ojca – była tylko przerażającym snem.

– Oczywiście nie powie nam tego – zadrwił Graham. – A może jednak, żołnierzyku? – dodał z szyderczym salutem.

Obserwujący go arkadyjczycy i waldenicy obrócili się teraz ku Wellsonowi, a pod ich zachłannymi spojrzeniami skóra zaczęła mu mrowić. Pewnie, że wiedział, co się działo. Dlaczego tak wiele nastolatków w swoje osiemnaste urodziny było karanych egzekucją za przestępstwa, które dawniej bywały puszczane płazem. Dlaczego misja została przygotowana w takim pośpiechu i tak kiepsko zaplanowana.

Wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, ponieważ była to jego wina.

– Kiedy wrócimy do domu? – zapytał chłopiec wyglądający na niewiele ponad dwanaście lat.

Wells poczuł nieoczekiwane ukłucie współczucia dla jego zrozpaczonej matki, która pozostała gdzieś na statku. Nie miała pojęcia, że jej syn został rzucony przez kosmiczną przestrzeń na planetę, którą ludzie pozostawili na pewną śmierć.

– Jesteśmy w domu – odparł Wells, starając się, by jego słowa zabrzmiały tak szczerze, jak tylko to możliwe.

Gdyby powtórzył to jeszcze kilkaset razy, być może nawet sam by w to uwierzył.

Niewiele brakowało, by przeoczył tegoroczny koncert. Od

zawsze było to jego ulubione wydarzenie. Tego jedyne go wieczoru starożytne instrumenty były wyjmowane z próżniowych komór konserwacyjnych. Muzycy, którzy normalnie ćwiczili na symulatorach, wyczarowywali z tych zabytków nuty i akordy, a widzom wydawało się, że są świadkami zmartwychwstania. Rzeźbione i budowane przez dawno zmarłych twórców, jedyne pozostałe we wszechświecie instrumenty sprawiały, że w Kolonii rozbrzmiewały melodie niegdyś odbijające się echem w salach koncertowych dawno wymarłych cywilizacji. Raz w roku Salę Edenu wypełniała muzyka, która przetrwała dłużej niż ludzkość na Ziemi.

Kiedy Wells wszedł do sali – dużego, owalnego pomieszczenia o zakrzywionym panoramicznym oknie, przygniatający go od tygodnia smutek zaczął ciążyć mu fizycznie, niczym ciężka bryła w brzuchu. Zazwyczaj widok przez okno wydawał mu się niewiarygodnie piękny, ale tej nocy migoczące gwiazdy, które otaczały spowitą chmurami Ziemię, przypominały mu nagrobne znicze. Jego matka kochała muzykę.

Sala była jak zwykle pełna po brzegi. Unosił się w niej gwar podnieconych głosów. Na koncercie stawiała się większość mieszkańców „Feniksa”; wiele kobiet chciało pochwalić się nowymi sukienkami. Te wściekle drogie kreacje zazwyczaj składały się ze skrawków materiałów, które można było znaleźć na bazarze. Wells przesunął się o kilka metrów, wywołując w tłumie falę szepców i znaczących spojrzeń.

Próbował skoncentrować uwagę na scenie, gdzie zbierali się

muzycy – pod drzewem, od którego Sala Edenu wzięła swoją nazwę. Legenda głosiła, że jego sadzonka cudownie przetrwała spalenie Ameryki Północnej i została przetransportowana na „Feniksa” tuż przed exodusem. Teraz drzewo sięgało do sufitu, a jego korona rozpościerała się na ponad dziesięć metrów w każdym kierunku, tworząc zielony namiot częściowo zastaniający wykonawców welonem zielonkawego cienia.

– Czy to syn kanclerza? – zapytała kobieta stojąca za nim.

Nowa fala gorąca napłynęła do już zarumienionych policzków Wellsa. Nigdy nie był odporny na ciekawskie spojrzenia i niedyskretne uwagi, ale dzisiaj czuł, że są wyjątkowo nieznośne.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia. Raptem zamarł – czyjaś dłoń chwyciła go za ramię. To była Clarke.

– Dokąd biegniesz? – spytała kpiąco.

Wells uśmiechnął się pośępnie.

– Wygląda na to, że nie jestem w koncertowym nastroju.

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem objęła dłońią jego dłoń.

– Zrób mi tę grzeczność i zostań. – Poprowadziła go ku dwóm pustym miejscom w tylnym rzędzie. – Potrzebuję cię do objaśniania, czego będziemy słuchać.

Wells westchnął, sadowiąc się obok Clarke.

– Już ci mówiłem, że dzisiaj zagrają Bacha – wyjaśnił, rzucając tęskne spojrzenie ku wyjściu.

– Wiesz, o czym mówię. – Splotła swoją dłoń z jego. – Który koncert, jaka część. – Uśmiechnęła się. – Poza tym zawsze klaszczę

nie wtedy, kiedy trzeba.

Wells ścisnął jej dłoń.

Nikt nie ogłaszał rozpoczęcia koncertu ani nie przedstawiał muzyków – nie było takiej potrzeby. Gdy zabrzmiały pierwsze takty, tłum momentalnie ucichł, jakby smyczek skrzypka, opadając na struny, przeciął zarazem wszystkie rozmowy. Natychmiast dołączyła do niego wiolonczela, a potem klarnet. Tego wieczoru nie grały bębny, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Wells niemal słyszał dudnienie dwustu serc bijących w jednym rytmie z muzyką.

– Tak właśnie sobie wyobrażałem brzmienie zachodu słońca – wyszeptał.

Słowa wymknęły mu się z ust, zanim zdążył pomyśleć, więc przygotował się na dezaprobatę lub zdziwienie.

Jednak muzyka rzuciła zakłęcie również na Clarke.

– Bardzo bym chciała zobaczyć zachód słońca – wymruczała, opierając głowę na jego ramieniu.

Wells roztargnionym gestem pogłaskał jej jedwabiste włosy.

– Chciałbym oglądać zachód słońca razem z tobą. – Pochylił się i pocałował ją w czoło. – Co masz w planach za jakieś siedemdziesiąt pięć lat? – wyszeptał.

– Czyszczenie sztucznej szczęki – uśmiechnęła się Clarke. – A dlaczego pytasz?

– Właśnie wpadłem na pomysł, żeby umówić się z tobą na pierwszą randkę – na Ziemi.

Dzień powoli miał się ku końcowi, a blask ogniska



pełgał po twarzach ludzi stojących wokół Wellsa.

– Wiem, że cała ta misja wydaje się dziwna, przerażająca, a nawet, zgadzam się, nieuczciwa, ale jesteśmy tu z jakiegoś powodu – przemówił do tłumu. – Jeżeli my tutaj przeżyjemy, przeżyje cała ludzkość.

Blisko sto twarzy obróciło się ku niemu i przez chwilę myślał, że jego słowa przedarły się przez pokłady zadawnionej niechęci i ignorancji. Wtedy jednak nowy głos przerwał ciszę.

– Ostrożnie, Jaha.

Wells obrócił się i zobaczył wysokiego chłopaka w zakrwawionym mundurze straży. To on wdarł się siłą do ładownika, wzięwszy ojca Wellsa na zakładnika.

– Ziemia ciągle jeszcze się regeneruje. Nie wiemy, jak wiele twoich bzdur może znieść.

Kolejna fala parsknięć i chichotów doprowadziła Wellsa do furii. Przez tego faceta jego ojciec – odpowiedzialny za ochronę całej ludzkiej rasy – został postrzelony, a teraz chłopak miał czelność oskarżać Wellsa o opowiadanie bzdur?

– Słucham? – powiedział, wysuwając podbródek i rzucając rozmówcy swoje najlepsze oficerskie spojrzenie.

– Przestań ściemniać, dobra? Powiedz, o co ci naprawdę chodzi. Jeżeli zrobimy dokładnie to, co powiesz, to nie zakapujesz nas tatusiowi, tak?

Wells zacisnął szczęki i zmrużył oczy.

– Dzięki tobie mój ojciec jest prawdopodobnie w szpitalu! – „Pod najlepszą możliwą opieką, powracając

szybko do zdrowia”, dodał w myślach, mając nadzieję, że to prawda.

– Jeżeli w ogóle przeżył – wtrącił Graham i roześmiał się obelżywie.

Przez sekundę Wellsowi wydawało się, że obcy chłopak skrzywił usta.

Wells zrobił krok ku niemu, ale wtedy przerwał mu kolejny głos z tłumu:

– Więc nie jesteś szpiegiem?

– Kim? Szpiegiem? – Wells prawie wybuchnął śmiechem.

– Taa – zgodził się fałszywy strażnik. – Szpiegujesz nas jak te bransolety, co?

Wells spojrzał bacznie na chłopaka w źle dopasowanym mundurze. Czy powiedziano mu, w jakim celu zakładają im bransolety, czy też sam się tego domyślił?

– Nie sądzisz, że gdyby rada chciała was szpiegować – zaczął, ignorując komentarz na temat przekaźników – wybraliby do tej roli kogoś mniej znanego i nie tak oczywistego?

Jego rozmówca uśmiechnął się ironicznie.

– Może innym razem podyskutujemy o dobrych i złych pomysłach rządu twojego ojca. A teraz po prostu powiedz, co do cholery tutaj robisz, jeżeli nie jesteś szpiegiem? Nikt nie uwierzy, że naprawdę zostałeś Odosobniony.

– Przykro mi – odparł Wells tonem, który zawierał wszystko, tylko nie żal. – Zjawiasz się w skradzionym

mundurze straży i bierzesz mojego ojca na zakładnika, żeby dostać się na statek. Uważam, że to ty jesteś nam winien wytłumaczenie.

Chłopak zmrużył oczy.

– Zrobiłem to, co musiałem, żeby chronić moją siostrę.

– Twoją siostrę?! – powtórzył Wells.

Prawa prokreacyjne były łamane częściej na „Waldenie” niż na „Feniksie”, ale nigdy nie słyszał o kimś, kto miałby rodzeństwo. Nie po kataklizmie.

– Właśnie tak – rozmówca Wellsa skrzyżował ręce na piersi i popatrzył na niego wyzywająco. – A teraz pytam raz jeszcze: co naprawdę tutaj robisz?

Wells postąpił krok naprzód. Nie musiał nic nikomu wyjaśniać, a już na pewno nie temu kryminaliście, który prawdopodobnie kłamał w kwestii siostry i nie tylko. Wtedy jednak jego uwagę przyciągnął nagły ruch. Zbliżała się Clarke, która po przeciwnej stronie polany zajmowała się rannymi.

Oczy Wellsa znów spoczęły na wysokim chłopaku w mundurze. Westchnął, czując, jak ulatnia się gniew.

– Jestem tu z tego samego powodu co ty. – Popatrzył na Clarke, wciąż jeszcze znajdującą się poza zasięgiem słuchu. – Dałem się Odosobnić, żeby chronić kogoś, na kim mi zależy.

Wszyscy ucichli. Wells odwrócił się i ruszył do niej, nie dbając o to, czy odprowadzają go wzrokiem, czy też nie.

Widok ukochanej przez chwilę zawładnął jego umysłem. Oświetlenie na polanie zmieniło się, niebo

pociemniało, a włosy dziewczyny, rozświetlone błyskami ognia, zdawały się płonąć. Na Ziemi wyglądała o wiele piękniej niż kiedykolwiek.

Ich oczy spotkały się i Wells poczuł na plecach dreszcz. Niecały rok temu potrafiłby powiedzieć, co myśli Clarke, po prostu na nią spojrzawszy. Teraz jednak wyraz jej twarzy był nieprzenikniony.

– Co ty tu robisz, Wells? – zapytała zmęczonym i napiętym głosem.

„Jest w szoku” – pomyślał Wells, zmuszając się do akceptacji tak kiepskiego wyjaśnienia.

– Przybyłem dla ciebie – powiedział miękko.

Jej twarz przybrała dziwny wyraz, będący mieszanką smutku, frustracji i litości. W niewytłumaczalny sposób emocje te przedostały się z jej oczu do jęgo serca.

– Szkoda, że to zrobiłeś – westchnęła i przeszła obok, oddalając się bez jednego spojrzenia.

Jej słowa pozbawiły go powietrza. Przez chwilę Wells myślał tylko o tym, żeby świadomie kontrolować oddech. Potem usłyszał pomruk głosów od strony ogniska i obrócił się wbrew sobie, powodowany ciekawością. Wszyscy wskazywali na niebo, na którym rozbrzmiewała prawdziwa symfonia barw.

Najpierw na błękicie pojawiły się pomarańczowe pasma, jak obój dołączający do fletu i zmieniający solo w duet. Harmonia ta wystrzeliła w crescendo kolorów, kiedy do chóru dodały swoje głosy żółty i różowy. Niebo pociemniało, wyostrzając tło barwnej palety. Określenie

„zachód słońca” nie oddawało nawet w nikłym stopniu piękna spektaklu rozgrywającego się nad ich głowami. Po raz tysięczny, od kiedy wyszli z lądownika, Wells poczuł, że słowa, których nauczo go, by opisywać Ziemię, bledną w porównaniu z przedmiotem opisu.

Nawet Clarke, która od lądowania nie miała ani chwili odpoczynku, zamarła. Przekrzywiła głowę, żeby lepiej podziwiać cuda dziejące się w górze. Wells nie musiał widzieć jej twarzy, żeby wiedzieć, że otworzyła szeroko oczy, lekko rozchyliła usta i ogląda z zachwytem coś, o czym dotąd mogła tylko pomarzyć. Coś, o czym marzyli oboje, poprawił się. Odwrócił wzrok, nie mogąc znieść pięknego widoku. W jego piersi narastało bolesne uczucie, twarde i ostre. To był pierwszy zachód słońca od trzech stuleci, na jaki patrzyli ludzie, a on musiał oglądać go samotnie.

# ROZDZIAŁ 7

## Bellamy

Promień wschodzącego słońca zmusił Bellamy'ego do zmrużenia oczu. Zawsze uważał, że starożytni poeci mieli w głowach sieczkę, a na pewno brali lepsze prochy niż te, których on kiedykolwiek próbował... ale poza tym wszystko się zgadzało. Wschód słońca był prawdziwym szaleństwem – niebo z czarnego stawało się szare, a potem eksplodowało różnokolorowymi pasmami. Co prawda nie miał ochoty śpiewać ani robić nic podobnego, ale cóż – nigdy nie miał skłonności artystycznych.

Pochylił się i naciągnął koc na ramiona Octavii. Poprzedniego wieczoru dostrzegł jego róg wystający z jednego z zasobników i walcząc o niego, niemal wybił zęby innemu dzieciakowi. Teraz westchnął, patrząc na oddech krystalizujący się w powietrzu. Biały obłok zawisł przed nim na dłużej, niż byłoby to możliwe na statku, gdzie wentylacja praktycznie wysysała powietrze z płuc, zanim miało szansę opuścić je samodzielnie.

Rozejrzał się po polanie. Kiedy ta cała Clarke,

zbadawszy Octavię, oznajmiła, że dziewczynka ma tylko skręconą kostkę, Bellamy przeniósł siostrę pod drzewa, gdzie spędzili noc. Miał zamiar trzymać się na dystans od reszty grupy, dopóki nie zorientuje się, kto jest prawdziwym, groźnym przestępcą, a kto po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

Uścisnął dłoń siostry. To przez niego została Odosobniona. To jego wina, że znalazła się tutaj. Powinien był się zorientować, że coś planuje; przez całe tygodnie opowiadała, jaki głód cierpią niektóre dzieciaki z jej sali. Było tylko kwestią czasu, kiedy zrobi coś, by je nakarmić – nawet jeżeli oznaczało to kradzież. Jego bezinteresowna siostrzyczka została skazana na śmierć za zbyt wielkie serce.

Dlatego musiał ją chronić... i po raz pierwszy w życiu ją zawiódł.

Bellamy wypiął pierś i uniósł głowę. Był wysoki jak na sześciolatka, ale to nie powstrzymywało ludzi od rzucania mu zdziwionych spojrzeń, gdy przeciskał się przez zatłoczone centrum dystrybucji. Reguły nie zabraniały dzieciom przychodzić tu samodzielnie, ale rzadko się to zdarzało. Przepowiedział sobie jeszcze raz listę, którą matka kazała mu powtórzyć dwa lub trzy razy, zanim pozwoliła, by poszedł na zakupy. „Posiłek z błonnikiem – dwa punkty. Pakiet glukozy – jeden punkt. Sproszkowane ziarna – dwa punkty. Płatki z bulw – jeden punkt. Chleb proteinowy – trzy punkty”.

Obszedł dwie kobiety, które zatrzymały się, żeby powybrzydzać na jakieś białe rzeczy, które wyglądały jak mózg. Bellamy przewrócił

oczami i poszedł dalej. Kogo obchodziło, że „Feniks” dostaje najlepsze kęski z solarnych plantacji? Jeśli ktoś miał ochotę na warzywa, prawdopodobnie był skazany na małe, papkowane, białe „mózgi”.

Umieścił dłonie pod dystrybutorem błonnika, złapał wysuwający się pakiet i włożył go sobie pod pachę. Zaczął się przepychać do sekcji z bulwami, kiedy jego wzrok przykuło coś jasnego i błyszczącego. Odwrócił się i zobaczył wewnątrz wystawowej lady stos czerwonych, okrągłych owoców. Zazwyczaj nie zwracał uwagi na drogie rzeczy zamykane w przezroczystych ladach – pokręcone marchewki przypominające palczaste pomarańcze czy też brzydkie grzyby wyglądające bardziej jak głowy wysysających mózgi zombiaków niż pożywienie. Te jednak były inne. Owoce miały różowy odcień, taki sam, jaki pojawiał się na twarzy jego sąsiadki Rilli, gdy bawili się na korytarzu w inwazję obcych. A raczej – dopóki się bawili, ponieważ ojciec Rilli został zabrany przez strażników, a ona sama przeniesiona do centrum opieki.

Bellamy stanął na palcach, żeby przeczytać cenę z panelu. Jedenaście punktów. To było mnóstwo pieniędzy, ale chciał zrobić coś miłego dla matki, która od trzech dni nie wstawiała z łóżka. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak można być tak zmęczonym.

– Chcesz jedno? – zapytał rozdrażniony głos. Chłopiec spojrzął w górę na kobietę w zielonym kombinezonie. – Kupuj albo odejdz.

Policzki Bellamy’ego poróżnowiały. Przez chwilę miał ochotę uciec, ale w końcu oburzenie przeważyło nad zakłopotaniem. Nie



pozwoli, żeby zły humor jakiejś baby z dystrybucji powstrzymał go od kupna smakołyku, na który zasługiwała jego mama.

– Wezmę d w a ! – powiedział wyniosłym tonem, na który matka zawsze reagowała, przewracając oczami i pytając „Po kim ty to masz?”. – I proszę zapakować je bardzo delikatnie – dodał znacząco.

Kobieta za ladą uniosła brwi i popatrzyła na strażników za stołem, przy którym dokonywano płatności. Nikt na „Waldenie” nie lubił funkcjonariuszy straży, ale matka Bellamy’ego szczególnie się ich obawiała. Ostatnio, widząc patrol, brała syna za rękę i odwracała się w innym kierunku. Czy zrobiła coś złego? Czy bała się, że strażnicy zabiorą ją ze sobą, tak jak zabrali ojca Rilli? „Nie – powiedział sobie – nie pozwolę im”.

Wziął jabłka i pomaszerował do kasy. Inny pracownik działu dystrybucji zeskanował jego kartę, gapił się przez chwilę na informację wyświetlaną na ekranie, w końcu jednak wzruszył ramionami i kazał mu przejść dalej. Jeden ze strażników rzucił mu badawcze spojrzenie, ale Bellamy patrzył prosto przed siebie. Zmusił się, by iść wolnym krokiem, dopóki nie opuścił centrum dystrybucji. Wtedy ruszył biegiem, trzymając zakupy kurczowo przy piersi, aż wpadł do korytarza prowadzącego ku ich mieszkaniu.

Przycisnął dłoń do czytnika, wszedł do domu i starannie zamknął za sobą drzwi. Nie mógł się doczekać, by pokazać mamie, co jej przyniósł. Wkroczył do salonu, ale światła się nie zapaliły. Czy czujnik znów się zepsuł? Poczł, jak żołądek robi mu się ciężki. Matka nienawidziła wzywać monterów. Nie lubiła, kiedy po domu kręcili się

obcy. Jak długo jednak można siedzieć w ciemności?

– Mamo! – krzyknął Bellamy, wpadając do jej pokoju. – Wróciłem! Udało mi się!

Tutaj czujnik oświetlenia działał. Lampy zapaliły się z cichym bzyčeniem, kiedy chłopiec przekroczył próg, ale łóżko było puste.

Bellamy zamarł, czując, że wzbiera w nim fala przerażenia. Odeszła. Zabrali ją. Był sam. Wtedy jednak do jego uszu dotarł przytłumiony dźwięk z kuchni. Panika ustępowała miejsca uldze, a potem podnieceniu. Westchnął. Mama wstała z łóżka!

Wbiegł do kuchni. Matka wyglądała przez małe okrągłe okienko wychodzące na ciemną klatkę schodową. Jedną rękę położyła na krzyżu, jakby coś ją tam bolało.

– Mamo! – zawołał. – Patrz, co ci przyniosłem.

Matka gwałtownie wciągnęła powietrze, ale nie odwróciła się.

– Bellamy – powiedziała, jakby był sąsiadem, który wpadł z niezapowiedzianą wizytą. – Wróciłeś. Połóż zakupy na stole i idź do swojego pokoju. Zaraz tam przyjdę.

Na twarzy chłopca odbiło się rozczarowanie, które przykuło mu stopy do podłogi. Chciał zobaczyć, jak matka zareaguje na owoce, które kupił.

– Patrz! – ponaglił ją, wyciągając ramiona, niepewny, co odbija się w ciemnym, zakurzonej okienku, w które była wpatrzona.

Spojrzała na niego przez ramię.

– A co to takiego? – Zmrużyła oczy. – Jabłka?

Zacisnęła usta i potarła skroń, tak jak robiła za każdym razem,

gdy wracała z pracy. Zanim jeszcze zachorowała.

– A ile to kosztuje... Nieważne. Idź do swojego pokoju, dobrze?

Układając pakiety na stole przy drzwiach, Bellamy czuł, że pocałował się w dłonie. Czy zrobił coś złego? Światła zamrugały i zgasty.

– Cholera – mruknęła matka, spoglądając na sufit. – Bellamy, już! – zakomenderowała.

Czy to na pewno była jeszcze jego matka? Znowu odwróciła od niego twarz, a jej głos wibrował w ciemności, aż w końcu zabrzmiał jak głos zupełnie obcej osoby.

Wymykając się z kuchni, Bellamy zaryzykował szybkie spojrzenie przez ramię. Mama wyglądała inaczej niż zwykle. Gdy obróciła się bokiem, miała brzuch wielki i okrągły, tak jakby chowała coś pod koszulą. Mrugnął, przekonany, że coś mu się przywidziało, i popędził do swojego pokoju, ignorując dreszcz przebiegający mu po plecach.

– Jak się czuje twoja siostra?

Bellamy spojrzał w górę. Nad nim stała Clarke. Patrzyła niespokojnie to na niego, to na śpiącą Octavię. Skinął głową.

– Myślę, że wszystko w porządku.

– To dobrze. – Uniosła brwi. – Bo chyba byłoby ci szkoda zrealizować groźbę z wczorajszego wieczora.

– A co powiedziałem?

– Przyrzekłeś mi, że jeśli nie ocalę twojej siostry, wysadziłeś w powietrze całą tę cholerną planetę i wszystkich, którzy na niej mieszkają.

Bellamy uśmiechnął się.

– W takim razie to dobrze, że ma tylko skręconą kostkę.

Przechylił głowę na bok i spojrział badawczo na Clarke. Worki pod oczami mówiły, że jest wyczerpana, ale jednocześnie fioletowe cienie sprawiały, że jej tęczęwki wyglądały na jeszcze bardziej zielone. Poczłł się głupio na myśl, że poprzedniego wieczoru zrobił z siebie takiego kretyna. Uważał ją za kolejną zapatrzoną w siebie dziewczynę z „Feniksa”, studiującą medycynę, żeby mieć się czym chwalić przed przyjaciółmi. Tymczasem napięcie widoczne na jej delikatnej twarzy i krew zaschnięta na złotych włosach świadczyły o tym, że od lądowania nie zazała chwili odpoczynku.

– Aha – kontynuował Bellamy, przypominając sobie deklarację Wellsa złożoną poprzedniego dnia przy ognisku, a potem sposób, w jaki potraktowała go Clarke. – Dlaczego właściwie byłaś taka nieprzyjemna wobec kanclerskiego synka?

Popatrzyła na niego z oburzeniem. Przez chwilę myślał, że dostanie w twarz, ale Clarke tylko potrząsnęła głową.

– Nie twój interes!

– To twój chłopak? – naciskał Bellamy.

– Nie – odpowiedziała bezbarwnym tonem. Potem jednak na jej ustach pojawił się uśmiech. – A co cię to obchodzi?

– Przeprowadzam spis ludności – odparł. – Głównie po to, żeby ustalić, czy wszystkie ładne dziewczyny na Ziemi mają już chłopaków.

Clarke przewróciła oczami. Z jej twarzy uleciała cała

wesołość, kiedy odwróciła się ku Octavii.

– O co chodzi? – zapytał Bellamy, przenosząc wzrok z Clarke na siostrę.

– Nic, nic – powiedziała szybko Clarke. – Chciałabym tylko móc potraktować to rozcięcie na jej twarzy środkiem odkażającym. A inni chorzy potrzebują antybiotyków.

– Jak to, nie mamy żadnych leków? – spytał Bellamy z przejęciem.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Sądzę, że skrzynie z lekami wypadły z lądownika przy zderzeniu... ale wszystko będzie dobrze – dodała szybko. Kłamstwo wystrzeliło jej z ust, zanim zdołała przybrać odpowiedni wyraz twarzy. – Przez pewien czas wytrzymamy. Ludzkie ciało ma niebywałą zdolność regeneracji... – Głos zamarł jej w krtani, kiedy dostrzegła zaschniętą krew na jego mundurze.

Bellamy skrzywił się, podążając za jej wzrokiem. Ciekawiło go, czy pomyślała o kanclerzu. Miał nadzieję, że przywódca Kolonii przeżył – miał już dość krwi na rękach. Prawdopodobnie i tak było to pozbawione większego znaczenia. Ten, kogo rada przyśle tutaj z następną grupą, najpewniej otrzyma rozkaz zabicia Bellamy’ego na miejscu i nie będzie go obchodzić, że kanclerz został postrzelony przypadkowo. Jak tylko Octavia poczuje się wystarczająco dobrze, wyniosą się stąd. Oddalą się od grupy o kilka dni drogi, a potem może znajdą jakieś miejsce, w którym osiądą. Nie marnował czasu w Kolonii, studiując znalezione na pokładzie B stare podręczniki sztuki

przetrwania. Był gotowy stawić czoła wszystkiemu, co mogło oczekiwać ich w tych lasach. Nic nie może być gorsze od tego, co nadleci z hukiem z kosmosu.

– Kiedy zacznie chodzić?

Clarke popatrzyła na Bellamy’ego.

– To paskudne skręcenie. Powiedziałabym, że przez kilka dni w ogóle nie powinna obciążać tej stopy, a potem tydzień lub dwa, aż całkiem wyzdrowieje.

– A może wcześniej?

Przechyliła głowę na bok i obdarzyła go nikłym uśmiechem, który przez chwilę pozwolił mu zapomnieć, że został wysłany na planetę o potencjalnie toksycznej atmosferze wraz z dziewięćdziesięcioma dziewięcioma młodocianymi przestępcami.

– A co, śpieszysz się?

Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, ktoś zawołał Clarke i dziewczyna szybko odeszła.

Bellamy zaczerpnął głęboko powietrza. Ku jego zaskoczeniu ten prosty akt rozjaśnił mu umysł, rozbudził go i wzmógł czujność. Powietrze mogło być zatrute, ale za każdym razem, kiedy brał wdech, czuł coś nienazwanego, intrygującego, jakby minęła go tajemnicza dziewczyna, która nawet na niego nie spojrzała, ale przeszła wystarczająco blisko, by poczuł zapach jej perfum.

Mimo że niechętnie oddalał się od Octavii, zrobił kilka kroków ku drzewom, chcąc przyjrzeć im się bliżej. Nie potrafił rozpoznać, do jakiego gatunku należą, a jedyny podręcznik ziemskiej botaniki, który znalazł, traktował

o roślinach afrykańskich, podczas gdy oni – według tego, co powiedział wczoraj Wells – wylądowali na wschodnim wybrzeżu kraju, który kiedyś był Stanami Zjednoczonymi.

Z tyłu trzasnęła gałązka. Obrócił się i dostrzegł dziewczynę z długą, wąską twarzą i włosami w strąkach.

– Czego chcesz?

– Wells mówi, że wszyscy zdrowi ludzie mają zbierać drewno.

Bellamy poczuł, jak irytacja ściska mu żołądek. Uśmiechnął się cierpko do dziewczyny.

– Nie wydaje mi się, żeby Wells miał tu cokolwiek do powiedzenia, więc jeżeli ci to nie przeszkadza, zajmę się teraz swoimi sprawami, okej? – Przeszła niezdecydowanie z nogi na nogę i nerwowo się obejrzała. – No, idź już sobie – rzucił Bellamy, ponaglając ją ruchem dłoni, i patrzył z satysfakcją, jak odbiega z tupotem.

Wyciągnął szyję i zagapił się w niebo. Wokół nich we wszystkich kierunkach rozciągała się pusta przestrzeń. Nie miało znaczenia, gdzie się znajdują – dowolne miejsce na tej planecie było nieskończenie lepsze od świata, który zostawili za sobą.

Po raz pierwszy w życiu poczuł się wolny.

# ROZDZIAŁ 8

## Glass

Glass spędziła resztę nocy na sofie Luke'a, wdzięczna, że Camille nie pyta, dlaczego odmówiła położenia się w pokoju, który przedtem należał do Cartera. Zdecydowali, że najlepiej dla niej będzie ukryć się w mieszkaniu Luke'a do zmiany straży o 6:00, kiedy częstotliwość patroli na korytarzach spadała.

Kręciła się i przewracała z boku na bok przez całą noc. Za każdym razem, gdy zmieniała pozycję, bransoleta wpijała jej się w skórę, boleśnie przypominając, że niebezpieczeństwo grozi nie tylko jej; że Wells jest oddalony o setki kilometrów, walcząc o przetrwanie na planecie, na której życie od wieków było niemożliwe. Zawsze marzył, żeby zobaczyć Ziemię, ale nie tak. Nie teraz, kiedy atmosfera wciąż jeszcze mogła być zatruta. Nie po tym, jak na własne oczy zobaczył, że postrzelono jego własnego ojca.

Leżała w ciemności, patrząc w sufit i wsłuchując się w nieznane dźwięki. Najłżejszy pomruk dochodzący zza



drzwi sypialni Luke'a sprawiał, że drętwiała. Lecz cisza była jeszcze gorsza.

Kiedy tylko do mieszkania zaczęło wdzierać się przez szparę pod drzwiami wejściowymi zewnętrzne oświetlenie, Luke i Camille wyszli z sypialni. Wyglądali na zmęczonych; najwyraźniej żadne z nich nie zaznało zbyt wiele snu. Luke miał już na sobie cywilne ciuchy, które nosił poza służbą, ale Camille ubrana była tylko w jedną z jego starych koszulek, której brzeg odsłaniał smukłe uda. Glass zarumieniała się i odwróciła wzrok.

– Dzień dobry – przywitał ją Luke.

Zabrzmiało to tak oficjalnie, że aż się skrzywiła. Ostatnim razem, kiedy usłyszała od niego takie powitanie, byli razem w łóżku, a Luke wyszeptał je prosto do jej ucha.

– Dzień dobry – zdołała odpowiedzieć, starannie wymazując z umysłu wspomnienie tamtego poranka.

– Musimy ci zdjąć tę bransoletę – wskazał na jej przegub.

Glass skinęła głową i wstała z sofy, czując się niezręcznie. Spojrzenie Camille wędrowało od niej do Luke'a, aż w końcu rudowłosa dziewczyna skrzyżowała ramiona na piersi i spytała go:

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? Co będzie, jeżeli ktoś was zobaczy?

– Już o tym rozmawialiśmy – odparł pośpiesznie. Mówił spokojnie, ale Glass dosłyszała w jego głosie nutę frustracji. – Jeżeli jej nie pomożemy, zabiją ją. Musimy jej pomóc. To będzie właściwe.

„To będzie właściwe”, pomyślała Glass. Tyle właśnie teraz dla niego znaczyła – życie, którego utratą nie chciał obciążać sobie sumienia.

– Lepiej ją niż ciebie – odparła Camille, a jej głos zadrżał.

Luke pochylił się i pocałował ją w czubek głowy.

– Wszystko będzie dobrze. Odprowadzę ją na „Feniksa”, a potem wrócę do domu.

Camille westchnęła. Rzuciła Glass koszulę i parę spodni.

– Masz – powiedziała. – Wiem, że nie są wystarczająco modne jak na wymagania kogoś z „Feniksa”, ale będziesz w nich wyglądać trochę bardziej wiarygodnie. Z tą fryzurą udawanie sprzątaczkki i tak ci nie wyjdzie.

Ścisnęła ramię Luke’a i wróciła do sypialni, pozostawiając go sam na sam z Glass.

Dziewczyna stała, z zakłopotaniem trzymając ubranie w rękach. Przez chwilę patrzyli na siebie. Gdy widziała Luke’a ostatnim razem, nie miałyby nic przeciwko przebieraniu się na jego oczach.

– Może powinnam... – Wskazała gestem były pokój Cartera.

– Och – powiedział Luke, czerwieniąc się. – Nie, ja tylko... Zaraz wracam.

Wycofał się do sypialni. Glass przebrała się szybko, próbując nie zwracać uwagi na szepty, które przedostawały się pod drzwiami, kłując ją jak komary.

Gdy Luke wrócił, Glass miała już na sobie za duże szare

spodnie i szorstką, gryzącą niebieską koszulkę. Luke spojrział na nią krytycznie.

– Coś wciąż nie pasuje – orzekł. – Nie wyglądasz już jak więzień, ale jak waldenitka – też nie.

Glass zaczęła z zażenowaniem wygładzać nogawki pogniecionych spodni, zastanawiając się jednocześnie, czy Luke wolałby być z dziewczyną, na którą pasowałby ten strój.

– To nie to – wyjaśnił. – To twoje włosy. Dziewczyny tutaj nie noszą takich długich.

– Dlaczego? – spytała.

Poczuła lekkie wyrzuty sumienia, kiedy zdała sobie sprawę, że sama nigdy tego nie zauważyła.

Luke odwrócił się i zaczął przetrząsać zawartość niewielkiego pojemnika stojącego pod ścianą.

– Pewnie dlatego, że ciężko byłoby o nie zadbać. Na „Waldenie” przydział wody jest mniejszy niż na „Feniksie”. – Obrócił się ku niej z triumfalną miną i pokazał jej starą, poplamioną czapkę.

Glass uśmiechnęła się słabo.

– Dzięki. – Wzięła od niego czapkę – ich dłonie zetknęły się przy tym na moment – i umieściła ją na głowie.

– Jeszcze coś – ocenił ze zmarszczonymi brwiami. Jedną ręką zdjął czapkę, a drugą delikatnie zwinął jej włosy w luźny węzeł na czubku głowy. – No, teraz dobrze – powiedział z satysfakcją, wkładając czapkę z powrotem.

Zapadła cisza. Luke powoli sięgnął i zaczesał kilka niesfornych kosmyków za ucho Glass. Jego szorstkie palce

dotknęły na moment jej szyi, a on popatrzył jej prosto w oczy.

– Gotów? – zapytała, odsuwając się na bok.

Czar prysnął.

– Tak. Chodźmy. – Luke obrócił się sztywno i poprowadził ją na korytarz.

Na „Waldenie” lampy nie świeciły tak jasno jak na „Feniksie”, więc na korytarzach panowała jeszcze ciemność, mimo że formalnie było już rano. Glass nie potrafiła rozpoznać, dokąd prowadzi ją Luke. Zacisnęła dłonie w pięści, powstrzymując się, by nie złapać go za rękę.

W końcu zatrzymali się przed słabo widocznymi drzwiami. Luke wyjął z kieszeni coś, czego Glass nie widziała, i przytknął do skanera. Piknięcie i drzwi stanęły otworem. Glass z nieprzyjemnym uczuciem zdała sobie sprawę, że dokądkolwiek Luke ją zabiera, zostawia za sobą ślady logowania i wprowadzania kolejnych kodów dostępu. Odpędziła od siebie myśl, co się stanie, jeśli rada zorientuje się, że jej towarzysz pomaga zbiegłemu więźniowi.

Nie było jednak innej możliwości. Pożegna się z matką i zaczeka, aż znajdą ją strażnicy. Nie będzie już więcej próbowała spotkać się z Lukiem. Nie powinna żądać, by narażał się dla niej. Nie po tym, co zrobiła.

Słabe brudnożółte światło zamigotało i wydobyło z mroku maszynę, której Glass nie potrafiła rozpoznać.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała, a jej głos odbił się

dziwnym echem.

– To jeden ze starych warsztatów. Tutaj naprawiano wyposażenie wyprodukowane jeszcze na Ziemi, zanim wymieniono je na nowe. Bywałem tu czasem podczas szkolenia.

Glass chciała zapytać, dlaczego strażnicy szkolili się właśnie tutaj, ale ugryzła się w język. Zawsze zapominała, że Luke odbywał staż jako mechanik, gdy został przyjęty do korpusu inżynierskiego straży. Rzadko opowiadał jej o tym okresie swojego życia. Glass poczuła piekący wstyd, że nie próbowała nigdy dowiedzieć się czegoś więcej o jego pracy. Nic dziwnego, że wołał Camille.

Stanął teraz przed olbrzymią maszyną i marszcząc brwi, ze skupioną miną wciskał różne guziki.

– Co to jest? – spytała Glass, kiedy urządzenie zaczęło niepokojąco buczeć.

– Przecinarka laserowa – odparł Luke, nie odwracając głowy.

Glass obronnym ruchem przycisnęła rękę do piersi.

– Co to, to nie!

Popatrzył na nią z rozbawieniem i irytacją.

– Tylko bez kłótni. Im prędzej zdejmiesz ci z ręki bransoletę, tym większa szansa, że uda ci się ukryć.

– A nie możemy po prostu spróbować jej otworzyć?

Luke potrząsnął przecząco głową.

– Musimy ją przeciąć. – Glass stała nieporuszona, więc wyciągnął z westchnieniem rękę. – Chodźże wreszcie! – powiedział, przyciągając ją do maszyny.

Dziewczyna stała jak przymurowana. Przez ostatnie pół roku nieustannie wyobrażała sobie, jak Luke przyciąga ją do siebie, ale w żadnej z tych wizji nie występował morderczy laser. Luke uniósł brwi.

– No, Glass?

Niechętnie podeszła do niego. Nie miała nic do stracenia. Lepiej, by Luke obciął jej rękę, niż żeby lekarz zrobił jej śmiertelny zastrzyk.

Klepnął płaską powierzchnię pośrodku maszyny.

– Wystarczy, że położysz tutaj dłoń.

Pstryknął przełącznikiem i cała maszyna zaczęła wibrować. Glass zadrżała, czując, jak jej skóra dotyka zimnego metalu.

– Wszystko będzie okej – uśmiechnął się Luke. – Obiecuję. Tylko się nie ruszaj.

Skinęła głową, zbyt przestraszona, żeby cokolwiek wykrztusić. Do buczenia dołączył po chwili wysoki pisk. Luke dokonał jeszcze kilku poprawek w ustawieniach, po czym stanął obok niej.

– Gotowa?

Glass przełknęła nerwowo ślinę.

– Tak.

Przytrzymał lewą dłonią jej przedramię, a prawą zaczął poruszać jedną z dźwigni maszyny. Przerażona Glass zobaczyła, jak do jej ręki zbliża się cienka czerwona nitka pulsująca niebezpieczną energią.

Zaczęła się trząść, ale Luke przytrzymał ją mocniej.

– Wszystko w porządku – wymruczał. – Stój

nieruchomo.

Światło było coraz bliżej. Luke skoncentrował się, nieruchomy wzrok utkwiał w przegubie dziewczyny, uważnie przesuwając promień lasera.

Zamknęła oczy, przygotowując się na ukłucie palącego bólu i protest nerwów odcinanej od ciała dłoni.

– Idealnie. – Głos Luke’a przedarł się przez jej przerażenie. Spojrzała. Bransoleta została rozcięta równo na dwie części, uwalniając jej przegub.

Westchnęła z ulgą, nieco jeszcze rozdygotana.

– Dziękuję.

– Nie ma za co – uśmiechnął się, wciąż trzymając ją za ramię.

Milczeli, wymykając się z warsztatu i ruszając z powrotem ku rękawowi łączącemu statki.

– Coś nie tak? – wyszeptał Luke, skręcając na kolejne schody, węższe i oświetlone gorzej niż jakiegokolwiek przejście na „Feniksie”.

– Nie.

Kiedyś Luke wzięłby ją pod brodę i patrzyłby jej w oczy tak długo, aż zaczęłaby chichotać. „Straszna z ciebie kłamczucha, Roszpunko”, powiedziała, nawiązując do bajki o dziewczynie, której włosy rosły za każdym razem, kiedy skłamała. Tym razem jednak kłamstwo Glass rozpląnęło się powietrzu.

– A... jak dawałeś sobie radę? – zapytała w końcu, nie mogąc znieść narastającego ciężaru milczenia.

Luke zerknął przez ramię i uniósł brew.

– Och, wiesz co, właściwie poza tym, że rzuciła mnie dziewczyna, którą kochałem, a potem przez jakieś bzdurne oskarżenia stracono mojego najlepszego kumpla, to całkiem nieźle.

Glass wzdrygnęła się na te słowa. Nigdy dotąd nie słyszała takiej goryczy w głosie Luke’a.

– Na szczęście miałem Camille...

Glass przytaknęła, ale gdy tylko spojrzała na profil Luke’a, poczuła ostre ukłucia oburzenia. Co według ciebie zrobiłam, że mnie Odosobniono? Dlaczego nie jesteś ciekawy ani zaskoczony? Czy myślisz, że naprawdę jestem taka straszna? Że popełniłam jakieś przestępstwo?

Luke zatrzymał się raptownie, a Glass prawie na niego wpadła.

– Przepraszam – mruknęła, usiłując odzyskać równowagę.

– Czy twoja matka wie, co się stało? – zapytał, odwracając się ku niej.

– Nie – odparła Glass. – To znaczy wie, że zostałam Odosobniona, ale nie wie o misji na Ziemię. – Kanclerz nie ukrywał przed nimi, że cała operacja jest ściśle tajna. Ich rodzice mieli zostać poinformowani dopiero wtedy, gdy rada upewni się, że dzieci przeżyły podróż... albo że nigdy nie wrócą.

– To miło, że chcesz się z nią zobaczyć.

Glass nie odpowiedziała. Wiedziała, że Luke myśli o własnej matce, która osierociła go, gdy miał dwanaście lat. Dlatego właśnie zamieszkał ze swoim sąsiadem



Carterem – wówczas osiemnastolatkiem.

– Tak... – powiedziała w końcu drżącym głosem. Rozpaczliwie pragnęła spotkać się z matką, ale wiedziała, że nawet bez bransolety strażnicy szybko ją znajdą. Co było ważniejsze? Pożegnać się? Czy oszczędzić matce bólu, jaki poczuje na widok córki zabieranej przez strażników na pewną śmierć? – Chodźmy już.

W milczeniu przeszli przez rękaw między statkami. Glass chłoneła widok mrugających gwiazd. Dopiero gdy została zamknięta w małej, ślepej celi, zdała sobie sprawę, jak uwielbia ich widok. Znów zerknęła na Luke'a, niepewna, czy czuć urazę, czy ulgę, że na nią nie patrzy.

– Powinieneś już wracać – powiedziała, kiedy dotarli do punktu kontrolnego na „Feniksie”, tak jak obiecał Luke, nieobsadzonego przez strażników. – Dalej trafię już sama.

Zacisnął usta i uśmiechnął się gorzko.

– Bo zbiegłaś z więzienia, a ja według twojej matki wci aż nie jestem wystarczająco dobrą partią?

– Nie o to mi chodzi! – zaprotestowała, myśląc o ciągu śladów pozostawionych przez niego na wszystkich skanerach. – Narażasz się, pomagając mi. Nie chcę, żebyś ryzykował życie. Już i tak wiele dla mnie zrobiłeś.

Luke zaczerpnął powietrza, jakby chciał odpowiedzieć, ale tylko skinął głową.

– W takim razie... okej.

Skrzywiła usta w wymuszonym uśmiechu, powstrzymując łzy.

– Dziękuję za wszystko.

Twarz Luke'a złagodniała nieco.

– Powodzenia, Glass. – Zaczął się pochyłać, a ona nie mogła się powstrzymać, żeby nie podnieść ku niemu głowy... ale odsunął się, z widocznym wysiłkiem odwracając od niej wzrok. Bez jednego słowa ruszył z powrotem. Glass patrzyła za nim, czując niemal fizyczny ból rozstania. Dlaczego odmówił jej ostatniego, pożegnalnego pocałunku?

Glass dotarła do drzwi, uniosła dłoń i zapukała. Otworzyły się i wyjrzała przez nie matka, Sonja. Z jej twarzy dało się wyczytać kolejno zaskoczenie, radość, zmieszanie i strach.

– Glass?! – zachłysnęła się i chwyciła córkę w ramiona, jakby nie wierząc, że naprawdę ją widzi. Glass rzuciła się w objęcia matki, upajając się zapachem jej perfum. – Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę! – Sonja jeszcze raz uścisnęła córkę, po czym wciągnęła ją do mieszkania i zamknęła drzwi. Cofnęła się o krok. – Zaczęłam już odliczać dni – obniżyła głos do szeptu. – Za trzy tygodnie kończysz osiemnaście lat...

Glass złapała spoconą dłoń matki i poprowadziła ją ku sofie.

– Chcieli nas wysłać na Ziemię – powiedziała. – Setkę więźniów. – Wzięła głęboki wdech i wyznała: – I ja miałam się znaleźć między nimi.

– Na... Ziemię?! – powtórzyła Sonja z wolna, niemal odsuwając się od słowa „Ziemia”, jakby próbując przyjrzeć mu się z dystansu. – O mój Boże!

– Podczas startu stało się jednak coś... nieprzewidzianego. Kanclerz... – Glass poczuła zawroty głowy, próbując odtworzyć scenę z pokładu startowego. Pomodliła się w myślach, by na Ziemi Wellsowi nic się nie stało, żeby był razem z Clarke i nie musiał cierpieć w samotności. – Nastąpiło straszne zamieszanie i mogłam uciec – kontynuowała opowieść. Szczegóły nie były teraz najważniejsze. – Przyszłam, żeby ci powiedzieć, że cię kocham.

Matka otworzyła szeroko oczy.

– Ach, więc to w ten sposób kanclerz został ranny. Och, Glass... – wyszeptała, biorąc córkę znowu w ramiona.

Glass wzdrygnęła się, gdy w korytarzu rozbrzmiał głośnym echem łoskot kroków. Spojrzała z obawą w kierunku drzwi, a potem odwróciła twarz ku matce.

– Nie mogę zostać dłużej – powiedziała, wstając.

Nogi pod nią zadrżały.

– Czeka! – Sonja podskoczyła i złapała Glass za ramię, ciągnąc ją z powrotem na sofę. Jej palce zacisnęły się wokół nadgarstka córki. – Kanclerz leży w szpitalu, pod respiratorem, co oznacza, że szefem jest wicekanclerz Rhodes. Nie powinnaś jeszcze wychodzić – przerwała na moment. – Rhodes ma całkiem inne podejście do... rządzenia. Jest szansa, że cię ułaskawi. Można go przekonać. – Sonja wstała i uśmiechnęła się, co rozświetliło nieco jej pełne łez oczy. – Poczekaaj tu.

– Musisz iść? – zapytała jej córka zamierającym głosem.

Czuła, że nie zniesie kolejnego pożegnania – nie wtedy, gdy może być ostatnie.

Matka pochyliła się i pocałowała ją w czoło.

– Zaraz wrócę.

Glass patrzyła, jak Sonja pośpiesznie nakłada makijaż i wychodzi wciąż jeszcze pustym korytarzem, a potem zwinęła się w kłębek na sofie i objęła kolana ramionami, próbując powstrzymać się od wybuchu emocji.

Nie była pewna, jak długo spała. Gdy tak leżała na poduszkach, wciąż jeszcze pamiętających kształt jej ciała, poprzednie pół roku wydawało się sennym koszmarem. Cella, na której wyposażenie składały się dwie metalowe prycze. Pochodząca z „Arkadii” milcząca, wściekła współtowarzyszka niedoli. Poczucie rozpaczki wiszące w powietrzu jeszcze długo po tym, jak wyschły ostatnie łzy.

Otworzyła oczy. Matka siedziała na sofie obok Glass, głaszcząc jej poplątane włosy.

– O wszystko się zatroszczyłam – powiedziała łagodnie.

– Ułaskawiono cię.

Glass przekręciła się, by spojrzeć matce prosto w oczy.

– Jak? – zapytała, wyrwana ze snu, odganiając wizję Luke’a, która pojawiła się pod jej powiekami przy przebudzeniu. – Dlaczego?

– Ludzie zaczynają się niepokoić – wyjaśniła Sonja. – Przez ostatni rok żaden z Odosobnionych nie wygrał ponownego procesu, więc cały system wydawał się niesprawiedliwy. Ty będziesz wyjątkiem – dowodem, że

wszystko działa tak, jak ma działać, że ci, którzy mogą się przydać społeczeństwu, dostają szansę powrotu. Zajął mi to trochę czasu, ale wicekanclerz Rhodes w końcu przyjął mój punkt widzenia – skończyła z ulgą, zapadając w miękkie poduszki sofy. Wyglądała na zmęczoną, ale szczęśliwą.

– Mamo... Nie umiem... Nie wiem... Dziękuję ci! – Glass nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć. Z uśmiechem usiadła na sofie i położyła głowę na ramieniu matki. A więc była wolna? Nie była pewna, czy dobrze rozumie znaczenie tego słowa.

– Nie musisz mi dziękować, kochanie. Dla ciebie zrobiłabym wszystko. – Sonja odgarnęła kosmyk włosów za ucho i uśmiechnęła się. – Tylko pamiętaj, żeby nie wspominać nikomu o misji na Ziemi. Mówię poważnie!

– Ale co się stało z innymi? Czy z Wellsem wszystko w porządku? Możesz się dowiedzieć?

Sonja potrząsnęła głową.

– Jeżeli o ciebie chodzi, nie było żadnej misji. Najważniejsze, że jesteś teraz bezpieczna. Dostałaś drugą szansę – powiedziała cicho. – Obiecuj mi tylko, że nie zrobisz nic nierozsądnego.

– Przyrzekam – powiedziała Glass, potrząsając głową z niedowierzaniem. – Przyrzekam.

# ROZDZIAŁ 9

Clarke

Clarke odsunęła klapę namiotu szpitalnego i wyszła na polanę. Mimo że namiot nie miał okien, dało się wyczuć, że nadchodzi świt. Niebo rozgorzało feerią kolorów, a ostre poranne powietrze dotarło do miejsc w jej mózgu, których istnienia nie była dotąd świadoma. Żałowała, że nie może dzielić tych wrażeń z dwojgiem ludzi odpowiedzialnych za to, że tak bardzo pragnęła zobaczyć Ziemię.

Jej rodzice odeszli.

– Dzień dobry.

Clarke zeszywniała. Nie potrafiła sobie teraz wyobrazić, że głos Wellsa kiedyś był jej najmiłszy we wszechświecie. To przez niego umarli jej rodzice. Ich ciała szybowały w niezmiernych przestworzach kosmosu, oddalając się coraz bardziej od wszystkiego, co znali i kochali. W chwili słabości Clarke powierzyła Wellsovi cudzą tajemnicę. Mimo że obiecał nie zdradzać jej nikomu, przed upływem doby opowiedział o niej ojcu. Tak bardzo chciał być idealnym synem, złotym chłopcem z „Feniksa”,

że zdradził dziewczynę, przed którą udawał miłość.

Obróciła się ku niemu. Mogła mu teraz dołożyć, ale chciała uniknąć jakiegokolwiek konfrontacji, która przedłużyłaby ich spotkanie.

Przeszła obok niego, a on chwycił ją za ramię.

– Zaczekaj chwilę, chciałem tylko...

Obróciła się na pięcie i uwolniła z jego uchwytu.

– Nie dotykaj mnie! – syknęła.

Wells cofnął się o krok z szeroko otwartymi oczami.

– Przepraszam – powiedział.

Głos mu nie zadrżał, ale zauważyła wyraz bólu na jego twarzy. Zawsze potrafiła zgadnąć, co ten chłopak czuje. Kiepsko mu wychodziły kłamstwa, dlatego w tym momencie wiedziała z całą pewnością, że wtedy, w Kolonii, mówił szczerze, kiedy obiecywał dochować tajemnicy. Coś jednak sprawiło, że zmienił zdanie, a najwyższą cenę zapłacili za to rodzice Clarke.

Nie poruszył się.

– Chciałem się tylko upewnić, że wszystko u ciebie w porządku – powiedział spokojnie. – Dzisiaj skończymy przeszukiwanie wraku. Czy jest coś, czego potrzebują twoi pacjenci?

– Tak. Sterylna sala operacyjna, kroplówki, tomograf, prawdziwi lekarze...

– Wykonujesz tu wspaniałą robotę.

– Szłoby mi jeszcze lepiej, gdybym spędziła ostatnie pół roku na stażu w szpitalu, a nie Odosobniona w celi.

Tym razem Wells był przygotowany na przytyk i jego

twarz pozostała obojętna.

Robiło się coraz jaśniej. Słońce oblewało polanę złotym światłem, w którym wszystkie przedmioty wyglądały jak wypolerowane do połysku. Trawa wydawała się bardziej zielona, na jej źdźbłach lśniły kropelki rosy. Na niepozornych krzakach zaczęły rozkwitać fioletowe pąki. Długie, smukłe płatki wyciągały się ku słońcu, kołysząc się w powietrzu, jakby tańczyły do muzyki słyszalnej tylko dla nich.

Wells czytał w jej myślach.

– Gdybyś nie została Odosobniona, nie byłoby cię tu teraz – powiedział cicho.

Gwałtownie obróciła się ku niemu.

– I co, uważasz, że powinnam być wdzięczna za to, co zrobiłeś? Widziałam, jak umierają dzieciaki, które wcale nie chciały tu przylatywać, ale musiały, bo jakiś gnojek, taki jak ty, doniósł na nie, żeby poczuć się ważny!

– Nie to miałem na myśli – westchnął i spojrzał jej prosto w oczy. – Clarke, tak mi przykro. Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo... ale nie zrobiłem tego, żeby poczuć się ważnym. – Uczynił ruch, jakby chciał do niej podejść, ale rozmyślił się i cofnął. – Cierpiałas, a ja chciałem pomóc. Wyglądałaś strasznie. Nie mogłem tego wytrzymać. Chciałem, żebyś poczuła się lepiej.

Czułość w jego głosie sprawiła, że żołądek Clarke skręcił się w korkociąg.

– No i zabili mi rodziców – powiedziała cicho, kolejny raz wyobrażając sobie tę scenę. Matka przygotowuje się na



ukłucie igły, a potem jej ciało stopniowo się wyłącza, aż do ostatnich, przerażających chwil, kiedy działa tylko mózg. Czy zaproponowano im tradycyjny ostatni posiłek? Zabolęła ją, gdy wyobraziła sobie nieruchome ciało ojca w kapsule, gotowe do wyrzucenia w próżnię, z palcami czerwonymi od jagód, które zjadł w samotności. – Taki ból nigdy nie znika.

Przez chwilę tylko patrzyli na siebie nawzajem, aż cisza stała się niemal fizycznie odczuwalna. Potem jednak Wells oderwał od niej oczy i spojrzał ku wierzchołkom drzew. Spośród liści dochodziły słabe odgłosy kojarzące się z muzyką.

– Słyszysz to? – wyszeptał, nie patrząc na nią.

Piosenka była zarazem dręcząca i radosna, jej pierwsze takty kojarzyły się z elegią dla gasnących gwiazd. Kiedy Clarke była pewna, że serce pęknie jej od słodko-gorzkiej melodii, muzyka poszybowała wzwyż, ogłaszając nadejście świtu.

Ptaki. Prawdziwe ptaki. Nie widziała ich, ale wiedziała, że tam są. Zastanawiała się, czy koloniści słyszeli śpiew ptaków, wsiadając na pokład ostatniego statku. Czy był to śpiew na pożegnanie? Czy ptaki połączyły głosy w chórze odśpiewującym rekwiem dla umierającej Ziemi?

– Niewiarygodne – powiedział Wells, obracając się ku niej z uśmiechem, który dobrze znała.

Zadygotała, jakby zobaczyła ducha – widmo chłopaka, któremu tak lekkomyślnie powierzyła swoje serce.

Clarke nie umiała powściągnąć uśmiechu, patrząc, jak Wells

przestępuje z nogi na nogę przed drzwiami jej mieszkania. Zawsze był nerwowy, kiedy całował ją w publicznym miejscu, ale od kiedy zaczął szkolenie oficerskie, znacznie mu się pogorszyło. Najwyraźniej okazywanie uczuć dziewczynie, gdy miał na sobie mundur, wydawało mu się krępujące. To doprawdy nieszczęśliwy zbieg okoliczności – u niej widok ukochanego w mundurze wywoływał jeszcze większe pragnienie, żeby go pocałować.

– Do widzenia, do jutra. – Clarke obróciła się i przycisnęła kciuk do czytnika.

– Czekaj – rzucił Wells, oglądając się i tąpiąc ją za ramię.

Westchnęła.

– Wells – zaczęła, próbując wyswobodzić się z jego chwytu. –

Muszę już iść.

Uśmiechnął się i złapał mocniej.

– Czy twoi rodzice są w domu?

– Tak. – Pochyliła głowę ku drzwiom. – Właśnie spóźniam się na kolację.

Wells popatrzył na nią wyczekująco. Wolął kolację z jej rodzicami o wiele bardziej niż milczący positek przy stole naprzeciwko swojego ojca, ale nie mogła go zaprosić, by do nich dołączył. Nie tego wieczoru.

Przechylił głowę na bok.

– Tym razem nie zrobię dziwnej miny, niezależnie od tego, co twój tato doda do pasty proteinowej. Trenowałem! – Jego twarz rozpromieniła się w komicznym uśmiechu i zaczął gorliwie kiwać

głową. – Ooo! To jest przepyszne!

Clarke zacisnęła usta i sekundę później odpowiedziała:

– Muszę dzisiaj porozmawiać z nimi... bez świadków.

Wells spoważniał.

– Co się dzieje? – Uwolnił jej ramię i uniósł dłoń do jej policzka. –

Czy wszystko w porządku?

– Jest świetnie.

Odsunęła się i odwróciła twarz, tak żeby oczy nie zdradziły jej kłamstwa. Musiała podyskutować z rodzicami o ich eksperymentach. Nie mogła odkładać tej rozmowy ani chwili dłużej.

– No dobrze – odparł powoli. – Widzimy się jutro?

Zaskoczył Clarke, zamiast pocałunku obejmując ją w talii i przyciągając do siebie. Ich wargi spotkały się i na chwilę zapomniała o wszystkim poza ciepłem jego ciała. Gdy jednak zamykała za sobą drzwi, przyjemne wrażenie zniknęło, a zamiast niego pojawiło się zimne ukłucie strachu.

Rodzice siedzieli na sofie. Popatrzyli na nią, kiedy wchodziła.

– Clarke. – Matka wstała, uśmiechając się. – Czy to Wells był z tobą za drzwiami? Może wstąpi do nas na kola...

– Nie – powiedziała Clarke ostrzej, niż chciała. – Możesz usiąść? Musimy porozmawiać. – Przeszła przez pokój i usiadła w fotelu naprzeciwko rodziców, drząc, kiedy o kontrolę nad jej ciałem walczyły dwie potężne siły: paląca wściekłość i rozpaczliwa nadzieja. Chciała, żeby rodzice przyznali się do tego, co zrobili, by jej gniew okazał się usprawiedliwiony, ale modliła się także, żeby

znaleźli jakąś dobrą wymówkę. – Odgadłam hasło – powiedziała po prostu. – I weszłam do laboratorium.

Matka otworzyła szeroko oczy, zapadając głębiej w miękkie poduchy sofy. Zacerpnęła powietrza i przez moment Clarke miała nadzieję, że usłyszy słowa, które wszystko wyjaśnią. Potem jednak matka wyszeptała to, czego Clarke tak się obawiała:

– Przepraszam...

Ojciec ujął dłoń matki i popatrzył na córkę.

– Przykro mi, że musiałaś to oglądać – powiedział cicho. – Wiem, że to... szokujące. Ale dzieciaki nie cierpią, tego jesteśmy pewni.

– Jak mogliście? – zabrzmiało słabiutko, jakby słowa nie zdołały unieść ciężaru oskarżenia, ale nie potrafiła wymyślić innego pytania.

– Eksperymentujecie na ludziach. Na d z i e c i a c h! – Powiedziała to głośno i poczuła, jak jej żołądek raptownie się skurczył, a do przetyku napłynęła żółć.

Matka zamknęła oczy.

– Nie mieliśmy wyboru – wyjaśniła cicho. – Przez wiele lat próbowaliśmy badać poziom napromieniowania na inne sposoby. Wiesz o tym doskonale. Kiedy wystaliśmy wicekanclerzowi raport, że nie da się zebrać definitywnych dowodów bez badań na ludziach, myśleliśmy, że to koniec. A wtedy on zaczął nalegać, żebyśmy... – Głos jej się załamał. Nie musiała jednak kończyć, żeby jej córka zrozumiała. – Nie mieliśmy wyboru – powtórzyła rozpaczliwie matka.

– Zawsze jest jakiś wybór – zaprotestowała Clarke, dygocąc. –

Mogliście powiedzieć „nie”. Wolalabym, żeby mnie zabili, zanimbym się zgodziła na coś takiego!

– Ale on nie groził, że nas zabije... – Głos jej ojca był irytująco cichy.

– No to jak was, do cholery, zmusił do zrobienia czegoś takiego?

– zapytała ostro Clarke.

– Powiedział, że zabije ci e b i e .

Ptasia pieśń wybrzmiała, pozostawiając za sobą naładowaną ciszę, jak gdyby muzyka przesączyła się w powietrze, nasycając je melodią.

– Och – westchnął Wells. – To było wspaniałe.

Wciąż patrzyła na drzewa, ale wyciągał ku niej ramię, sięgając poprzez czas, by ująć dłoń dziewczyny, która kiedyś go kochała.

Czar prysnął. Clarke zeszywniała i bez słowa ruszyła ku szpitalowi.

W namiocie było ciemno. Clarke weszła i niemal się potknęła; zanotowała w myślach, żeby zmienić bandażę na nodze jednego z chłopców i poprawić luźne szwy, które założyła dziewczynie z rozcięciem na udzie. Znalazła w końcu zasobnik z prawdziwymi bandażami i nicią chirurgiczną, ale niewiele mogła zrobić, dopóki nie odkryją, gdzie podziąła się skrzynia z lekarstwami. Nie odnaleziono jej we wraku, więc najprawdopodobniej wypadła z lądownika podczas lotu i została zniszczona.

Na jednej z prycz leżała Thalia. Wciąż spała, a najnowszy opatrunek wydawał się spełniać swoje

zadanie. Clarke zmieniała go już trzy razy, od kiedy znalazła przyjaciółkę po awaryjnym lądowaniu, krwawiącą z brzydkiej rany w boku.

Wspomnienie chwili, kiedy ją zaszywała, sprawiło, że poczuła mdłości. Mogła tylko mieć nadzieję, że przyjaciółka pamięta jeszcze mniej. Thalia zemdląła z bólu i od tamtej pory to wracała do przytomności, to ją traciła. Clarke klęknęła i odgarnęła kosmyk mokrych włosów z jej czoła.

– Hej – szepnęła, kiedy oczy Thalii drgnęły i otworzyły się szeroko. – Jak się czujesz?

Ranna zmusiła się do uśmiechu, który wydawał się wysysać energię z całego ciała.

– Po prostu świetnie – powiedziała, ale potem skrzywiła się, a w jej oczach błysnął ból.

– Kiedyś kłamstwa wychodziły ci o wiele lepiej.

– Nigdy nie kłamałam. – Głos Thalii był ochryply, ale wciąż pełen fałszywego oburzenia. – Powiedziałam tylko strażnikowi, że mam problem z szyją i potrzebuję dodatkowej poduszki.

– A potem przekonałaś go, że tylko czamorynkowa whisky powstrzyma cię od śpiewania przez sen – przypomniała Clarke z uśmiechem.

– Taak... Szkoda, że Lise nie chciała się włączyć do zabawy.

– I że nie potrafiłabyś zaśpiewać czysto, nawet gdyby zależało od tego twoje życie.

– Dlatego właśnie to było takie piękne! –

zaprotestowała Thalia. – Strażnik zrobiłby wszystko, żebym się zamknęła.

Clarke potrząsnęła głową z uśmiechem.

– A mówisz, że to dziewczęta z „Feniksa” są szalone. – Wskazała gestem cienki koc okrywający ranną. – Mogę?

Thalia skinęła głową i przyjaciółka podniosła go, próbując nie okazać zmartwienia, kiedy odwijła bandaż. Skóra wokół rany była czerwona i spuchnięta, a pomiędzy szwów zaczynała sączyć się ropa. Clarke wiedziała, że to nie rana jest problemem. Może wyglądała źle, ale w centrum medycznym nie przyciągnęłaby niczyjej uwagi na dłużej niż sekundę. Prawdziwym zagrożeniem była infekcja.

– Aż tak źle? – zapytała cicho Thalia.

– Nee, wszystko gra – skłamała gładko Clarke i popatrzyła bezwiednie w kierunku pryczy, na której spędził ostatnie godziny swojego życia chłopiec zmarły poprzedniego dnia.

– To nie twoja wina – powiedziała miękko Thalia.

– Wiem – westchnęła Clarke. – Żałuję tylko, że był sam, kiedy umierał.

– Nie był. Przyszedł do niego Wells.

– Co takiego? – zapytała zaskoczona Clarke.

– Przychodził kilka razy sprawdzić, jak się czuje. Wydaje mi się, że za pierwszym razem wpadł tutaj, szukając ciebie, ale kiedy zobaczył, jak ciężko jest ranny ten chłopak...

– Naprawdę? – nie dowierzała Clarke, niepewna, czy

można ufać spostrzegawczości dziewczyny, która przez większość czasu była nieprzytomna.

– To był on, na pewno – odezwał się inny głos. Clarke obejrzała się i zobaczyła uśmiechniętą Octavię siedzącą na pryczy. – Nie co dzień Wells Jaha przychodzi, żeby przysiąc na czyimś łóżku.

Clarke popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Skąd ty w ogóle znasz Wellsa?

– Parę lat temu odwiedził centrum opieki razem z ojcem. Dziewczyny gadały o tym całymi tygodniami. Jest jak jakiś supergwiazdor.

Clarke uśmiechnęła się na dźwięk slangu z „Waldena”, a Octavia ciągnęła:

– Zapytałam go, czy mnie sobie przypomina. Potwierdził, ale chyba tylko dlatego, że jest zbyt wielkim dżentelmenem, żeby zaprzeczyć. – Westchnęła przesadnie i przytknęła wierzch dłoni do czoła. – Niestety! Moja jedyna szansa na miłość.

– Hej, a co ze mną? – Chłopak, który jeszcze przed chwilą wydawał się spać, spojrział na Octavię zranionym wzrokiem, a ona posłała mu całusa.

Clarke potrząsnęła głową i odwróciła się z powrotem do Thalii, przesuwając wzrok od twarzy przyjaciółki do zaognionej rany.

– Źle to wygląda, prawda? – zapytała spokojnie ranna, chociaż głos drżał jej już ze zmęczenia.

– Mogłoby być gorzej.

– Tobie kłamstwa też wychodzą coraz gorzej. Co się



dzieje? – Thalia zdołała unieść brew. – Co jest, miłość ci zaszkodziła?

Clarke zeszywniała i poderwała dłoń z koca przyjaciółki.

– Chyba bredzisz! – Spojrzała przez ramię i z ulgą dostrzegła, że Octavię pochłonęła rozmowa z chłopakiem z „Arkadii”. – Wiesz, co mi zrobił! – Umilkła, kiedy jej żołądek skręcił się z odrazy. – I co zrobił moim rodzicom!

– Oczywiście, że wiem. – We wzroku Thalii zabłysła mieszanina frustracji i litości. – Wiem także, co ryzykował, przychodząc tutaj. – Uśmiechnęła się. – On cię kocha, Clarke. Taką miłością, na jaką większość ludzi czeka przez całe życie.

Clarke westchnęła.

– No cóż, dla twojego własnego dobra mam nadzieję, że nigdy się takiej nie doczekasz!

# ROZDZIAŁ 10

## Bellamy

Niesamowicie, jak bardzo otoczenie potrafiło się zmienić w ciągu dnia. Rano czuli się rześko, a wszystko wokół wydawało się nowe, nawet powietrze było bardziej przejrzyste. Po południu światło łagodniało, kolory stawały się bardziej stonowane. Bellamy najbardziej lubił nieprzewidywalność Ziemi. Zupełnie, jakby była dziewczyną, która wciąż każe ci zgadywać. Zawsze pociągały go te, których nie mógł rozgryźć.

Z przeciwnej strony polany dobiegł go wybuch śmiechu. Odwrócił się i zobaczył na niskiej gałęzi dwie dziewczyny. Chichotały i spychały chłopaka, który próbował do nich dołączyć. W pobliżu grupa chłopców z „Waldena” grała w głupiego Jasia butem dziewczyny z „Arkadii”, która zaśmiewała się wniebogłose, ślizgając się na bosaka po trawie. Przez chwilę poczuł żal, że Octavia nie jest na tyle zdrowa, żeby dołączyć do zabawy – miała przecież tak niewiele przyjemności w życiu. Z drugiej strony może to i lepiej, że nie przywiązała się do nikogo.

Jak tylko wydobrzeję, oboje wyniosą się daleko stąd.

Bellamy otworzył pognieciony pakiet żywnościowy, wycisnął połowę prosto do ust, a potem starannie złożył opakowanie i wsunął je z powrotem do kieszeni. Po przeszukaniu pozostałości wraku odkryli to, czego się od początku obawiali: wysłano ich z zapasem żywności na kilka tygodni. Albo rada zakładała, że setka więźniów w tak krótkim czasie nauczy się korzystać z naturalnych zasobów... albo uważała, że nie przeżyją nawet miesiąca.

Graham siłą zmusił większość do oddania przywłaszczonych pakietów i awansował arkadyjczyka imieniem Asher na stanowisko dystrybutora żywności, ale niezależnie od tego zaczynał raczkować czarny rynek. Wymieniano pakiety na koce i brano dodatkowe dyżury przy noszeniu wody w zamian za miejsca w przepelnionych namiotach. Wells spędził cały dzień, próbując namówić wszystkich na przyjęcie bardziej sformalizowanego systemu. Mimo że niektórzy byli zainteresowani, Graham potrzebował zaledwie chwili, żeby uciszyć Wellsa.

Bellamy odwrócił się, kiedy śmiech na końcu polany ustąpił miejsca krzykom.

– Oddaj mi to! – wrzeszczał jeden z waldenitów, próbując wyszarpnąć coś drugiemu.

Bellamy podbiegł do nich i zdał sobie sprawę, że był to toporek. Drugi chłopak trzymał obiema rękami trzonek i próbował nie dopuścić do tego, by pierwszy złapał narzędzie za ostrze.

Pozostali zaczęli gromadzić się wokół walczących, ale

zamiast ich rozdzielać, uciekali między drzewa, zbierając porozrzucaną broń. Na ziemi leżała cała kolekcja – siekiery, noże, nawet włócznie. Bellamy uśmiechnął się, kiedy zauważył łuk i strzały.

Właśnie tego ranka znalazł ślady zwierząt – prawdziwe tropy prowadzące do lasu. Jego odkrycie spowodowało duże poruszenie. W pewnym momencie ponad trzydzieści osób zebrało się wokół śladów, wygłaszając doprawdy inteligentne i przydatne komentarze w stylu: „To chyba nie ptak” i „Wygląda na to, że ma cztery nogi”. W końcu sam Bellamy wskazał, że odciski przypominają kopyta, nie łapy, co oznaczało, że pozostawił je prawdopodobnie roślinożerca, a więc zwierzę, które przypuszczalnie mogliby złapać i zjeść. Czekał tylko na coś, czym można by polować, i oto szczęśliwy traf podsunął mu takie narzędzie. Miał nadzieję, że razem z Octavią będą daleko od reszty, kiedy pakiety żywnościowe się wyczerpią.

– Czekaście! – odezwał się jakiś głos. To Wells dotarł do granicy lasu. – Nie możemy pozwolić na noszenie broni niepowołanym. Musimy ją przejrzeć i posortować, a dopiero potem zdecydować, kto ma jej używać.

Z tłumu rozległy się prychnięcia. Kilka osób rzuciło Wellsowi niechętne spojrzenia.

– Ten facet wziął kanclerza na zakładnika – ciągnął Wells, wskazując na Bellamy’ego, który już włożył na plecy łuk i kołczan ze strzałami. – Kto wie, do czego jeszcze jest zdolny. Czy chcecie, żeby ktoś taki jak on miał do dyspozycji śmiertelnoścą broń? – Wells uniósł

podbródek. – Powinniśmy to przynajmniej przegłosować.

Bellamy nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Za kogo do cholery ten dzieciak się uważał? Podniósł z ziemi nóż i zaczął iść w kierunku Wellsa.

Ten nie ruszył się z miejsca. Waldenita zastanawiał się, czy była to pusta demonstracja, czy też syn kanclerza rzeczywiście ma więcej ikry, niż Bellamy sądził. Wyglądało na to, że pchnie Wellsa w pierś, ale w ostatniej chwili odwrócił nóż rękojeścią w jego stronę i wetknął mu go w dłoń.

– Wiadomość z ostatniej chwili, przystojniaku – mrugnął do niego. – Wszyscy tu jesteśmy przestępcami.

Zanim Wells zdążył odpowiedzieć, stanął przy nich Graham. Popatrzył na Wellsa, potem na Bellamy’ego, a na jego twarzy pojawił się drwiący uśmiech.

– Zgadzam się z naszym czcigodnym kanclerzykiem – powiedział. – Powinniśmy wziąć broń pod klucz.

Bellamy cofnął się o krok.

– Co? I może jeszcze oddać ten klucz tobie? – Przesunął palcem wzdłuż łuku. – Nie ma mowy. Jestem gotowy na polowanie.

Graham parsknął.

– A na co właściwie polowałeś na „Waldenie”... może poza dziewczynami, które miały małe oczekiwania i jeszcze mniejsze poczucie własnej wartości?

Bellamy zeszywniał, ale nie odpowiedział. Odpowiedź na prowokację byłaby marnowaniem czasu, ale czuł, że palce same mu się zaciskają.

– A może nawet nie musiałeś za nimi gonić – kontynuował Graham. – W końcu musi być jakaś korzyść z siostry...

Z przyprawiającym o mdłości trzaskiem pięść Bellamy’ego wylądowała na szczęce przeciwnika, który zatoczył się kilka kroków, zbyt ogłuszony, by unieść ramiona, zanim Bellamy wyprowadził kolejny cios. Potem jednak Graham wyprostował się i walnął napastnika potężnym, dobrze wymierzonym prostym w podbródek. Bellamy rzucił się naprzód, warcząc, i wykorzystał całą wagę swego ciała, żeby posłać rywala w powietrze. Graham wylądował z ciężkim łomotem na trawie, ale gdy Bellamy próbował go kopnąć, przekręcił się na bok i również powalił go na ziemię.

Bellamy miotał się, usiłując usiąść i założyć przeciwnikowi dźwignię, lecz było już za późno. Graham przygwoździł go do ziemi i trzymał nad jego twarzą coś, co lśniło w słońcu. Nóż.

– Wystarczy! – ryknął Wells.

Złapał Grahama za kołnierz i odciągnął go od Bellamy’ego, który przetoczył się na bok, ciężko dysząc.

– Co, do cholery?! – wrzasnął Graham, skacząc na równe nogi.

Bellamy skrzywił się, klękając, a potem powoli wstał i sięgnął po łuk. Zerknął na Grahama, ale tamten był zbyt zajęty kłótnią z Wellsem, by to zauważyć.

– To, że kanclerz lulał cię do snu, nie znaczy, że możesz wszystkim rozkazywać – wypluł z siebie. – Nie obchodzi

mnie, co tatuś ci powiedział przed podróżą.

– Nie jestem zainteresowany rozkazywaniem. Chcę tylko być pewny, że się nie pozabijamy.

Graham wymienił spojrzenia z Asherem.

– Jeśli o to ci chodzi, to pilnuj własnego nosa. – Podniósł z ziemi nóż. – Nie chcielibyśmy, żeby komuś zdarzył się wypadek.

– Nie tak będziemy to załatwiać – odparł Wells, obstając przy swoim.

– Ach, tak? – Graham uniósł brwi. – A dlaczego myślisz, że masz w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia?

– Bo nie jestem idiotą. Ale jeżeli trzęsiesz się, żeby zostać pierwszym od wieków bandziorem, który spróbuje kogoś zabić na Ziemi, proszę bardzo.

Bellamy odetchnął, przecinając polanę w kierunku miejsca, gdzie widział ślady zwierzęcia. Nie chciał dać się wciągnąć w idiotyczną kłótnię, nie wtedy, gdy miał jedzenie do upolowania. Zarzucił łuk na ramię i wkroczył między drzewa.

Bardzo wcześnie nauczył się, że jeśli chce, by cokolwiek zostało zrobione, musi zrobić to sam.

Podczas pierwszej wizyty Bellamy miał osiem lat.

Matki nie było w domu, ale powiedziała mu dokładnie, co ma robić. Strażnicy rzadko odwiedzali ich część pokładu. Wielu z nich dorastało w tej okolicy. O ile rekruci lubili pochwalić się czasem nowym mundurem czy też posprzeczać z byłymi rywalami, o tyle nigdy nie pozwalali sobie na przeszukiwanie mieszkań sąsiadów.

W ten sposób przekroczyliby pewną granicę. Oczywiście oficer dowodzący tym oddziałem nie pochodził stąd. Dało się to wyczuć nie tylko w pretensjonalnym akcencie – było to widać także po sposobie, w jaki rozglądał się po ich małym mieszkanku: z mieszaniną zaskoczenia i niesmaku, jakby nie potrafił sobie wyobrazić, że mogą tu mieszkać ludzie.

Wszedł bez pukania, kiedy Bellamy usiłował zmyć naczynia po śniadaniu. Bieżąca woda dostępna była tylko przez kilka godzin dziennie – właśnie wtedy, gdy matka pracowała na plantacji solarnej. Bellamy był tak zaskoczony najściem, że upuścił zmywany właśnie kubek i patrzył z przerażeniem, jak naczynie odbija się od podłogi i toczy ku szafie.

Oczy oficera przesunęły się z boku na bok, jakby czytał coś z implantu w rogówce.

– Bellamy Blake? – zapytał z dziwnym akcentem z „Feniksa”. Brzmiało to, jakby mówił z ustami pełnymi pasty proteinowej. Chłopiec powoli skinął głową. – Matka w domu?

– Nie – odparł, starając się utrzymać równy ton, tak jak to wcześniej ćwiczył.

Do mieszkania wszedł następny strażnik. Oficer skinął głową i nowo przybyły zaczął stawiać kolejne pytania znudzonym, bezbarwnym głosem, który sugerował, że dzisiaj zadał je już przynajmniej tuzin razy.

– Czy w mieszkaniu trzymacie żywność wystarczającą na więcej niż trzy posiłki? – cedził.



Bellamy potrząsnął głową.

– Czy macie źródło energii inne niż...

Serce chłopca biło tak głośno, że niemal zagłuszało pytania. Mimo że matka ćwiczyła z nim niezliczoną ilość razy, starając się przewidzieć każdy scenariusz, nie wyobrażał sobie, że można patrzeć na ich mieszkanie tak, jak robił to oficer. Kiedy jego oczy spoczęły na upuszczonym kubku leżącym przy drzwiach szafy, Bellamy myślał, że serce wyskoczy mu z piersi.

– Odpowiesz mu na to pytanie?

Zobaczył, że obaj mężczyźni patrzą na niego: oficer gniewnie i z niecierpliwością, drugi strażnik ze znużeniem.

Bellamy zaczął prosić o wybaczenie, ale jego „Przepraszam” zabrzmiało jak westchnięcie.

– Czy w tym mieszkaniu znajdują się jacyś stali lokatorzy inni niż dwoje zarejestrowanych osób?

Chłopiec zaczerpnął głęboko powietrza.

– Nie – wydusił z siebie. Przypomniat sobie też, by zrobić obrażoną minę, którą mama ćwiczyła z nim przed lustrem.

Oficer uniósł brwi.

– Tak mi przykro, że zmarnowaliśmy twój czas – powiedział z fałszywą serdecznością. Ostatni rzut oka na mieszkanie i wyszli obaj, a strażnik zatrzasnął za sobą drzwi.

Bellamy opadł na kolana, zbyt przerażony, by odpowiedzieć sobie na pytanie grzechoczące mu w głowie: co by się stało, gdyby zajrzeli do szafy?

# ROZDZIAŁ 11

Glass

Podążając za Corą i Huxley na bazar, Glass zdała sobie sprawę, że wolałaby, aby jej matka zaczekała kilka dni z opowiadaniem wszystkim naokoło o ułaskawieniu. Z początku dziewczyna była zachwycona, mogąc znowu spotkać przyjaciółki. Kiedy przyszły do niej z rana, wszystkie trzy popłakały się ze wzruszenia. Teraz jednak, patrząc jak Cora i Huxley mijają jakiegoś nieznanego chłopaka i wymieniają znaczące uśmiechy, Glass poczuła się bardziej samotna niż w więziennej celi.

– Założę się, że zaoszczędziłaś całe tony punktów – mruknęła Huxley, obejmując Glass ramieniem. – Zazdroszczę ci!

– Mam tylko tyle, ile matka przelała mi dzisiaj rano – uśmiechnęła się słabo Glass. – Reszta została wymazana, kiedy mnie zatrzymano.

Huxley dramatycznie zadrżała.

– Wciąż nie mogę uwierzyć. – Obniżyła głos. – Nie powiedziałaś nam, za co zostałaś Odosobniona.

– Ona nie chce o tym rozmawiać – powiedziała Cora, nerwowo się rozglądając.

„Nie, to wy nie chcecie o tym rozmawiać”, pomyślała Glass, kiedy skręciły w główny korytarz pokładu B, długi i szeroki, obramowany z jednej strony panoramicznymi oknami, a z drugiej – ławkami i sztucznymi roślinami. Był środek dnia, więc większość ławek zajmowały kobiety w wieku jej matki, pogrążone w rozmowach i popijające herbatkę z korzenia słonecznika. Technicznie rzecz biorąc, powinny były zapłacić za herbatę na stoisku punktami przydziału, ale Glass nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio zażądano tu od niej, żeby zeskanowała kciuk. Był to jeden z wielu drobnych przejawów luksusu życia na „Feniksie”, na które nigdy nie zwracała uwagi, dopóki nie zaczęła widywać się z Lukiem.

Szły powoli korytarzem, a Glass czuła, jak niemal wszystkie oczy spoglądają na nią. Poczowała ucisk w żołądku na myśl, że nie wie, co jest dla nich bardziej szokujące – czy to, że została Odosobniona, czy też fakt jej ułaskawienia. Niosła głowę wysoko i starała się wyglądać na pewną siebie. Władze oczekiwały po niej, że będzie pozytywnym przykładem działania wymiaru sprawiedliwości w Kolonii. W tym celu powinna była trzymać fason, starając się tak, jakby zależało od tego jej życie... ponieważ w tym przypadku właśnie tak było.

– Myślisz, że Clarke też ma szansę na ułaskawienie? – spytała Huxley mimo ostrzegawczego spojrzenia Cory. – Czy wyście się w ogóle, nie wiem, widywały na jakichś

spotkaniach w tym Odosobnieniu?

– O Boże, Huxley, dasz wreszcie spokój? – zaprotestowała Cora, współczująco dotykając ramienia Glass. – Przepraszam – powiedziała – ale kiedy zaraz po tobie skazali Clarke, nikt nie mógł uwierzyć: dwie dziewczyny z „Feniksa” w tak krótkim czasie? A kiedy wróciłaś, rozeszło się mnóstwo plotek...

– W porządku – odparła Glass z wymuszonym uśmiechem, wskazującym, że nie ma nic przeciwko rozmowie na ten temat. – Clarke dość szybko trafiła do izolatki, więc nie spotykałam się z nią zbyt często. I nie wiem, czy ją ułaskawią – skłamała, przypominając sobie nakaz matki, żeby nie wspominać o ekspedycji na Ziemię. – Nie jestem pewna, kiedy kończy osiemnaście lat. Mój przypadek został osądzony ponownie, bo niedługo będę miała urodziny.

– A, prawda, twoje urodziny! – pisnęła Huxley, klaszcząc w dłonie. – Zapomniałam, że to już niedługo. Musimy ci znaleźć coś na bazarze.

Cora przytaknęła. Wyglądała na zachwyconą, że zmieniły temat na bezpieczniejszy. W tej samej chwili dziewczyny dotarły do celu spaceru.

Na „Feniksie” bazar mieścił się w dużej hali na końcu pokładu B. Oprócz panoramicznych okien szczyił się olbrzymim kandelabrem, który ponoć został wywieziony z budynku paryskiej opery na kilka godzin przed zrzuconiem pierwszej bomby na Europę Zachodnią. Za każdym razem, kiedy Glass słyszała tę opowieść, czuła

ukłucie smutku na myśl o ludziach, których można było uratować zamiast wielkiego żyrandola, ale nie dało się zaprzeczyć, że zapierał dech w piersi. Odbite światło z sufitu i okien tańczyło w jego wnętrzu, tak że wyglądał jak mała gromada gwiazd, miniaturowa galaktyka obracająca się i lśniąca nad ich głowami.

Huxley puściła ramię przyjaciółki i podążyła ku ladzie ze wstążkami, nieświadoma, że niedaleko nich grupa dziewcząt nagle zamilkła na widok Glass. Ta zarumieniła się i pośpieszyła za Corą, która utkwiała wzrok w wystawie stoiska z tekstyliami.

Stała niezdecydowanie obok Cory, która przerzucała materiały, szybko zamieniając uporządkowany stos w bezładną stertę, podczas gdy sprzedawczyni z „Waldena” kwaśno się do niej uśmiechała.

– Popatrz tylko, co za szajs... – mruzczała Cora, odkładając na bok kawałek juty i kilka pasków flauszu.

– Czego szukasz? – zapytała Glass, przesuwając palcem po kawałku jasnorożowego jedwabiu.

Był przepiękny mimo śladów rdzy i zacieków przy brzegach, ale wydawało się niemożliwe znalezienie tylu pasujących kawałków, by wystarczyło ich choćby na wieczorową torebkę, a co dopiero na sukienkę.

– Przez ostatni milion lat zbierałam skrawki błękitnej satyny i w końcu mam ich tyle, że starczyłoby na halkę, ale muszę jeszcze dać jakąś warstwę z wierzchu, żeby kiecka nie wyglądała na zbyt połataną. – Cora zmarszczyła nos, przyglądając się dużemu kawałkowi przezroczystego

winyłu. – Ile za to?

– Sześć – odparła waldenitka.

– Nie mówisz chyba poważnie! – Cora przewróciła oczami. – To przecież zasłona od prysznic

– Pochodzi z Ziemi.

– A kto to potwierdzi? – parsknęła Cora.

– Może to? – spytała Glass, podnosząc kawałek niebieskiej siatki. Wyglądała, jakby była kiedyś częścią torby na zakupy, ale gdyby została użyta jako fragment sukienki, nikt nie byłby w stanie dociec jej pochodzenia.

– Oooch! – zagruchała Cora, wrywając materiał z dłoni Glass. – Podoba mi się!

Przyłożyła go do siebie, sprawdzając długość, a potem uśmiechnęła się do przyjaciółki.

– To dobrze, że Odosobnienie nie przytępiło ci wycucia stylu. – Glass zeszywniała, ale nic nie na to nie odpowiedziała. – To co masz zamiar na siebie założyć?

– A z jakiej okazji?

– Na imprezę widokową – wyjaśniła Cora, podkreślając każdą sylabę, jakby mówiła do dziecka. – Z okazji przelotu komety.

– To znaczy? – Glass wzruszyła ramionami.

Najwyraźniej miesiące spędzone w Odosobnieniu nie były usprawiedliwieniem braku orientacji w kalendarzu towarzyskim na „Feniksie”.

– Mama nic ci nie powiedziała? – zdziwiła się Cora, owijając siatkę wokół talii jak spódniczkę. – Obok statku ma przelecieć kometa. Przeleci najbliżej od czasu założenia

Kolonii.

– I z tej okazji organizują imprezę?

Cora potaknęła.

– Na pokładzie obserwacyjnym. To będzie wyjątkowe przyjęcie – z jedzeniem, pićciem, muzyką i tak dalej. Idę na nie z Vikramem. – Uśmiechnęła się, ale zaraz sposepniała. – Jestem pewna, że nie będzie miał nic przeciwko, żebyś z nami poszła. Wie przecież, że w twoim przypadku zachodzą, no, te, okoliczności łagodzące. – Obdarzyła rozmówczynię współczującym uśmiechem i obróciła się z powrotem do sprzedawczyni z „Waldena”. – Ile za to?

– Dziewięć.

Nagle Glass poczuła łomot tętna w skroniach. Wymamrotała przeprosiny i zostawiwszy Corę, która wciąż jeszcze toczyła targi ze sprzedawczynią, poszła przyjrzeć się kolekcji biżuterii na pobliskim stole. Roztargnionym gestem musnęła swoją szyję. Przed Odosobnieniem zawsze nosiła czip w naszyjniku. Niektóre dziewczyny z „Feniksa” wybierały takie rozwiązanie jako alternatywę dla słuchawek lub implantu w rogówce. Czip wprawiony przez jubilera w biżuterię był modnym dodatkiem – jeżeli jego posiadacz odziedziczył jakieś precjoza, których mógł w tym celu użyć, lub zdołał odnaleźć odpowiednią oprawę na bazarze.

Jej wzrok wędrował pomiędzy lśniącymi przedmiotami, aż przyciągnął go błysk złota – owalny wisiołek na delikatnym łańcuszku. Glass aż się zachłysnęła, czując falę bólu wypełniającą każdy cal ciała pulsującą mieszaniną

żału i smutku. Wiedziała, że powinna się odwrócić i iść dalej, ale nie potrafiła się przemóc.

Wyciągnęła drżącą dłoń i podniosła naszyjnik. Łzy nabiegły jej do oczu i zamazały owalny kształt. Ostrożnie musnęła palcami grawerunek na odwrocie medalionu, wiedząc bez patrzenia, jak wygląda: pochyłe, ozdobne „G”.

– Na pewno nie masz nic przeciwko spędzaniu własnych urodzin na „Waldenie”? – zapytał Luke, nachylając się ku niej.

Troska na jego twarzy wyglądała tak szczerze, że Glass niemal się roześmiała.

– Ile razy mam ci mówić? – Przetoczyła nogi w poprzek jego nóg. Oboje spoczywali wygodnie na sofie. – Nie chcę być nigdzie indziej.

– Czy czasem mama nie planowała urządzić ci jakiegoś fajnego przyjęcia?

Glass oparła głowę na jego ramieniu.

– Tak, ale to bez sensu, jeżeli ciebie by tam nie było.

– Nie chcę, żebyś zmieniała całe swoje życie tylko dlatego, że nie mogę być jego częścią. – Luke przesunął palcami po ramieniu Glass, nagle poważniejąc. – Żałowałaś kiedykolwiek, że zatrzymaliśmy was tamtego wieczoru?

Luke należał do prestiżowego korpusu inżynierskiego i zazwyczaj nie pilnował ruchu na punkcie kontrolnym, ale wyjątkowo przydzielono go do tej służby. Traf chciał, że tego samego wieczoru Glass wracała od Wellsa, z którym wspólnie uczyli się do egzaminu.

– Żartujesz? – Podniosła głowę i pocałowała go w policzek.



Smak tego pocałunku wystarczył, żeby przeszły ją ciarki. Przesunęła wargami w dół, podążając za linią szczęki aż do jego ucha. – Późny powrót tamtego wieczoru był najlepszą decyzją, jaką podjęłam w życiu – wyszeptala, uśmiechając się, gdy Luke lekko się wzdrygnął.

Na „Feniksie” nie przestrzegano ściśle godziny policyjnej, ale tym razem dwóch strażników zatrzymało Glass. Jeden z nich napędził jej stracha, zmuszając do zeskanowania kciuka, a potem wypytyjąc nieprzyjaznym tonem. W końcu wtrącił się drugi strażnik, który nalegał, by ją odeskortować.

– Decyzja, żeby odprowadzić cię do domu, była najlepszą, jaką ja w życiu podjąłem – zamruczał. – Chociaż przyznaję, że czułem się jak na torturach, powstrzymując się wtedy, żeby cię nie pocałować.

– Aha, w takim razie nadrobimy teraz tamten stracony czas – prowokacyjnie wyszeptala Glass, zbliżając usta do jego ust. Jej pocałunki stały się jeszcze żarliwsze, kiedy zaczął przeczesać palcami jej włosy. Przybliżyła się tak, że po chwili siedziała mu właściwie na kolanach, i poczuła jak jego drugie ramię przesuwają się ku jej talii, by nie spadła.

– Kocham cię – wyszeptał jej prosto do ucha. Słyszała te słowa nie po raz pierwszy, ale wciąż sprawiały, że zaczynała drżeć.

Przestała go na chwilę całować i szepnęła:

– Ja też cię kocham. – A potem wróciła do pocałunków, zatrzymując dłoń na skórze pomiędzy brzegiem jego koszuli a paskiem.

– Powinniśmy teraz zastopować – powiedział Luke, delikatnie

odsuwając jej rękę.

Przez ostatnie parę tygodni coraz trudniej było im się powstrzymać, żeby nie posunąć się za daleko.

– Nie chcę. – Uśmiechnęła się do niego rozkosznie i wróciła do całowania jego ucha. – Poza tym to moje urodziny.

Luke zaśmiał się, a potem z lekkim stęknieniem wstał na równe nogi z Glass w ramionach.

– Postaw mnie! – zachichotała, wymachując nogami w powietrzu. – Co ty wyprawiasz?

Zrobił kilka kroków naprzód.

– Zabieram cię na bazar i oddam w zamian za dziewczynę, która nie będzie się tak bardzo starała napytać mi biedy.

– Hej! – sapnęła z udawaną urazą, a potem zaczęła bić pięściami w jego pierś. – Postaw mnie!

Odwrócił się od drzwi.

– A będziesz się zachowywać przyzwoicie?

– Co? To nie mój win! Jesteś zbyt seksowny, żeby mogła się powstrzymać.

– Glass – rzucił ostrzegawczo.

– Tak, obiecuję.

– Dobrze. – Cofnął się i delikatnie położył ją na sofie. – Byłoby mi wstyd, gdybym nie zdążył dać ci prezentu urodzinowego.

– A co to jest? – zapytała, unosząc się i siadając.

– Pas cnoty – odparł poważnie. – Dla mnie. Znalazłem go na bazarze. Kosztował fortunę, ale był jej wart, skoro chroni...

Glass pacnęła go w pierś, a on roześmiał się i objął ją.

– Przepraszam – powiedział, nadal się uśmiechając. Sięgnął do kieszeni i zatrzymał w niej dłoń. – Ale nie jest ładnie zapakowany.

– Nic nie szkodzi.

Wyciągnął coś z kieszeni i podał jej. Na jego dłoni zalśnił złoty naszyjnik.

– Luke... to jest przepiękne – wyszeptala Glass, sięgając po prezent. Otworzyła szeroko oczy, muskając jego brzegi. – Pochodzi z Ziemi!

Popatrzyła na niego, zaskoczona.

– Tak, a w każdym razie powinien, zgodnie z zapisami. Mogę? – Podniósł podarunek z jej dłoni.

Glass skinęła głową, a Luke stanął z tyłu i zapiął sprzączkę. Zadrżała, kiedy jego dłonie dotknęły jej karku i odsunęły na bok włosy. Mogła się tylko domyślać, ile kosztował taki przedmiot. Luke wydał na jego zakup chyba wszystkie swoje oszczędności! A przecież nawet jako strażnik nie miał zbyt wielu punktów przydziału.

– Uwielbiam go – powiedziała, dotykając łańcuszka i obracając się twarzą do swojego mężczyzny.

Jego twarz rozświetlił uśmiech.

– No to bardzo się cieszę. – Przesunął dłoń po jej szyi i odwrócił medalion, pokazując wygrawerowane w złocie „G”.

– Sam to zrobisz? – spytała Glass.

Luke potwierdził.

– Chcę, żeby nawet za tysiąc lat wszyscy wiedzieli, że należał do ciebie. – Położył dłoń na medalionie i przycisnął do jej ciała. – Teraz musisz tylko wypełnić go własnymi wspomnieniami.

Uśmiechnęła się.

– Wiem, od jakiego chcę zacząć.

Spojrzała na niego, spodziewając się, że przewróci oczami, ale jego twarz była poważna. Ich oczy spotkały się i na dłuższą chwilę w mieszkaniu zapadła cisza, w której było słychać tylko bicie ich serc.

– Jesteś pewna? – zapytał Luke, marszcząc lekko brwi i wodząc palcem po wnętrzu jej przedramienia.

– Najpewniejsza w życiu!

Luke wziął Glass za rękę i oboje poczuli, jakby przeskoczyła pomiędzy nimi iskra. Zacisnął palce wokół jej dłoni i bez słowa poprowadził ją do sypialni.

„Oczywiście, że go sprzedał”, powiedziała sobie Glass. Głupio by było, gdyby zachował tak wartościowy przedmiot, zwłaszcza po tym, jak złamała mu serce. Mimo to myśl, że należący niegdyś do niej naszyjnik poniewiera się na bazarze, ukłuła ją boleśnie. Poczowała raptem ciarki z tyłu głowy. Spodziewała się zobaczyć kolejną daleką znajomą wpatrzoną w nią podejrzliwie, ale gdy się odwróciła, jej wzrok spoczął na kimś innym.

Luke.

Patrzył na nią wystarczająco długo, żeby się zarumieniała, a potem spojrzał w kierunku stołu. Dostrzegł naszyjnik i po twarzy przemknął mu dziwny cień.

– To zdumiewające, że jeszcze nikt go nie wypatrzył – powiedział cicho. – Jest taki piękny. – Ramię opadło mu bezwładnie, obrócił się ku niej i smutno uśmiechnął. – Nic dziwnego. To, co najpiękniejsze, potrafi zranić nas najbardziej.

– Luke – zaczęła Glass – ja...

Wtedy jednak za plecami ukochanego mężczyzny dostrzegła znaną postać. Camille stała za kasą stoiska z papierowymi wydaniem tekstów, a oczy miała utkwione w rywalce.

Luke spojrział przez ramię, a potem odwrócił się z powrotem ku byłej dziewczynie.

– Camille zastępuje chorego ojca.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Glass, ale zanim zdołała jeszcze coś dodać, jej uwagę odwróciły podniesione głosy.

Popatrzyła w ich kierunku. To Cora wrzeszczała na kobietę z „Waldena”:

– Jeżeli nie podasz mi rozsądnej ceny, będę musiała oskarżyć cię o oszustwo!

Sprzedawczyni zbladła i powiedziała coś, czego Glass nie dosłyszała, ale najwyraźniej Corze się to spodobało, ponieważ uśmiechnęła się i przytrzymała kciuk przy skanerze.

Glass skrzywiła się, zakłopotana zachowaniem przyjaciółki.

– Przepraszam, muszę lecieć.

– Nie idź jeszcze – poprosił Luke, dotykając jej

ramienia. – Martwiłem się o ciebie. Obniżył głos. – Co tutaj robisz? Czy to bezpieczne?

Przejęcie w jego głosie wypełniło kilka małych pęknięć w jej sercu, ale nie wystarczyło, by całkowicie uleczyć ból.

– Bezpieczne. Właściwie to zostałam ułaskawiona – powiedziała Glass, próbując utrzymać głos na wodzy.

– Ułaskawiona? – Otworzył szeroko oczy. – O, nigdy nie sądziłem... To niebywałe. – Przerwał na chwilę, jakby niepewny, co teraz powiedzieć. – Wiesz co, nigdy mi nie powiedziałaś, za co cię wtedy Odosobniono.

Glass utkwiała wzrok w podłodze, walcząc z obezwładniającym pragnieniem, by powiedzieć Luke’owi prawdę. „Zasługuje, żeby być szczęśliwy – przypomniała sobie twardo. – Nie jest już twoim mężczyzną”.

– To nie ma znaczenia – powiedziała w końcu. – Chcę to zostawić za sobą.

Luke patrzył na nią i przez chwilę zastanawiała się, czy nie przejrzy jej wykrętu.

– Aha. W takim razie trzymaj się – rzucił w końcu.

Glass skinęła.

– Dziękuję, będę się trzymać. – Wiedziała, że chociaż raz robi to, co trzeba. Żałowała tylko, że to takie bolesne.

# ROZDZIAŁ 12

Clarke

Clarke siedziała w ciemnym szpitalnym namiocie, patrząc nerwowo, jak Thalia przez sen rzuca się i przewraca z boku na bok, niespokojna z powodu gorączki wywołanej przez infekcję.

– Jak myślisz, o czym śni?

Clarke odwróciła się. Za nią stała Octavia i wpatrywała się wielkimi oczami w Thalię.

– Nie jestem pewna – skłamała.

Z wyrazu twarzy przyjaciółki rozpoznawała, że koszmar dotyczy znowu jej ojca. Thalia została Odosobniona, ponieważ próbowała ukraść dla niego lekarstwo, kiedy rada zdecydowała w głosowaniu, że nie zostanie poddany kuracji. Zapasy medykamentów były ograniczone, a jego stan oceniono jako beznadziejny i niewart leczenia. Thalia nie wiedziała, co się z nim stało – czy zmarł po jej aresztowaniu, czy też trzymało go przy życiu pragnienie, by jeszcze kiedyś spotkać się z córką.

Chora jęknęła i zwinęła się w kłębek, przypominając

przyjaciółce najgorsze noce spędzone w laboratorium. Clarke wkradała się tam, żeby Lilly nie musiała cierpieć w samotności. Chociaż teraz nikt nie zabraniał jej pomagać Thalii, to czuła się równie zrozpaczona i bezradna. Dopóki nie znajdą zaginionego zasobnika z lekarstwami, Clarke nie mogła zrobić nic, by ulżyć przyjaciółce w cierpieniu.

Kłapa namiotu uchyliła się, wpuszczając do wnętrza światło i chłodne, ostre powietrze. Po chwili do środka wkroczył Bellamy. Na ramieniu miał łuk, a oczy mu błyszczały.

– Dzień dobry paniom – rzucił z uśmiechem, podchodząc do prycy Octavii.

Schylił się i rozwichrzył jej włosy starannie przewiązane czerwoną wstążką. Był przy tym tak blisko, że Clarke nie mogła nie poczuć lekkiej woni potu, który skroplił mu się na skórze, pomieszanego z innym zapachem, którego nie potrafiła zidentyfikować. Kojarzył jej się z drzewami.

– Jak tam kostka? – spytał Bellamy, odgrywając przedstawienie z krzywieniem się i oglądaniem stopy siostry ze wszystkich stron.

Octavia zgięła ją ostrożnie.

– Dużo lepiej. Czy mogę już wyjść ze szpitala? – zwróciła się do Clarke.

Dziewczyna zawahała się. Kostka wciąż była bardzo wrażliwa, a jednocześnie nie było sposobu, żeby ją skutecznie usztywnić. Jeżeli mała zbyt mocno ją obciąży, skręci ją ponownie, może nawet gorzej niż przedtem.



Octavia westchnęła i wysunęła błagalnie dolną wargę.

– Proszę... Nie przebyłam całej tej drogi na Ziemię, żeby siedzieć w namiocie.

– Nie miałaś wyboru – przypomniał jej brat – ale ja z pewnością nie ryzykowałem przywleczenia tu swojego tyłka, żeby oglądać, jak wdaje ci się gangrena.

– Skąd wiesz o czymś takim jak gangrena? – zapytała zaskoczona Clarke.

W Kolonii nikt nigdy nie cierpiał na infekcję, która doprowadziłaby do tak poważnego stanu, a wątpiła, by wielu ludzi czytało dla zabawy starożytne teksty medyczne.

– Zawiodłem się na pani, pani doktor. – Bellamy uniósł brwi. – Nie miałem pani za jedną z tych...

– Z jakich tych?

– Z tych mieszkańek „Feniksa”, które zakładają, że wszyscy waldenicy to analfabeci.

Octavia przewróciła oczami i powiedziała:

– Wiesz co? Nie wszystko, co do ciebie mówią, ma cię obrazić!

Bellamy otworzył usta, ale w porę się powstrzymał i tylko przywołał uśmiech na twarz.

– Lepiej uważaj, bo odejdę bez ciebie. – Poprawił łuk na ramieniu.

– Nie zostawiaj mnie – poprosiła, nagle poważna. – Wiesz, jak się czuję w ciasnych pomieszczeniach.

Dziwny cień przemknął przez twarz Bellamy’ego, a Clarke zaciekawiło, o czym właśnie pomyślał. W końcu

uśmiechnął się znowu. – Okej, zabiorę cię na spacer, ale tylko na chwilę. Chcę jeszcze dzisiaj przed zmierzchem iść na polowanie. – Poparzył na Clarke i dodał: – To znaczy zabiorę cię, jeżeli pani doktor nie ma nic przeciwko.

– Tylko bądźcie ostrożni – poradziła Clarke i rzuciła mu zdziwione spojrzenie. – Naprawdę potrafisz coś upolować?

Nikt z nich nie widział jeszcze na Ziemi większego zwierzęcia, nie mówiąc już o zabiciu go.

– Ktoś musi. Jeżeli w tym tempie będziemy zużywać pakiety żywnościowe, nie wystarczą nawet na tydzień.

– W takim razie powodzenia.

Uśmiechnęła się i pomogła Bellamy’emu podnieść siostrę.

– Dam sobie radę – powiedziała Octavia, balansując na jednej nodze i łapiąc dla równowagi ramię brata. Skoczyła naprzód, ciągnąc go ku klapie namiotu. – Chodźmy!

Bellamy spojrział przez ramię.

– Przy okazji, Clarke, znalazłem w lesie jakieś szczątki po zderzeniu. Chcesz je jutro sprawdzić?

Clarke gwałtownie wciągnęła powietrze, a jej serce zabiło gwałtownie.

– Myślisz, że to mogą być zaginione zapasy? Chodźmy tam od razu!

Bellamy potrząsnął głową.

– To zbyt daleko. Nie wrócilibyśmy przed zmrokiem. Pójdziemy jutro.

Clarke spojrzała na twarz Thalii, zniekształconą bólem.

– Świetnie. Pójdziemy z samego rana.

– Poczekajmy do popołudnia, rano chcę zapolować.

Wtedy zwierzęta szukają wody.

Clarke przełknęła pytanie, skąd on to wszystko wie, ale nie zdołała powstrzymać zdziwionej miny.

– W takim razie do jutra? – zapytał Bellamy, a ona potaknęła. – Wspaniale – uśmiechnął się. – To jesteśmy umówieni.

Patrzyła, jak wychodzą się z namiotu, a potem wróciła do Thalii. Ranna już się obudziła.

– Cześć – przywitała przyjaciółkę słabym głosem.

– Jak się czujesz? – spytała Clarke.

– Doskonale – zachrypiała Thalia. – Tak dobrze, że chyba dołączę do Bellamy’ego, kiedy będzie następnym razem szedł na polowanie.

Clarke uśmiechnęła się.

– Myślałam, że śpisz.

– Bo spałam, ale co jakiś czas się budziłam.

– Niech ci się przyjrzę... Clarke odsłoniła koc i podniosła koszulę przyjaciółki. Wokół krwawiącej rany biegły pasma czerwieni świadczące o tym, że infekcja przedostaje się do krwiobiegu.

– Boli?

– Nie – powiedziała martwym głosem Thalia.

Obie wiedziały, że jej stan nic a nic się nie poprawia.

– Uwierzyłabyś, że naprawdę są rodzeństwem? – spytała Clarke, z rozmysłem zmieniając temat rozmowy i poprawiając koc przyjaciółki.

– Taa, to niezłe wariactwo. – Głos Thalii wydawał się nieco silniejszy.

– Wariactwo? To co powiedzieć o numerze, jaki wykrcił na pokładzie startowym? – parsknęła Clarke. – Żeby zrobić coś takiego, trzeba mieć odwagę. Gdyby go złapali, zabiliby go. Przerwała na chwilę. – Zabiją go, kiedy tu przylecą.

– Zrobił wszystko, żeby zapewnić siostrze bezpieczeństwo – zgodziła się Thalia. Ból zaatakował ją ze zdwojoną siłą. Odwróciła twarz ku ścianie, żeby przyjaciółka nie zauważyła grymasu, który wykrzywił jej rysy. – Naprawdę cię kocha, nie?

– Kto? Bellamy? – spytała zaskoczona przyjaciółka.

– Nie, Wells. Przyleciał dla ciebie na Ziemię!

Clarke zacisnęła usta.

– Nie prosiłam go o to.

– Wszyscy robiliśmy rzeczy, z których nie jesteśmy dumni – powiedziała cicho Thalia.

Clarke zadrżała i zamknęła oczy.

– Nie proszę nikogo o wybaczenie.

– Nie o to mi chodzi. Doskonale wiesz, że nie o to. – Thalia przerwała, żeby złapać oddech. Rozmowa była dla niej zbyt wielkim wysiłkiem.

– Musisz odpocząć – odparła Clarke i sięgnęła, by naciągnąć koc na ramiona chorej. – Pogadamy o tym jutro.

– Nie! Słuchaj, to, co się wydarzyło, to nie twoja wina.

– Oczywiście, że moja – powiedziała Clarke, uciekając wzrokiem przed spojrzeniem przyjaciółki, która jako

jedyna znała jej przewinę. Teraz bała się spojrzeć w ciemne oczy Thalii i zobaczyć w nich pełne grozy wspomnienie. – A co to w ogóle ma wspólnego z Wellsem?

Ranna dziewczyna zamknęła oczy i westchnęła, ignorując pytanie.

– Musisz pozwolić sobie być szczęśliwa. Jeżeli nie, jaki sens ma życie?

Clarke już otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale zamknęła je z powrotem, gdy Thalia pochyliła się w nagłym ataku kaszlu.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptała, głaszcząc ją po mokrych od potu włosach. – Wyzdrowiejesz.

Tym razem słowa nie brzmiały jak modlitwa, a raczej jak postanowienie. Clarke uparła się, że nie da przyjaciółce umrzeć, i nic nie może jej w tym przeszkodzić. Nie pozwoli, by głos Thalii dołączył do chóru upiorów w jej głowie.

# ROZDZIAŁ 13

Wells

Wells spojrział w niebo wypełnione gwiazdami. Nigdy nie sądził, że można czuć taką nostalgię, patrząc na znajomy widok z miejsca odległego o setki kilometrów od Kolonii. Czuł niepokój, widząc mały, niewyraźny księżyc; było tak, jakby obudził się i odkrył, że ktoś wymazał twarze jego najbliższych krewnych z rodzinnych zdjęć.

Wokół niego siedzieli przy ognisku inni pasażerowie lądownika i narzekali. Byli na Ziemi od niecałego tygodnia, a racje żywnościowe zaczynały się już kurczyć. Fakt, że brakowało lekarstw, był niepokojący, ale chwilowo bardziej interesowało ich jedzenie. Albo ci, którzy ich wysłali, źle obliczyli ilość potrzebnych zapasów, albo Graham i jego przyjaciele zabrali ich więcej, niż ktokolwiek sądził. Niezależnie od tego, która wersja była prawdziwa, efekty niedożywienia zaczynały powoli być widoczne. Nie chodziło tylko o zapadające się policzki – Wellsa przerażał raczej głód w oczach. Wciąż pamiętał, że wszyscy zostali Odosobnieni z jakiegoś powodu, że każdy

z otaczających go ludzi uczynił coś, co zagrażało Kolonii.

Przestępstwo Wellsa również jej zagroziło, może najbardziej ze wszystkich.

Z namiotu szpitalnego wyłoniła się Clarke. Podeszła do ogniska, a jej wzrok przebiegał po siedzących w kręgu, jakby szukała miejsca, by usiąść. Koło Wellsa była wolna przestrzeń, ale spojrzenie dziewczyny tylko się po nim przeslizgnęło. Siadła obok Octavii, która usadowiła się na pniu i wyciągnęła przed siebie skrzyżowaną nogę.

Wells westchnął i rozejrzał się po polanie. Blask płomieni oświetlał ciemne sylwetki namiotów, które w końcu udało im się rozbić – szpitala i magazynu zapasów, a także osobistego sukcesu Wellsa, zbiornika na deszczówkę, w razie gdyby padało. Mimo początkowych trudności jakoś poradzi sobie z organizacją życia w obozie. Kiedy ojciec dołączy do nich, będzie pod wrażeniem.

Jeżeli do nich dołączy. Coraz trudniej przychodziło mu przekonywanie siebie, że kanclerz czuje się dobrze, że postrzał był tylko powierzchowny. Serce ścisnęło mu się boleśnie na myśl o ojcu przykutym do szpitalnego łóżka lub – co gorsza – martwym, szybującym gdzieś w kosmosie. W uszach wciąż dzwoniły mu słowa: „Jeżeli ta misja się powiedzie, to przede wszystkim dzięki tobie”. Kanclerz przez całe życie zachęcał go do coraz większego wysiłku i osiągnięcia coraz lepszych wyników. Teraz Wells zastanawiał się, czy słowa te były ostatnim rozkazem.

Spomiędzy drzew dobiegł ich dziwny odgłos. Wells

wyprostował się i wzmógł czujność. Rozległ się trzask, po którym nastąpiła seria szelestów. Pomruki przy ognisku ustąpiły miejsca pełnym trwogi okrzykom, kiedy z mroku wyłonił się dziwny kształt, ni to ludzki, ni to zwierzęcy, niczym postać ze starożytnych mitów.

Wells skoczył na równe nogi. Wtedy stwór wyszedł spoza drzew i stanął w blasku ogniska.

To był Bellamy. Na ramionach niósł krwawiące ciało zwierzęcia.

Jeleń. Wells objął wzrokiem martwe stworzenie, jego brązową sierść, smukłe nogi i delikatne, wąskie uszy. Za każdym krokiem myśliwego głowa jelenia kołysała się w tę i we w tę, nigdy jednak nie zataczała pełnego łuku, ponieważ o coś uderzała.

O drugą głowę, zwisającą z drugiej kształtnej szyi. Jeleń miał dwie głowy.

Wells zamarł. Wszyscy zerwali się na równe nogi, niektórzy powoli zbliżali się do Bellamy'ego, żeby lepiej przyjrzeć się zdobyczy, inni cofali się, przerażeni.

– Czy to bezpieczne? – dobiegło z ciemności pytanie jednej z dziewczyn.

– Bezpieczne – odezwała się z mroku Clarke, po czym weszła w krąg światła. – Promieniowanie mogło zmutować jego geny setki lat temu, ale teraz nie pozostało po nim ani śladu.

Wszyscy zamilkli, kiedy Clarke wyciągnęła dłoń i pogładziła sierść zwierzęcia. Wyglądała uroczo, stojąc w blasku płomieni.



– Teraz nie będziemy głodować – zwróciła się do myśliwego z uśmiechem, na widok którego Wells skrzywił się z zazdrości. Po czym dodała coś, czego nie usłyszał, ale jej towarzysz odpowiedział na to skinieniem głowy.

Wells odetchnął głęboko, próbując zwalczyć niechęć. Odetchnął jeszcze raz, a potem podszedł do nich. Clarke zeszywniała, ale on zmusił się, by patrzeć tylko na Bellamy'ego.

– Dzięki – powiedział Wells. – W ten sposób wykarmimy mnóstwo ludzi.

Bellamy patrzył na niego z powątpiewaniem, kołysząc się na stopach.

– Dziękuję – powtórzył Wells. – Naprawdę.

Tamten w końcu skinął głową, przyjmując podziękowanie. Wells wrócił na swoje miejsce przy ognisku, a tamci dwoje pograżyli się w cichej rozmowie, z głowami pochylonymi ku sobie.

Pokład obserwacyjny był całkowicie pusty. Patrząc w niezmierzone morze gwiazd, Wells wyobrażał sobie, że są jedynymi żyjącymi istotami w całym wszechświecie. Przytulił Clarke mocniej, a ona pochyliła głowę ku jego piersi i odetchnęła, wtulając się w niego. Była tak szczęśliwa, że chciała być jak najbliżej Wellsa, tak blisko, żeby oddychał za nich oboje.

– Jak ci dzisiaj poszło? – zamruczała.

– Świetnie – odparł chłopak, niepewny, dlaczego właściwie kłamie, skoro Clarke słyszy bicie jego serca i potrafi rozpoznać prawdę, jakby odczytywała kod Morse'a.

– Co się stało? – zapytała z przejęciem migoczącym w wielkich, zielonych oczach.

Jego oficcerskie szkolenie obejmowało okresowe wycieczki na „Waldena” i „Arkadię” w celu skontrolowania tamtejszych strażników. Dzisiaj obserwował, jak zatrzymują kobietę, która zaszła w niedozwoloną ciążę. Nie miała szansy na pobłażliwe traktowanie. Pozostanie w Odosobnieniu aż do rozwiązania, potem dzieckiem zaopiekuje się rada, a matka zostanie stracona. Prawo było surowe, ale konieczne. Statki mogły utrzymać przy życiu określoną liczbę pasażerów, a zakłócenie delikatnej równowagi naraziłoby na niebezpieczeństwo wszystkich ludzi. Wyraz paniki na twarzy kobiety, kiedy strażnicy zabierali ją do aresztu, odcisnął się w umyśle Wellsa niezatartym piętnem.

Nieoczekiwanie osobą, która pomogła mu zrozumieć, co właściwie zobaczył, był ojciec. Tego wieczoru przy kolacji kanclerz wyczuł, że coś jest nie tak, a syn opowiedział mu o incydencie, starając się, by relacja zabrzmiała po żołniersku i obiektywnie. Ojciec przejrzał jednak tę grę i z rzadkim u niego współczuciem położył dłoń na ręce syna.

– To, co robimy, bywa niełatwe – powiedział – ale jest niezbędne. Nie możemy pozwolić, żeby uczucia powstrzymywały nas od wykonywania obowiązków, a te polegają na utrzymywaniu przy życiu całej rasy ludzkiej.

– Niech zgadnę – powiedziała Clarke, przerywając tok jego myśli. – Aresztowałaś jakąś genialną zbrodniarkę za kradzież

książek z biblioteki.

– Nie – odparł i odgarnął kosmyk włosów za jej ucho. – Ona ciągle jeszcze pozostaje na wolności. W czasie, kiedy tu rozmawiamy, specjalny oddział straży prowadzi śledztwo i ma ją zatrzymać.

Uśmiechnęła się, a okruchy złota w jej oczach zaśniły. Nie potrafił sobie wyobrazić piękniejszego koloru.

Powrócił wzrokiem do olbrzymiego okna. Dziś wieczorem chmury pokrywające Ziemię nie kojarzyły mu się z całunem – wyglądały po prostu jak koc. Planeta nie umarła, zapadła tylko w zaczarowany sen, który będzie trwał, aż nadejdzie czas, by powitać ludzkość z powrotem w domu.

– O czym myślisz? – spytała Clarke. – O mamie?

– Nie – odpowiedział powoli. – Nie dziś. – Sięgnął w roztargnieniu do jej włosów i nawinął na palec jeden z loków, a potem pozwolił mu opaść z powrotem na jej ramię. – Chociaż... zawsze o niej myślę, w pewien sposób. – Ciężko mu było uwierzyć, że naprawdę odeszła. – Chciałbym, żeby była ze mnie dumna, gdziekolwiek się znajduje – kontynuował, spoglądając na gwiazdy, a po plecach przebiegł mu dreszcz.

Clarke ścisnęła jego dłoń, przekazując mu swoje ciepło.

– Oczywiście, że jest z ciebie dumna. Każda matka byłaby dumna z takiego syna.

Wells odwrócił się ku dziewczynie z uśmiechem.

– Tylko matka?

– Myślę, że zawojowałbyś również serca dziadków. – Skinęła poważnie głową, ale zaraz zachichotała, kiedy Wells połaskotał ją w ramię.

– Chciałbym, żeby był ze mnie dumny ktoś jeszcze!

Clarke uniosła brwi.

– Ten ktoś niech się lepiej pilnuje – powiedziała, sięgając dłońmi ku głowie Wellsa – bo bardzo nie lubię się dzielić.

Pochylił się z uśmiechem i zamknął oczy, prowokująco muskając wargami jej usta, a potem zjechał niżej, ku szyi.

– Ja też tego nie lubię – wyszeptał jej prosto do ucha.

Zadrżała, czując jego oddech na skórze. Przyciągnęła go bliżej. Pod wpływem jej dotyku ustąpiło napięcie w mięśniach. Zapomniał o wydarzeniach tego dnia, zapomniał, że to samo czeka go jutro i pojutrze... Teraz liczyła się tylko dziewczyna, którą trzymał w ramionach.

Zapach pieczonego jelenia był egzotyczny i odurzający. W Kolonii nie jadano mięsa, nawet na „Feniksie”. Cały żywy inwentarz został zlikwidowany w połowie pierwszego stulecia.

– Skąd będziemy wiedzieć, czy mięso już jest dobre? – zapytała Wellsa arkadyjka imieniem Darcy.

– Kiedy z zewnątrz zacznie być chrupiące, a od środka stanie się różowe – odparł Bellamy, nie odwracając głowy.

Graham prychnął, ale Wells rzekł:

– Myślę, że masz rację.

Gdy pieczeń wystygła, pokroili ją na małe kawałki

i zaczęli rozdawać siedzącym wokół ogniska.

Wells podał mięso Octavii, która wzięła je, po czym, trzymając w ręku, spytała:

– Próbowaleś już tego?

Pokręcił głową.

– Jeszcze nie.

– No, to nie fair! – oburzyła się. – A co, jeżeli okaże się wstrętne?

Rozejrzał się wokoło.

– Wygląda na to, że wszystkim smakuje.

Octavia wydeła usta.

– Ja nie jestem jak wszyscy! – Patrzyła na niego przez chwilę, jakby oczekiwała, że coś powie, a potem uśmiechnęła się i podsunęła mu swoją część. – Proszę. Skosztuj i powiedz mi, co myślisz.

– Wielkie dzięki – odparł Wells. – Wolałbym się najpierw upewnić, że pozostali...

– Daj spokój! – zachichotała, próbując wcisnąć mu kawałek do ust. – Weź trochę.

Wells rzucił okiem, sprawdzając, czy Clarke nie patrzy. Nie patrzyła. Była zbyt pochłonięta rozmową z Bellamym.

Odwrócił się do Octavii.

– Dobra – powiedział, biorąc kawałek z jej dłoni. Wyglądała na rozczarowaną, że nie udało jej się nakarmić go z ręki, ale Wellsowi było wszystko jedno. Skosztował mięsa. Z wierzchu było twarde, lecz gdy wgryzł się głębiej, poczuł smak, jakiego nie znał, jednocześnie słony, przydymiony i lekko słodkawy. Żuł chwilę, a potem

przełknął, przygotowując się na to, że żołądek odrzuci nieznaną substancję. Poczul jednak tylko ciepło.

Dzieciaki, które zjadły pierwsze, wstały ze swoich miejsc i zaczęły krążyć po polanie. Przez chwilę cichy gwar rozmów mieszał się z trzaskiem płomieni. Potem jednak na wierzch zaczął wybijać się szmer zdziwienia, od którego Wells poczul mrowienie na karku. Wstał i podszedł do grupy stojącej w pobliżu drzew.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Patrz. – Jedna z dziewcząt wskazała na coś pomiędzy pniami.

– Co? – Wells zmrużył oczy, wpatrując się w ciemność.

– Tam – powiedziała inna. – Widziałeś?

Przez chwilę Wells myślał, że zabawiają się jego kosztem, ale potem dojrzał, o co im chodzi. Błysk światła, tak krótki, że mógł go wziąć za wytwór wyobraźni. Kilka metrów dalej zobaczył kolejny błysk, a nieco wyżej następny. Zrobił krok do przodu. Brzeg polany teraz pełen był małych światełek, jakby niewidzialne ręce udekorowały ją na ich przyjęcie. Jego wzrok spoczął na najbliższej kulce światła zwisającej z gałęzi pobliskiego drzewa.

Coś poruszało się w środku. Jakiś owad o malutkim odwłoku i nieproporcjonalnie dużych, delikatnych skrzydłach. Wells bezgłośnie wypowiedział słowo „motyl”.

Niektórzy weszli za nim między drzewa. Teraz patrzyli na niego, zdziwieni.

– Clarke – wyszeptał w ciemności.

Musiała to zobaczyć. Oderwał wzrok i odwrócił się, gotów pobiec i przyprowadzić ją tutaj... ale ona już tu była.

Stała półtora metra od niego, jak sparaliżowana. Nikły blask rozświetlał jej twarz. Zniknęło zmartwienie, które ściągało jej rysy od lądowania.

– Hej – powiedział cicho Wells, nie chcąc psuć tej chwili.

Spodziewał się, że Clarke fuknie na niego gniewnie, uciszy go lub po prostu odejdzie... ale ona nie ruszyła się z miejsca. Stała w jednym miejscu, patrząc na fosforyzujące, latające światełka.

Wells nie ośmielił się poruszyć ani odezwać. Myślał, że stracił tę dziewczynę, ale ona wciąż stała. W tej właśnie chwili zrozumiał jedno: potrafi jeszcze sprawić, by pokochała go znowu.

# ROZDZIAŁ 14

## Bellamy

Bellamy nie potrafił zrozumieć, po co starożytni trudzili się produkcją i zażywaniem narkotyków. Jaki sens miało wstrzykiwanie sobie w żyły jakiegoś świństwa, skoro ten sam efekt można było osiągnąć, spacerując po lesie? Coś działo się za każdym razem, kiedy wkraczał między drzewa. Oddalając się od obozu w porannym słońcu na kolejną łowiecką wyprawę, zaczął głębiej oddychać. Serce biło mu mocno, powoli i miarowo, a całe ciało pracowało w tym samym rytmie. Było tak, jakby ktoś włamał mu się do mózgu i podkręcił jego zmysły do poziomu, którego istnienia Bellamy wcześniej nie podejrzewał.

Najlepsza ze wszystkiego była jednak cisza. Na statku zawsze pobrzmiwał w tle niski pomruk rozmaitych dźwięków: warkot generatorów, bzyczenie świetlówek, echo kroków w korytarzu. Kiedy po raz pierwszy wszedł do lasu, myślał, że zwariuje – nie potrafił myśleć bez stałego dźwięku w tle. Im więcej czasu jednak spędzał między drzewami, tym spokojniejsze stawały się jego myśli.



Bellamy badał teren przed sobą. Omijał wzrokiem skały i plamy wilgoci, szukając śladów. Nie znalazł dotąd wyraźnego tropu, którym mógłby podążać, tak jak poprzedniego dnia, ale coś kazało mu skrócić w prawo i wejść głębiej w las, gdzie drzewa rosły gęściej, rzucając na ziemię przedziwne cienie. Gdyby był zwierzęciem, skierowałyby się właśnie tam.

Sięgnął przez ramię po strzałę z kołczanu, który sam zrobił. W ciągu kilku ostatnich dni jego celność znacznie się poprawiła, więc wiedział, że zwierzęta nie cierpią zbyt wiele, kiedy je trafia. Mimo to ogromnie przykro było patrzeć, jak umierają. Nigdy nie zapomni bólu i strachu w oczach pierwszego jelenia, który upadł ze strzałą w boku. Upolowanie zwierzęcia było jednak mniejszym przestępstwem niż to, co miały na sumieniu inne dzieciaki posłane na Ziemię. Owszem, Bellamy zabijał żywe stworzenia, ale żyły one na wolności.

Setce więźniów obiecano wolność, lecz wiedział, że jemu nie przyznają tego przywileju. Nie po tym, co zrobił kanclerzowi. Jeżeli znajdzie się w pobliżu podczas lądowania kolejnego statku, pierwsza osoba, która z niego wysiądzie, prawdopodobnie zastrzeli go na miejscu.

Bellamy miał dość wszystkiego, co niosło ze sobą życie w Kolonii – kar, podziałów społecznych, całego tego systemu. Nie chciał dłużej żyć według reguł ustanawianych przez innych ludzi. Mdliło go na myśl, że miałby znów walczyć o przeżycie. Gdyby zamieszkali z Octavią w lesie, nie byłoby łatwo, ale przynajmniej byłiby wolni.

Ześlizgując się w dół stoku, wyciągnął dla równowagi ramiona. Starał się zachowywać jak najciszej, żeby nie spłoszyć żadnego zwierzęcia, ale i tak wylądował na dnies z głuchym łomotem. Błoto mlasnęło pod zniszczonymi butami. Skrzywił się, kiedy woda wlała się do wnętrza przez dziury w podeszwach. Powrót do obozu w mokrym obuwiu i skarpetach byłby bardzo niewygodny – przekonał się już o tym na własnej skórze. Nie rozumiał, dlaczego nie wspominała o tym żadna z ksiązek, które czytał. Po co mu wiedza, jak zbudować sidła z pnączy lub jakimi roślinami leczyć poparzenia, jeżeli nie mógł się poruszać?

Bellamy powiesił skarpety na gałęzi, by wyschły, a potem zanurzył stopy w strumieniu. Było już o wiele cieplej, niż kiedy opuszczał obóz, a woda przyjemnie chłodziła mu skórę. Podwinął spodnie do kolan i brodził w strumyku, uśmiechając się błogo, gdy nurt omywał mu łydki. Uwielbiał Ziemię – najnudniejsza rzecz, jak mycie nóg, stawała się tu ekscytującym zajęciem.

W pobliżu strumienia drzewa nie rosły tak gęsto, więc docierało tu więcej słońca. Bellamy nagle poczuł gorąco na twarzy i ramionach. Ściągnął koszulkę, zwinął ją w kłębek i rzucił na trawę, a potem nabrał wody w dłonie i chlapnął nią sobie w twarz, po raz kolejny przekonując się z przyjemnością, że woda może mieć smak. Po statku krążyły niewybredne dowcipy na temat wielokrotnie przetwarzanej wody, obracające się nieodmiennie wokół tematu sików prapradziadka. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wieki filtrowania i oczyszczania pozbawiły

zasoby wody w Kolonii smaku i zapachu, czyniąc ją praktycznie zbiorem molekuł tlenu i wodoru. Sięgnął dłonią po kolejny łyk ze strumienia. Gdyby miał opisać jego smak, rzekłby, że jest to mieszanka ziemi i nieba, a potem dałby w zęby każdemu, kto spróbowałby się z tego śmiać.

Wtem rozległ się głośny trzask. Bellamy okręcił się na pięcie tak szybko, że stracił równowagę i wpadł z pluskiem do wody. Czym prędzej się podniósł i zaczął czujnie rozglądać.

– Przepraszam, nie chciałam cię wystraszyć.

Odgarnął włosy z czoła i na trawiastym brzegu ujrzął Clarke. Było to dość nieoczekiwane: spotkać kogoś innego w lesie, o którym zaczął już myśleć jako o swojej własności. Oczekiwał, że ogarnie go irytacja, ale tak się nie stało.

– Nie mogłaś się doczekać popołudnia? – zapytał, brodząc do brzegu.

Clarke zarumieniła się.

– Potrzebujemy tych lekarstw – powiedziała, odwracając wzrok od jego nagiej piersi.

Dotąd była tak twarda, że łatwo było zapomnieć o jej pochodzeniu, a przecież dorastała w świecie eleganckich koncertów i przyjęć. Bellamy uśmiechnął się i otrząsnął, posyłając na brzeg fontannę kropel.

– Ej! – krzyknęła, odskakując w tył przed prysznicem. – Nie sprawdziliśmy jeszcze tego strumienia. Może być zatruty!

– Od kiedy to nasza nieustraszona pani chirurg jest taka delikatna?

Usiadł na rozgrzanej słońcem trawie i klepnął zapraszająco dłonią miejsce obok.

– Delikatna? – Clarke usiadła z sapnięciem. – Wczoraj wieczorem ledwie trzymałeś nóż, tak ci się trzęsły ręce.

– Hej, zabiłem jelenia. I tak zrobiłem więcej, niż do mnie należało. A poza tym – przerwał na chwilę i położył się na wznak – to ty jesteś przeszkolona w rozcinaniu tego i owego.

– A skądże.

Bellamy podłożył ręce pod głowę i obrócił twarz ku słońcu, oddychając głęboko, podczas gdy jego skóra powoli się nagrzewała. To było prawie tak przyjemne, jak iść do łóżka z dziewczyną. Może nawet lepsze, bo słońce nie pytało go, o czym teraz myśli.

– Przepraszam, że cię uraziłem – rzekł, rozciągając rozleniwionym głosem sylaby. – Wiem, że jesteś lekarzem, nie rzeźnikiem.

– Nie jestem. To znaczy zostałam Odosobniona, zanim skończyłam staż.

Nuta żalu w jej głosie sprawiła, że Bellamy poczuł się dziwnie. Uśmiechnął się do niej słabo.

– Jak na niedorobionego konowała, znakomicie dajesz sobie radę.

Popatrzyła na niego i przez sekundę pomyślał w popłochu, że ją obraził. Potem jednak skinęła głową i wstała.

– Chyba masz rację – rzekła – i dlatego powinniśmy jak najszybciej znaleźć te lekarstwa. Chodźmy.

Bellamy wstał z jękiem, naciągnął na nogi skarpetki i buty, a potem przewiesił sobie koszulkę przez ramię.

– Wolałabym, żebyś ją założył.

– Dlaczego? Martwisz się, że nie będziesz umiała się powstrzymać? Bo jeżeli przejmujesz się moją cnotą, to muszę ci powiedzieć, że nie...

– Chodziło mi o to – przerwała mu z uśmiezkiem – że mogą tu być różne trujące rośliny, które zostawią ci na tych pięknych pleckach śliczne ropne pęcherze.

Wzruszył ramionami.

– No to będziesz miała robotę, lekareczko. Zaryzykuję.

Roześmiała się, a Bellamy był pewien, że robi to po raz pierwszy od przybycia na Ziemię. Poczul zaskakujące ukłucie dumy, że stało się to dzięki niemu.

– Dobra – rzucił beztróska, wkładając koszulkę przez głowę i uśmiechając się do siebie, kiedy zauważył wzrok Clarke na swoim brzuchu. – Resztki lądownika były dalej na zachód. Idziemy. – Zaczął wchodzić na wzgórze, ale przystanął i spojrzał na Clarke. – Tam, gdzie chowa się słońce.

Podbiegła kilka kroków, żeby zrównać się z nim.

– Nauczyłeś się tego wszystkiego?

– No, myślę. Na „Waldenie” nie ma wielu tekstów o ziemskiej geografii. – Wypowiedział to zdanie bez goryczy, która z pewnością towarzyszyłaby mu, gdyby rozmawiał z Wellsem lub Grahamem. – Zawsze

interesowały mnie takie rzeczy, ale kiedy dowiedziałem się, że chcą wysłać na Ziemię Octavię... – przerwał, niepewny, jak wiele może jej powiedzieć. Clarke patrzyła na niego wyczekująco, z zielonymi oczami pełnymi ciekawości i jeszcze czegoś, czego nie potrafił określić. – Pomyślałem sobie, że im więcej się dowiem, tym lepiej będę przygotowany, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo.

Dotarli na szczyt wzgórza, ale Bellamy, zamiast poprowadzić ich z powrotem ku obozowi, ruszył w głąb lasu. Drzewa rosły tu tak blisko siebie, że ich korony przepuszczały niewiele słonecznego światła. Ta odrobina, która przedostawała się pomiędzy liśćmi, tworzyła na ziemi małe kałuże złotego blasku. Bellamy uśmiechnął się, widząc, jak Clarke starannie je omija, niczym dzieciak starający się nie nadepnąć na łączenia paneli pokładu w rękawie między statkami.

– Tak właśnie wyobrażałam sobie las Sherwood – powiedziała, a w jej głosie zabrzmiał głęboki szacunek. – Nie zdziwiłabym się, gdyby zza któregoś drzewa wyskoczył Robin Hood.

– Robin Hood?

– No wiesz... – Zatrzymała się, żeby na niego popatrzeć. – Wygnany książę, który kradł lekarstwa i oddawał je sierotom? – Bellamy patrzył na nią beznamiętnie. – Ten, co miał zaczarowany łuk i strzały. Jeżeli już o tym mówimy, to trochę go przypominasz – dodała z uśmiechem.

Powiódł dłonią po pokrytej pnączami gałęzi, której

liście połykiwała z lekka w półmroku.

– Na „Waldenie” rzadko słuchaliśmy takich historii – rzekł chłodno, ale po chwili głos mu złagodniał. – Mieliśmy niewiele książek, więc kiedy Octavia była mała, wymyślałem dla niej różne bajki. Najbardziej lubiła tę o zaczarowanym kubku na śmieci – parsknął. – Ta opowieść najlepiej mi wyszła.

Clarke uśmiechnęła się.

– Odważnie się zachowałeś. I to wszystko dla siostry.

– Taa, dobra, mógłbym to samo powiedzieć o tobie, ale coś czuję, że nie znalazłaś się tu z wyboru.

Podniosła dłoń, na której przegubie, tak jak u pozostałych, tkwiła bransoleta z przekaźnikiem. – Jak się domyśliłeś?

– Jestem pewien, że na to zasługiwał – zasugerował z uśmiechem.

Clarke, zamiast odpowiedzieć równie wesoło, odwróciła się. Bellamy chciał tylko zażartować, nie powinien jednak poczynać sobie tak śmiało – chyba z nikim, kto tu przyleciał. Każdy z nich miał coś do ukrycia, a Bellamy, zdaje się, najwięcej.

– Hej, przepraszam – rzucił. Przepraszał tak rzadko, że słowo to zabrzmiało dziwnie w jego ustach. – Znajdziemy ten zasobnik z lekarstwami. A tak przy okazji, co zawiera?

– Wszystko. Sterylne bandaże, leki przeciwbólowe, antybiotyki... Rzeczy, które znacznie poprawią stan... – przerwała na chwilę – wszystkich rannych.

Bellamy wiedział, że myślała zwłaszcza o jednej

dziewczynię, którą się zawsze zajmowała, o swojej koleżance.

– Naprawdę ci na niej zależy, no nie? – Wyciągnął rękę, żeby pomóc jej przejść przez pokryty mchem pień zagradzający drogę.

– Jest moją najlepszą przyjaciółką – odparła Clarke, łapiąc jego dłoń. – Jediną osobą, która wie, jaka jestem naprawdę.

Rzuciła mu z uśmiechem zakłopotane spojrzenie, ale on skinął głową.

– Wiem, co masz na myśli. – Octavia była jedyną osobą na świecie, która rzeczywiście go znała. Na nikim więcej mu nie zależało.

Wtedy spojrzał na Clarke, która pochylała się, by powąchać jaskraworóżowy kwiatek, a słońce przeświecało przez jej złote włosy... i nagle przestał być już tego taki pewien.



# ROZDZIAŁ 15

Clarke

Bellamy poprowadził Clarke w dół stromego zbocza porośniętego smukłymi drzewami, których splecione gałęzie uformowały coś w rodzaju łukowatego sklepienia. Panowała tu cisza, jakby nawet wiatr nie ważył się zakłócać spokoju wiekowych drzew.

– Chyba nie podziękowałem ci jeszcze za to, co zrobiłaś dla Octavii – rzekł Bellamy i czar prysnął.

– Czy mam przez to rozumieć, że właśnie dziękujesz?

– To najlepsze podziękowanie, na jakie mnie stać. – Spojrzał na nią z ukosa. – Nie jestem najlepszy w te klocki.

Clarke otworzyła usta, ale zanim zdołała odpowiedzieć, potknęła się na kamieniu.

– Hej, uważaj – rzucił ze śmiechem, łapiąc ją za ramię. – Ty z kolei nie czujesz się najlepiej, jeżeli chodzi o spacer.

– To nie spacer. To daleka piesza w y c i e c z k a . Ludzie nie robili tego od wieków, więc odpuść sobie.

– No pewnie. Wszystko polega na odpowiednim podziale pracy. Ty utrzymujesz nas przy życiu, a ja pilnuję,

żebyś stała na nogach. – Ścisnął porozumiewawczo jej dłoń, a Clarke poczuła, że na twarz wypełza jej rumieniec. Nie zdawała sobie sprawy, że wciąż trzymali się za ręce.

– Dzięki – odparła, opuściwszy ramię.

Bellamy stanął na chwilę, kiedy dotarli do punktu, gdzie grunt znowu był równy i płaski.

– Tędy – powiedział, wskazując na lewo – A jak to się właściwie stało, że zostałam lekarzem?

Clarke uniosła z zaskoczeniem brwi.

– No, chciałam tego. Czy ty nie wybierałeś sobie... – zamilkła, zdając sobie z zakłopotaniem sprawę, że nie ma pojęcia, czym Bellamy zajmował się na statku. Nie był przecież prawdziwym strażnikiem.

Patrzył na nią, jakby próbował się domyślić, czy żartowała.

– Na „Waldenie” to nie działa w ten sposób – rzekł powoli, wchodząc głębiej w zielony mrok. – Jeżeli ktoś ma świetne wyniki i jeszcze trochę szczęścia, może zostać strażnikiem. Inaczej robi to, co jego rodzice.

Clarke próbowała nie okazywać zaskoczenia. Oczywiście wiedziała, że waldenicy mogli wykonywać tylko określone prace, ale nie zdawała sobie sprawy, że do tego stopnia nie mają wyboru.

– To kim byłeś?

– Byłem... – zacisnął usta. – Wiesz co, to zupełnie bez znaczenia.

– Przepraszam – rzuciła szybko. – Nie miałam na myśli...

– Nie ma sprawy – przerwał jej, ruszając naprzód.

Szli dalej, ale teraz w milczeniu dało się wyczuć napięcie.

– Czekaj – szepnął Bellamy, wyciągając rękę, by ją zatrzymać.

Płynnym ruchem wyciągnął strzałę z kołczanu i uniósł łuk. Utkwił oczy w gąszczu drzew, gdzie trudno było odróżnić krzaki od cieni. Wtedy zobaczyła – szybki ruch, błysk światła odbity w oku. Wstrzymała oddech, kiedy z krzaków wyłoniło się zwierzę. Małe, brązowe, z długimi, wąskimi uszami, które kiwały się w przód i w tył. Królik.

Stworzenie kicało przez poszycie, a jego ogon, dwa razy dłuższy od reszty ciała, drgał w przedziwny sposób. „Czy króliki nie powinny mieć małych, puszystych ogonków?“, pomyślała. Zanim jednak zdołała przypomnieć sobie jakąkolwiek notatkę z wykładów o ziemskiej biologii, zobaczyła, jak łokieć Bellamy’ego odsuwa się ku tyłowi. Ten widok przegnał z jej głowy wszystkie myśli.

Strzała, błyskawicznie spuszczone z cięciwy, trafiła z donośnym trzaskiem prosto w pierś królika. Westchnienie zamarło na jej ustach. Przez sekundę Clarke zastanawiała się, czy mogłaby go uratować – podbiec, wyjąć strzałę i zaszyć ranę.

Bellamy złapał ją za ramię i ścisnął, przekazując w ten sposób ostrzeżenie i przypominając, że ten królik pomoże im przetrwać. Clarke zdawała sobie z tego sprawę. Królik doda sił Thalii. Próbowwała zamknąć oczy, ale jej wzrok pozostał utkwiony w ciele zwierzaka.

– W porządku – powiedział cicho Bellamy. – Dostał prosto w serce. Nie będzie cierpieł.

Miał rację: zwierzę drgało przez chwilę, ale szybko opadło na poszycie i zamarło w bezruchu. Myśliwy odwrócił się do dziewczyny.

– Przepraszam – rzekł. – Wiem, że to niełatwe patrzeć, jak ktoś cierpi.

Po plecach przeszedł jej dreszcz niemający nic wspólnego z martwym królikiem.

– Ktoś?

– Coś – poprawił się, wzruszając ramionami. – Dowolna istota.

Podbiegł do zwierzęcia, wyciągnął strzałę i zarzucił sobie zdobycz na ramię.

– Chodźmy tędy – powiedział, wskazując kierunek głową.

Napięcie zdawało się ustępować. Udane polowanie najwyraźniej poprawiło Bellamy'emu humor.

– To co w końcu jest grane między tobą i Wellsem? – zapytał, przerzucając ciężar na drugie ramię.

Clarke już miała się oburzyć na jego wścibstwo, ale jakoś nie potrafiła.

– Chodziliśmy ze sobą jakiś czas temu, ale nie wypaliło. Bellamy parsknął.

– Tak, to akurat zauważyłem. – Przerwał, czekając, aż Clarke znów zacznie mówić. – No i co dalej? – rzucił zachęcająco. – Co się stało?

– Zrobił coś... niewybaczalnego.

Zamiast zażartować lub wykorzystać okazję do wygłoszenia zjadliwego komentarza na temat zachowania Wellsa, Bellamy spoważniał.

– Nie wydaje mi się, żeby można było zrobić cokolwiek nie do wybaczenia – powiedział cicho. – Jeżeli ktoś uczyni to z właściwego powodu...

Clarke milczała, zastanawiając się, czy ma na myśli to, co zrobiła Octavia i za co ją Odosobniono, czy też coś zupełnie innego.

Bellamy spojrział w górę, jakby zainteresowały go nagle szczyty drzew, a potem znowu na Clarke.

– Nie twierdzę, że to, co zrobił, nie było straszne. Chodzi mi tylko o to, że częściowo rozumiem, dlaczego to zrobił. – Wyciągnął dłoń i przejechał palcem po jasnożółtym paśmie mchu wijącym się spiralą w górę pnia. – Wells i ja jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy znaleźli się tu z wyboru, z konkretnego powodu.

Clarke zaczęła formułować odpowiedź, ale zdała sobie sprawę, że nie jest pewna, co powiedzieć. Na pierwszy rzut oka tak bardzo się różnili: Wells, którego wiara w nieomylność władzy doprowadziła do egzekucji jej rodziców, i Bellamy, zapalczywy waldenita, który przyłożył kanclerzowi lufę do głowy i wziął go na zakładnika. Obaj jednak byli gotowi na wszystko, żeby zrealizować swoje plany... i chronić ludzi, na których im zależało.

– Może masz rację – szepnęła, zaskoczona jego przenikliwością.

Bellamy zatrzymał się i rozejrzał po okolicy, a potem ruszył naprzód jeszcze szybciej.

– To było tutaj – powiedział i poprowadził ją pod górę łagodnym stokiem, aż wyszli na otwartą przestrzeń. Trawa usiana była białymi kwiatkami poza jednym miejscem w połowie polany, wypalonym na czarno. Części ładownika leżały tu porozrzucane jak kości. Clarke ruszyła pędem.

Usłyszała, jak Bellamy ją woła, ale nawet się nie odwróciła. Biegła wiedziona nadzieją.

– No dalej, dalej, dalej! – mamrotała do siebie, rzucając się na kolana i rozgrzebując w pośpiechu szczątki.

Wtedy właśnie je zobaczyła. Metalowe pudła, niegdyś białe, teraz zaś osmalone i brudne. Podniosła najbliższe z nich, a jej puls przyśpieszył tak bardzo, że trudno jej było złapać oddech. Zaczęła szarpać się z zakleszczoną klamrą, ale pojemnik nie chciał się otworzyć. Zawiasy pokrywy zapiekły się od żaru. Gorączkowo potrząsnęła pudłem, modląc się, żeby lekarstwa w środku przetrwały katastrofę.

Dobiegło ją grzechotanie pigulek i był to najpiękniejszy dźwięk, jaki w życiu słyszała.

– Tego szukałaś? – zapytał Bellamy, zatrzymując się obok niej i łapiąc oddech.

– Możesz to otworzyć? – Clarke wepchnęła mu pudło w rękę.

Spojrzał uważnie na klamrę.

– Zobaczymy... – Wyjął z kieszeni nóż i kilkoma szybkimi ruchami podważył wieko.

Zanim Clarke zdała sobie sprawę z tego, co robi, w euforii zarzuciła mu ręce na szyję. Tak jak ona wybuchnął radosnym śmiechem, ugiął się pod jej ciężarem i objął ją w talii, podnosząc w powietrze i okręcając naokoło. Polana zatańczyła wokół nich w kalejdoskopie kolorów – zieleń, złoto i błękit zmieszały się w jedną zamazaną plamę, aż widziała tylko uśmiech Bellamy’ego rozświetlający jego twarz.

W końcu postawił dziewczynę delikatnie na ziemi, ale nie rozluźnił uścisku. Przeciwnie, przyciągnął ją jeszcze bliżej i zanim zdołała złapać oddech, ich wargi zetknęły się.

Cichy głosik z tyłu głowy nakazywał jej przestać, ale zagłuszyły go zapach skóry Bellamy’ego i jego rozkoszny dotyk.

Poczuła, że topnieje pod jego pocałunkami.

Smakowały niczym cała radość życia... a na Ziemi ten smak był jeszcze lepszy.

# ROZDZIAŁ 16

Glass

– No... nie wiem – powiedziała wolno Sonja, przyglądając się uważnie córce w przyćmionym świetle sypialni. – A gdybyśmy tak wzięły tamtą sukienkę i połączyły ją z zielonym gorsetem?

Glass zmusiła się, by oddychać głęboko i spokojnie. Od dwóch godzin przymierała ciuchy na przyjęcie z okazji przelotu komety i wciąż nie potrafiła wybrać.

– Jak uważasz, mamusiu – odrzekła, mając nadzieję, że jej uśmiech nie zdradza napięcia, które czuła.

– Nie jestem pewna – westchnęła jej matka. – Trudno będzie zdążyć z tym strojem na czas, ale postaramy się.

Glass powiedziała sobie, że przecież mama próbuje pomóc. Sonja uważała, że impreza na pokładzie widokowym będzie idealną okazją, by zaprezentować społeczności „Feniksa” nową Glass, uzbrojoną w oficjalne ułaskawienie i wystrojoną jak lalka. Dziewczyna wiedziała, że wicekanclerz zaszczyci ich swoją obecnością, a ona powinna dobrze odegrać swoją rolę. Zwrócono jej życie



w zamian za poprawienie wizerunku rządzących; ta transakcja była dla niej bardziej niż korzystna. Czuła jednak niepokój na myśl, że znajdzie się w centrum zainteresowania.

– A może jednak zdecydujemy się na tiul? – Matka pokazała stos odrzuconych wcześniej sukienek. – Przymierz ją jeszcze raz i wtedy... – Przerwał jej pisk przychodzącej wiadomości dochodzący z terminalu w kuchni.

– Odczytam ją – rzuciła szybko Glass, wybiegając z pokoju, zanim mama zdążyła zaprotestować.

Oczywiście nie była to poczta do niej. Przyjaciółki kontaktowały się tylko poprzez czipy; ekrany terminali były zarezerwowane dla bezsensownych informacji z departamentu oczyszczania lub złowieszczych ostrzeżeń rady. W ten sposób jednak mogła uwolnić się na krótko od rozmowy o modzie. Wyświetliła spis nieprzeczytanych wiadomości. Kiedy zobaczyła pierwszą z nich, której nagłówek migotał rytmicznie, zaparło jej dech w piersiach. To był przekaz od Luke'a.

*Szanowna panno Sorenson*

*Służba bezpieczeństwa odnalazła należący do pani zaginiony przedmiot w pobliżu plantacji solarnych. Można go odebrać w punkcie kontrolnym do jutra, do godziny 16:00.*

Musiała przeczytać wiadomość kilka razy, zanim dotarła do niej właściwa treść. Stworzyli ten kod z Lukiem dawno temu, zanim jeszcze dostała swój czip, w razie

gdyby jej matka kiedykolwiek grzebała w skrzynce odbiorczej. Informacja oznaczała, że chłopak chce się z nią spotkać tego popołudnia w pobliżu plantacji solamych.

– Glass? – zawołała Sonja z pokoju obok. – Co to było? Jej córka szybko skasowała wiadomość.

– Przypominają o przyjęciu z okazji przelotu komety. Jakby ktoś mógł nie pamiętać!

Spojrzała na zegarek i westchnęła – na wyświetlaczu widniała dopiero 10:15. Następne kilka godzin upłynie jej wolniej niż podczas Odosobnienia.

– Och! – wykrztusiła Sonja, kiedy Glass weszła z powrotem do sypialni. – To chyba jednak jest właściwa sukienka. Wyglądasz prześlicznie!

Dziewczyna z wahaniem odwróciła się do lustra i zobaczyła, o co chodziło matce... Tyle że wcale nie była to zasługa sukienki. Policzki jej pały, a oczy lśniły nadzieją.

Wyglądała na zakochaną.

Glass już o 15:40 wspięła się nieskończenie długimi schodami ku solarnym plantacjom pokrywającym górne pokłady „Waldena”. Dostęp do pól mieli wyłącznie naukowcy i żniwiarze, pozostali mogli przyglądać się im tylko z małego zamkniętego tarasu górującego nad plantacjami. Prawdopodobnie zaprojektowano go, żeby pilnować pracowników, ale przez wieki wyszedł z użycia i prawie nikt z niego nie korzystał.

Dotarłszy na szczyt schodów, Glass podeszła do krawędzi tarasu i siadła przy barierce, zwieszając nogi na

zewnątrz. Odpęrzyła się, patrząc na rzędy roślin wyciągających łodygi ku solarnym panelom. Z drugiej strony pole ograniczało tylko olbrzymie okno, dzięki któremu wydawało się, jakby rośliny rosły bezpośrednio pod gwiazdami. To właśnie tutaj najczęściej spotykała się z Lukiem. Tak było bezpieczniej, niż gdyby on przekradał się na „Feniksa” lub gdyby Glass przychodziła do jego mieszkania.

– Hej.

Odwróciła się i zobaczyła za sobą stojącego sztywno Luke’a. Zaczęła wstawać, ale on potrząsnął głową.

– Można się przysiąc?

Przytaknęła i zrobiła mu miejsce. Usiadł obok niej.

– Dziękuję, że przysłaś – powiedział skępowanym tonem. – Twoja mama nic nie podejrzewała?

– Nie, wszystko w porządku. Była zbyt zajęta rozwiązywaniem kryzysu odzieżowego.

Luke zaskoczył ją. Uśmiechnął się, a potem odchrząknął.

– Glass, ja... nie potrafię przestać myśleć o tym, co się wydarzyło – wyznał, a ona zeszywniała. Oczy utkwiała w ziemi. – Chodzi mi o... No, za co ktoś taki jak ty miałby zostać Odosobniony? Potem przypomniałem sobie, że kilka miesięcy po naszym zerwaniu słyszałem plotkę o dziewczynie z „Feniksa”, którą zatrzymano za... – Głos mu się załamał i umilkł. Glass obróciła się ku niemu i zobaczyła, że jego oczy lśnią od łez. – Czas by się zgadzał, ale nigdy nie wierzyłem, że to byłaś ty. – Luke

patrzył prosto przed siebie, jakby przyglądał się jakiemuś dalekiemu przedmiotowi. – Powtarzałem sobie, że nigdy nie trzymałabyś czegoś takiego w tajemnicy przede mną. Chciałem wierzyć, że mi ufałaś.

Glass przygryzła wargę, usiłując powstrzymać powódź słów. Rozpaczliwie pragnęła powiedzieć mu prawdę, ale co by jej z tego przyszło? Lepiej niech już uważa, że była głupiutką, rozpieszczoną dziewczyną z „Feniksa”, która złamała mu serce. Żył sobie teraz szczęśliwie z Camille i zasługiwał na to szczęście.

Wtedy jednak Luke wziął ją pod brodę i wszystkie myśli zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Glass obudziła się z uśmiechem na ustach. Minęło już kilka tygodni od nocy, którą spędziła z Lukiem, lecz nie mogła przestać o tym myśleć. Właśnie zaczęła po raz kolejny wspominać tamte wydarzenia, gdy poczuła wzbierającą falę nudności.

Stoczyła się z tóżka i powlokła przez hall do łazienki, wdzięczna, że światła działają, prawdopodobnie dzięki nowemu „przyjacielowi” matki, szefowi komitetu zasobów.

Szybko zamknęła drzwi i osunęła się na chłodną podłogę łazienki. Jej mózg walczył z żołądkiem; zmusiła się do regularnego oddychania, próbując dojść do siebie. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, była wizyta w centrum medycznym z histeryzującą matką u boku.

Żołądek wziął górę i Glass ledwie zdążyła pochylić się nad brzegiem muszli. Zachłysnęła się, oczy zapiekły ją od łez, a potem

oparła się bezwładnie plecami o ścianę łazienki. W żaden sposób nie będzie mogła spotkać się z Wellsem na obiedzie. Czuta się paskudnie, wystawiając go znów do wiatru. Ostatnio cały czas poświęcała swojej miłości, przez co zaniedbała przyjaźń z synem kanclerza. Tęskniła za nim, tym bardziej że nigdy nie przeszkadzała mu jej nierzetelność. Czasami sprawiało to, że czuta się jeszcze gorzej. Zwłaszcza po tym, co stało się z jego matką... a teraz jeszcze Clarke zaczęła zachowywać się dziwnie. Ostatnio liczba tematów, na które mogłaby pogadać z Wellsem, znacznie wzrosła, więc Glass miała wyrzuty sumienia, że nie potrafi znaleźć czasu na spotkanie i rozmowę.

– Glass? – zawołała jej matka z drugiej strony drzwi. – Czy coś nie tak?

– Nic! – odparła, starając się, by jej głos brzmiał rześko.

– Czy jesteś chora?

Glass cicho jęknęła. W nowym mieszkaniu prywatność nie istniała. Tęskniła za starym, przestronnym apartamentem z oknami pełnymi gwiazd. Wciąż nie potrafiła zrozumieć, dlaczego musieli zmienić go na gorszy. Czy tylko dlatego, że ojciec podjął niezwykłą, żenującą decyzję, by zerwać kontrakt małżeński i się wyprowadzić?

– Wchodzę – ogłosiła matka z przeciwnej strony drzwi.

Glass pośpiesznie wytarła usta i spróbowała wstać, ale z powrotem ześlizgnęła się po ścianie, kiedy do jej zbuntowanego żołądka dotarła kolejna fala mdłości. Drzwi stanęły otworem i Glass zobaczyła Sonję ubraną jak na wieczorne wyjście, mimo że nie

wybiło jeszcze nawet południe. Zanim jednak miała szansę zapytać ją, dokąd się wybiera – albo skąd wraca – matka otworzyła szeroko oczy i zbladła pod hojnie nałożonym podkładem.

– Co tu się dzieje?

– Nic – rzuciła Glass, próbując otrząsnąć się po torsjach i wymyślić jakieś wytłumaczenie, dzięki któremu matka zostawiłaby ją samą. Wirusy żółdkowe były na „Feniksie” rzadkością i każdy, kto choćby wyglądał na zarażonego, musiał spędzić cały okres choroby w odosobnieniu. – Wszystko w porządku.

– Czy ty... – Sonja obejrzała się za siebie i obniżyła głos, co było głupie, ponieważ były jedynymi osobami w całym mieszkaniu – wymiotowałaś?

– Tak, ale już wszystko gra. Myślę, że zdarzyło mi się...

– O, mój Boże – wydusiła z siebie matka, zamykając oczy.

– Nie jestem chora, przysięgam. Nie potrzebuję kwarantanny. Przez kilka ostatnich dni miałam rano mdłości, ale do popołudnia mi przechodziło.

Sonja otworzyła oczy, ale nie wyglądała na ani trochę mniej zmartwioną. Pokój zaczął wirować przed oczami Glass, a głos matki dziwnie się oddalił. Nie mogła zrozumieć, o co pyta Sonja. Coś jakby, kiedy po raz ostatni miała...

Nagle zamęt w jej brzuchu ustąpił miejsca twardej kuli strachu. Spojrzała w górę, na mamę i zobaczyła w jej oczach przerażającą pewność.

– Glass – odezwała się ochryple pobladła Sonja. – Zaszłaś

w ciążę.

Patrząc w twarz Luke'a, pełną współczucia i zrozumienia, Glass poczuła, jak pęka ostatnia zapora w jej głowie.

– Przepraszam! – Spróbowała zdusić płacz. – Powinnam ci była powiedzieć, ale... ale nie chciałam, żeby zabito nas oboje!

– Och, Glass! – Luke wyciągnął ramiona i przygarnął ją mocno. Wtuliła się z wdzięcznością w znane objęcia, a łzy popłynęły prosto na jego mundur. – Nie wierzę – wymamrotał. – Nie wierzę, że zrobiłaś to wszystko sama. Wiedziałem, że jesteś dzielna, ale nie sądziłem... Co się właściwie stało? – zapytał w końcu, a Glass wiedziała, co ma na myśli. O kogo pyta.

– On... – przełknęła, walcząc, by uspokoić oddech.

Czuła się, jakby jej serce miało za chwilę pęknąć, niezdolne do pomieszczenia całego żalu i ulgi, jakie je wypełniały. Ostatecznie potrząsnęła tylko głową. Słowa były niepotrzebne.

– O, mój Boże – wyszeptał, ujmując jej dłoń i splatając palce ze swoimi, ciasno. – Tak mi przykro. Westchnął. – Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wszystkiego tej nocy, kiedy uciekłaś? Nie miałem pojęcia! – Zamknął oczy, jakby próbował nie dopuścić do siebie wspomnień.

– Byłeś z Camille. Wiedziałam, że jest twoją przyjaciółką i pomyślałam... że w końcu znalazłeś kogoś, kto dał ci szczęście. – Glass uśmiechnęła się i wytarła łzy, które wciąż płynęły po jej twarzy. – Zasłużyłeś na to po

tym wszystkim, przez co ze mną przeszedłeś.

Luke odgarnął jej kosmyk włosów za ucho.

– W całym wszechświecie tylko jedna osoba może dać mi szczęście... i właśnie siedzi obok mnie. – Patrzył na nią, pożerając ją wzrokiem. – Od momentu, w którym cię znów zobaczyłem, wiedziałem, że to nie Camille. Jest i będzie moją dobrą przyjaciółką, ale niczym więcej... i powiedziałem jej to. Kocham cię, Glass. Nigdy nie przestałem i zawsze będę cię kochać.

Pochylił się i musnął wargami jej usta, z początku lekko, jakby dając im szansę na odnowienie znajomości. Przez moment czuli oboje, jakby to był ich nowy pierwszy pocałunek... ale po chwili to wrażenie minęło.

Objął Glass, a jej usta rozchyliły się. Kątem świadomości zarejestrowała, że jego dłoń igra w jej włosach, potem ześlizguje się na plecy i przyciąga ją jeszcze bliżej, podczas gdy druga ręka obejmuje ją ciasno w talii.

W końcu Glass przesunęła się i oderwała usta od jego ust.

– Kocham cię – wyszeptała, czując, jak rozpaczliwie pragnęła tego spotkania. „Kocham cię kocham cię kocham cię” pulsowało w jej ciele, kiedy Luke uśmiechnął się i znowu przytulił ją do siebie.



# ROZDZIAŁ 17

Wells

Zbliżało się południe, a Clarke wciąż nie wracała. Jedna z dziewcząt z „Arkadii” widziała, jak rano wchodziła do lasu. Wells musiał użyć całej siły woli, żeby za nią nie pobiec. Na myśl o wędrującej samotnie Clarke żołądek gwałtownie mu się skurczył. Musiał jednak pogodzić się z tym, że wiedziała, jak o siebie zadbać, chyba najlepiej ze wszystkich ludzi w obozie. Rozumiał także, jak ważne jest odnalezienie pojemnika z lekami. Poprzedniego dnia musieli wykopać kolejny grób.

Poszedł na zaimprovizowany cmentarz, który wyrósł na dalszym krańcu polany. Wells zadbał, żeby u wezglowia każdej mogiły postawiono drewniany krzyż, tak jak pamiętał ze starych fotografii cmentarzy. Chciał również wyryć na deskach imiona i nazwiska, ale znał tylko trójkę z pięciorga pochowanych dzieciaków, a nie wydawało mu się w porządku, by pozostawić pozostałe krzyże bez oznaczeń.

Wzdrygnął się i odwrócił od grobów. Idea grzebania

zmarłych wydawała mu się z początku odrażająca, ale nie widział innej możliwości. Palenie zwłok było jeszcze gorsze. Mimo że normalna praktyka wyrzucania ich w kosmos była na pewno schludniejsza, w chowaniu zmarłych razem było coś krzepiącego. Nawet po śmierci nie będą sami.

Cmentarz wyjątkowo go uspokajał. Mógł tam pójść i wyrzucić z siebie to, czego nie dało się powiedzieć żywym. Ktoś, być może dziewczyna z „Waldena”, którą widział przemykającą przez las, pozbiierał opadłe gałęzie i poukładał je wokół drewnianych krzyży. Świeące owady budziły się wieczorem do życia, rzucając delikatne światło na groby, które wyglądały dzięki temu wyjątkowo pięknie. Wells żałował, że takiego miejsca nie było na statku. Tutaj nie czuł się dziwnie, rozmawiając ze zmarłą matką.

Spojrzał w ciemniejące niebo. Nie wiedział, czy Kolonia nadal utrzymuje kontakt z rozbitym lądownikiem, ale miał nadzieję, że bransolety wciąż przekazują dane o składzie krwi i pulsie. Na statku muszą już dysponować wystarczającą ilością informacji, by wiedzieć, że Ziemia jest bezpieczna, i z pewnością zaczną niedługo wysyłać kolejne grupy kolonistów. Przez chwilę łudził się nawet, że przylecą tu również jego ojciec i Glass.

– Co tutaj robisz?

Wells odwrócił się. Powoli zbliżała się ku niemu Octavia. Szybko wracała do zdrowia i coraz mniej kuśtykała.

– Nie wiem. Myślę, że żegnam się ze zmarłymi. –

Wskazał na groby. – Zresztą i tak już wychodziłem – dodał szybko, patrząc, jak dziewczyna odrzuca na ramię ciemne włosy. – Teraz moja kolej, żeby pójść po wodę.

– Pójdę z tobą – uśmiechnęła się, a on, skrępowany, odwrócił oczy.

Długie rzęsy sprawiały, że śpiąc w szpitalnym namiocie, wyglądała niewinnie, ale teraz przydawały jej wielkim niebieskim oczom niebezpiecznego blasku.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? Wiesz, chodzi o twoją kostkę. To dłuższy spacer.

– Czuję się świetnie – odparła z żartobliwą irytacją w głosie. Przyłączyła się do niego i przez chwilę szli obok siebie. – Ale to miłe z twojej strony, że się tym przejmujesz. Aha, słuchaj – ciągnęła, przyspieszając tempo, by nadążyć za Wellsem, który nie zauważył nawet, że zaczął iść szybciej. – To głupie. Wszyscy tak słuchają Grahama, a ty wiesz przecież więcej niż on.

Wells zabrał jeden z pustych kanistrów stojących przy namiocie magazynowym i ruszył w kierunku lasu. Odkryli strumyk płynący niedaleko obozu, i wszyscy wystarczająco silni, by unieść pełny pojemnik, chodzili na zmianę po wodę. W każdym razie takie było założenie. Od wielu dni nikt nie widział, żeby Graham pofatygował się nad strumień.

Octavia zatrzymała się, gdy Wells wszedł między drzewa.

– Idziesz? – rzucił, oglądając się przez ramię.

Odchyliła głowę, uważnie badając w gasnącym świetle

dnia kontury drzew i kryjące się w nich cienie.

– Idę! – zawołała. Kiedy znów stanęła koło niego, mówiła już dużo ciszej: – Nie byłam jeszcze w lesie.

Wells złagodniał. Nawet on, który spędził większość życia, marząc o przybyciu na Ziemię, uważał ją czasem za przerażającą: olbrzymie przestrzenie, nieznanne dźwięki, poczucie, że coś może czaić się tuż poza kręgiem światła z ogniska. A przecież miał czas, żeby się do tego przygotować. Mógł sobie tylko wyobrażać, co czują inni, wyrwani ze swoich cel i wepchnięci do lądownika, zanim zdali sobie sprawę, co się dzieje. Wysłano ich na obcą planetę, której nazwa była dla nich tylko pustym dźwiękiem.

– Ostrożnie – powiedział, wskazując na poplątane korzenie ukryte pod stosem fioletowych liści. – Dość tu nierówno.

Ujął jej drobną dłoń i pomógł przejść przez zwałony pień. Dziwnie było pomyśleć, że istota nieposiadająca pulsu może umrzeć, ale miękka, łuszcząca się kora wyglądała, jakby pokrywała zwłoki drzewa.

– A więc to prawda? – spytała Octavia, gdy schodzili już w dolinę, ku strumieniowi. – Specjalnie dałeś się Odosobnić po to, żeby przylecieć tu z Clarke?

– Tak, to prawda.

Westchnęła smutno.

– To najbardziej romantyczna historia, o jakiej słyszałam w życiu.

Wells uśmiechnął się cierpko.

– Wierz mi, że nie.

– Jak to? – zapytała, przechylając głowę. W leśnym cieniu wyglądała znów jak dziecko.

Odwrócił wzrok, nagle niezdolny spojrzeć jej prosto w oczy. Zastanawiał się ponuro, co by powiedziała, gdyby poznała prawdę.

Nie był dzielnym rycerzem, który przybył, żeby ocalić księżniczkę. To przez niego zamknięto ją w lochu.

Wells spojrzął na swój czip po raz czternasty w ciągu ostatnich dwóch minut, czyli od kiedy usiadł. Wiadomość wysłana rano przez Clarke brzmiała niepokojąco, a ona sama już od kilku tygodni zachowywała się dziwnie. Prawie się nie widywali, a kiedy zdołał ją wysledzić, cała drgała od jakiejś nerwowej energii. Prześladowała go myśl, że Clarke chce z nim zerwać. Nie sądził jednak, żeby miała zamiar zrobić to w bibliotece – to byłoby zbyt okrutne. Zbrukałaby w ten sposób miejsce, które oboje najbardziej kochali. Nie zrobiłaby mu tego.

Usłyszał kroki i wstał, a nad jego głowę znów zapaliły się światła. Siedział nieruchomo tak długo, że automat przestał wyczuwać jego obecność, wygaszając całe oświetlenie z wyjątkiem przyćmionych lampek bezpieczeństwa w podłodze. Wells zobaczył nadchodzącą Clarke. Miała na sobie jeszcze luźne chirurgiczne spodnie, co zazwyczaj wywołałoby u niego uśmiech – uwielbiał fakt, że nie spędzała całych godzin na rozmyślaniu, w co się ubrać, jak to czyniła większość dziewczyn na „Feniksie” – ale cały strój wisił na niej, a oczy miała mocno podkrążone.

– Hej! – przywitał ją, podchodząc i całując lekko. Nie uciekła od pocałunku, ale nie odpowiedziała mu tym samym. – Wszystko w porządku? – zapytał, doskonale wiedząc, że tak nie jest.

– Wells – zaczęła mówić, lecz głos jej się załamał. Połykała łzy. Uniósł czujnie brwi; Clarke nigdy nie płakała.

– Hej – wymamrotał, obejmując ją ramieniem i prowadząc ku sofie. Nogi ugiwały się pod nią. – Wszystko będzie dobrze, przyrzekam. Tylko powiedz mi, co się dzieje.

Popatrzyła na niego. Widział, jak potrzeba, żeby mu się zwierzyć, walczy w niej ze strachem.

– Musisz mi przyrzec, że nikomu o tym nie powiesz.

Skinął głową.

– Oczywiście, że nie.

– Mówię poważnie. Nie chodzi o jakieś ploteczki. To się dzieje naprawdę. To sprawa życia i śmierci.

Wells uściśnął jej dłoń.

– Clarke, wiesz przecież, że możesz mi powiedzieć wszystko.

– Dowiedziałam się... – zaczerpnęła powietrza, na chwilę zamknęła oczy i zaczęła jeszcze raz. – Wiesz o badaniach moich rodziców nad promieniowaniem?

Przytaknął. Rodzice Clarke kierowali programem badań na dużą skalę, które miały ustalić, kiedy – jeżeli w ogóle – ludzkość będzie mogła bezpiecznie wrócić na Ziemię. Za każdym razem, kiedy kanclerz wspominał o tej misji, Wells sądził, że dotyczy ona raczej odległej przyszłości, że ojciec raczej daje wyraz nadziei, niż kreśli

realne plany. Mimo to rozumiał, jak ważna jest praca państwa Griffinów dla kanclerza i całej Kolonii.

– Prowadzą próby na ludziach – powiedziała cicho Clarke. Dreszcz przeszedł Wellsowi po plecach, ale nie odezwał się, tylko ścisnął mocniej jej dłoń. – Eksperymentują na dzieciach – skończyła Clarke niemal szeptem.

Jej głos był pusty, jakby ta myśl krążyła w jej głowie tak długo, że straciła już całą doniosłość.

– Na jakich dzieciach? – zapytał, starając się zrozumieć. Jego myśli galopowały dziko.

– Niezarejestrowanych – wyjaśniła dziewczyna, a w jej oczach, pełnych łez, zaśnił nagły gniew. – Na dzieciach z centrów opieki, których rodzice zostali straceni za złamanie praw prokreacyjnych. – Wells słyszał w jej głosie niewypowiedziane oskarżenie. „To ludzie, których zabił twój ojciec”.

– Są takie małe... – głos Clarke zamarł. Odchyliła się do tyłu i skurczyła, jak gdyby, wyznając prawdę, pozbyła się części siebie.

Wells objął ją ramieniem, a ona – zamiast wzdrygnąć się i odsunąć, jak przez kilka ostatnich tygodni – wtuliła się w niego i oparła głowę na jego piersi.

– Wszystkie ciężko chorują. Niektóre z nich już umarły.

– Tak mi przykro, Clarke – wymamrotał, szukając w głowie słów, które ukołyby jej ból. Poczutł, jak jej łzy przesiąkają mu przez koszulę. – Twoi rodzice na pewno robią wszystko, żeby... – przerwał. Nie było takich słów. Musiał to powstrzymać, zanim przerażenie i poczucie

winy wyrządzą w psychice dziewczyny nieodwracalne szkody. – Co mogę zrobić? – zapytał mocnym głosem.

Wyprostowała się i popatrzyła na niego, a jej oczy wypełniał teraz całkiem inny strach.

– Nic – rzuciła z determinacją, która go zaskoczyła. – Obiecuj mi, że n i c z tym nie zrobisz. Rodzice kazali mi przysiąc, że nikomu nie powiem. Nie chcieli tego zrobić, Wells, to nie był ich wybór. Wicekanclerz Rhodes zmusił ich. Zagroził im. – Złapała dłoń Wellsa. – Przyrzeknij mi, że nie zdradzisz tego nikomu. Ja tylko... – Przygryzła wargę. – Nie mogłam dłużej trzymać tego w tajemnicy. Musiałam komuś powiedzieć.

– Przyrzekam – obiecał, chociaż zrobiło mu się gorąco z wściekłości. Ten śliski łajdak nie miał prawa zachowywać się w taki sposób. Pomyślał o swoim ojcu, człowieku o niezłomnym poczuciu prawości. On nigdy nie zaaprobowałby prób na ludziach. Co więcej, mógł je natychmiast zatrzymać.

Clarke popatrzyła na Wellsa, szukając jego wzroku, a potem uśmiechnęła się do niego z drżeniem. Uśmiech zniknął z jej twarzy prawie tak szybko, jak się pojawił.

– Dziękuję.

Ponownie położyła głowę na jego piersi, a on objął ją ramieniem.

– Kocham cię – wyszeptał.

Godzinę później, gdy Wells już odprowadził Clarke do domu, sam jeszcze raz poszedł na pokład obserwacyjny. Musiał coś z r o b i ć.



Nie miał zamiaru stać z boku i przyglądać się, jak poczucie winy niszczy jego dziewczynę.

Wells nigdy przedtem nie złamał obietnicy. Jego ojciec wpajał mu od najmłodszych lat, że słowa należy dotrzymywać – że to cecha prawdziwego przywódcy. Teraz jednak pomyślał o łzach Clarke i wiedział już, że nie ma wyboru.

Odwrócił się i poszedł prosto do biura ojca.

Napełnili kanister wodą ze strumienia i ruszyli w drogę powrotną do obozu. Wells przez dłuższy czas udzielał Octavii jednosylabowych odpowiedzi, aż wreszcie zdołał ją zniechęcić do zadawania pytań o Clarke. Teraz szła obok niego, obrażona, a on czuł się winny. Była słodkim dzieckiem i na pewno chciała dobrze. Jak to się stało, że trafiła na Ziemię?

– Hmm – przerwał ciszę. – Co takiego zrobiłaś, że cię Odosobniono?

Octavia popatrzyła na niego z zaskoczeniem.

– Nie słyszałaś, jak mój brat o tym mówi? – Uśmiechnęła się kwaśno. – Uwielbia opowiadać ludziom, jak zostałam złapana na kradzieży jedzenia dla młodszych dzieciaków z centrum opieki, tych maluchów, co to zawsze są zmuszane przez starszych do oddawania swoich racji, i jak potwory z rady bez mrugnięcia okiem mnie Odosobniły.

Coś w jej głosie dało mu do myślenia.

– A rzeczywiście tak było?

– Jakie to ma znaczenie? – odparła ze znużeniem, które

sprawiło, że przez chwilę wyglądała na więcej niż czternaście lat. – I tak wszyscy myślą to, co chcą. Jeżeli Bellamy chce wierzyć w tę historię, nie zamierzam mu w tym przeszkadzać.

Wells zatrzymał się, żeby poprawić ciężki pojemnik z wodą. Jakimś cudem zabłądzili do zupełnie innej części lasu. Drzewa rosły tu gęściej, ale widział wystarczająco dużo, żeby zorientować się, jak daleko zbczyli.

– Zgubiliśmy się? – Octavia rozejrzała się na boki i nawet w przyćmionym świetle zauważył panikę w jej oczach.

– Wszystko będzie w porządku, muszę tylko... – przerwał, gdyż w powietrzu rozległ się jakiś dźwięk.

– Co to było? – zapytała Octavia. – Czy teraz...

Wells uciszył ją i ruszył naprzód. Brzmiało to jak łamiąca się gałązka, co oznaczało, że coś przeszło tuż za drzewami. W myślach kopnął się w tyłek za to, że nie wziął żadnej broni. Fajnie byłoby przynieść do obozu zdobycz, choćby po to, by pokazać, że Bellamy nie jest jedyną osobą, która potrafiła opanować sztukę polowania. Dźwięk rozległ się znowu i frustracja Wellsa ustąpiła miejsca obawie. Zapomniał o upolowaniu zwierzyny na kolację – przez jego nieostrożność mogą razem z Octavią sami stać się czyjąś kolacją.

Już miał złapać ją za rękę i rzucić się do ucieczki, kiedy jego uwagę przyciągnął rudozłoty błysk za drzewami. Postawił pojemnik z wodą u stóp i przeszedł ostrożnie kilka kroków.

– Zostań tutaj – szepnęła.

Przed sobą miał otwartą przestrzeń, coś w rodzaju polany. Na ustach zawisło mu imię, ale zanim zdążył je wykrzyknąć, zmarł.

Clarke stała na środku polany. Obejmował ją w czułym uścisku nie kto inny, jak Bellamy. Kiedy zaś ich wargi zetknęły się w pocałunku, Wellsa ogarnęła furia. Poczłł nieznośne gorąco, a serce waliło mu jak oszalałe.

Jakoś zdołał odwrócić od nich wzrok i ukradkiem cofnąć się pomiędzy drzewa, zanim zakręciło mu się w głowie. Złapał za gałąź, żeby odzyskać równowagę. Dyszał ciężko i próbował uspokoić oddech. Ryzykował własne życie, żeby chronić tę dziewczynę, a ona tymczasem całowała kogoś innego – i to nie byle kogo, a tego samego durnia, przez którego być może zginął jego ojciec.

– Ohoho – doszedł go głos Octavii. – Wygląda na to, że bawią się na spacerze dużo lepiej niż my.

Wells odwrócił się i zaczął iść w innym kierunku. Niejasno zdawał sobie sprawę z tego, że Octavia truchta za nim, mówiąc coś o pudle z lekarstwami, lecz nie słyszał dokładnie jej głosu. Zagłuszały go uderzenia pulsu w skroniach. Nie obchodziło go, czy znaleźli brakujące skrzynki. Nie było takiego lekarstwa, które uleczyłoby jego złamane serce.

# ROZDZIAŁ 18

Clarke

Kiedy Clarke i Bellamy wrócili z lekarstwami do obozu, zapadła już ciemność. Clarke wędrowała po lesie przez kilka godzin, ale gdy wychodziła spomiędzy drzew na polanę, miała wrażenie, że opuściła ją wieki temu.

Większość drogi powrotnej upłynęła im w milczeniu. Za każdym razem, gdy ich ramiona przypadkowo się o siebie ocierały, wydawała się przeskakiwać pomiędzy nimi iskra. Po pierwszym pocałunku Clarke czuła potworne zażenowanie i przez kolejne pięć minut usiłowała wyjąkać przeprosiny, lecz Bellamy tylko się uśmiechał. W końcu przerwał jej donośnym śmiechem i powiedział, żeby się tym nie martwiła.

– Wiem, że nie jesteś dziewczyną, która obściskuje się w lesie z każdym przypadkowo poznanym chłopakiem – powiedział z łobuzerskim uśmiechem. – Może jednak powinnaś zacząć?

Kiedy dotarli na polanę, myśli o pocałunku zniknęły jak zdmuchnięte na widok konturów namiotu szpitalnego.

Clarke pobiegła ku niemu, trzymając kurczowo lekarstwa.

W namiocie nie było nikogo poza majaczącą w gorączce Thalią i – ku zdumieniu Clarke – Octavią, która mościła się na swojej dawnej pryczy.

– Inne namioty są takie małe... – zaczęła tłumaczyć, lecz Clarke zdołała tylko skinąć głową w odpowiedzi.

Postawiła skrzynkę z lekarstwami na podłodze, napełniła strzykawkę i wbiła igłę w ramię przyjaciółki. Następnie znalazła zestaw leków przeciwbólowych i zaaplikowała jej pełną dawkę. Uśmiechnęła się, kiedy zaraz po tym uspokojona Thalia zasnęła.

Clarke klęczała obok chorej jeszcze przez parę minut, aż w końcu jej puls się ustabilizował. Westchnęła z ulgą. Przez chwilę patrzyła na bransoletę i zastanawiała się, czy gdzieś wysoko ktoś przygląda się jej własnemu pulsowi. Może doktor Lahiri lub inny z głównych lekarzy Kolonii nadzorował dane na temat zdrowia setki młodych ludzi, śledząc codziennie wieści z Ziemi? Na pewno zauważyli, że pięcioro z nich już nie żyje... Clarke ciekawiło, czy przypisali te zgony wpływowi promieniowania i zrewidowali plany powtórnej kolonizacji, czy też byli na tyle inteligentni, by domyślić się, że są to ofiary lądowania. Nie była pewna, który z tych scenariuszy bardziej jej odpowiadał. Z pewnością nie chciała, żeby jurysdykcja rady zaczęła obowiązywać na Ziemi... ale przecież jej rodzice poświęcili całe życie, by ludzkość mogła wrócić do domu. Założenie stałego osiedla oznaczałoby, że w pewnym sensie odnieśli sukces – że ich śmierć nie poszła

na marnie.

Pozbierała lekarstwa z powrotem do pudła i postawiła je w kącie namiotu. Jutro znajdzie dla niego bezpieczne miejsce, ale na razie musiała odpocząć. Jeżeli ktokolwiek w kosmosie rzeczywiście monitorował liczbę kolonistów, miała zamiar dopilnować, żeby nie spadła ona poniżej dziewięćdziesięciu pięciu.

Zrobiła kilka chwiejnych kroków i padła na pryczę, nie ściągając nawet butów.

– Czy ona wyzdrowieje? – spytała Octavia.

Jej głos dobiegał z bardzo daleka.

Clarke wymamrotała, że tak. Oczywiście jej się same zamykały.

– Jakie lekarstwa znaleźliście?

– Wszystkie – powiedziała Clarke, a w każdym razie próbowała to powiedzieć. W chwili, kiedy słowa już ulatywały z ust, wyczerpany mózg odmówił posłuszeństwa. Usłyszała tylko, jak Octavia wstaje z pryczy, i zaraz potem zapadła w głęboki sen bez marzeń.

Obudziła się następnego dnia rano. Octavii nie było w namiocie, a przez odsłoniętą klapę wpadało jasne światło.

Thalia leżała na boku, wciąż pogrążona we śnie. Clarke podniosła się i jęknęła. Czowała, że mięśnie ma jeszcze zeszywniałe po wczorajszej wędrówce. Ten ból był inny; wywołał go spacer po lesie, w którym ludzka stopa nie stanęła od trzystu lat. Przypomniało jej się, że wczoraj zasłużyła na jeszcze jeden tytuł: pierwszej dziewczyny na

Ziemi od kataklizmu, która pocałowała tu chłopaka. Na myśl o tym ścisnęło ją w żołądku.

Uśmiechnęła się i podeszła do Thalii. Nie mogła się doczekać, aż przyjaciółka wyzdrowieje na tyle, żeby wysłuchać najnowszych wieści. Przyłożyła wierzch dłoni do jej czoła i z ulgą stwierdziła, że jest chłodniejsze niż poprzedniego wieczoru. Delikatnie odsunęła koc, by spojrzeć na brzuch. Infekcja wciąż była widoczna, ale przestała się rozszerzać. Po pełnej kuracji antybiotykami ranna powinna wrócić do zdrowia.

Trudno było to dokładnie ocenić, ale na podstawie intensywności światła słonecznego Clarke stwierdziła, że od ostatniej dawki minęło już przynajmniej osiem godzin. Odwróciła się i podeszła do skrzynki z lekarstwami. Zmarszczyła brwi. Skrzynka była otwarta! Upadła na kolana i zamrugła, przekonana, że to złudzenie.

Ale nie. Pojemnik został opróżniony.

Zniknęło wszystko: antybiotyki, leki przeciwbólowe, nawet strzykawki.

– Nie – szepnęła Clarke na widok pustej skrzynki. – Nie – powtórzyła głośniej, podnosząc się z klęczek.

Podbiegła do najbliższej pryczy i zrzuciła z niej pościel, potem zrobiła to samo z własnym pościelaniem.

Jej wzrok zatrzymał się na pryczy Octavii. W jednej chwili panika przerodziła się w podejrzenie. Pośpieszyła ku niej i zaczęła grzebać w stosie koców.

– No, dalej – mruzczała do siebie, ale poszukiwania nie dały rezultatu.

– Nie! – Tupnęła ze złością. Lekarstw nie było w namiocie, to jasne. Ktokolwiek je zabrał, nie mógł jednak uciec daleko. Na całej planecie nie było nawet setki ludzi, a Clarke postanowiła, że nie spocznie, dopóki nie dowie się, co to za złodziej naraził życie Thalii. Prawdopodobnie poszukiwania nie będą trwały zbyt długo.

Clarke upewniła się, że rodziców nie ma w domu, a potem pobiegła do laboratorium i wpisała kod. Spodziewała się, że po jej wyznaniu rodzice go zmienią, ale albo nie wiedzieli, jak często odwiedza chore dzieciaki, albo nie chcieli jej tego uniemożliwić. Być może podobało im się nawet, że córka dotrzymuje towarzystwa podopiecznym.

Po drodze Clarke witała wszystkich uśmiechem, ale serce jej się ścisnęło, gdy widziała, jak niewiele dzieci jest przytomnych. Większość czuła się coraz gorzej, a pustych łóżek było o wiele więcej niż podczas jej poprzedniej wizyty.

Zbliżając się do łóżka Lilly, próbowała o tym nie myśleć. Kiedy jednak spojrzała na przyjaciółkę, ręce zaczęły jej drżeć.

Lilly umierała. Clarke wyszeptala jej imię i chora ledwie uchyliła powieki. Mimo że jej wargi się poruszały, nie miała siły, by sformułować zrozumiałą odpowiedź.

Na jej skórze widniało jeszcze więcej czerwonych, łuszczących się plam, ale krwawiły mniej niż ostatnio, ponieważ Lilly nie miała siły ich rozdrapywać. Clarke usiadła przy łóżku, walcząc z falą nudności. Patrzyła, jak pierś przyjaciółki podnosi się i opada w nieregularnym oddechu. Wiedziała, że to zaledwie początek; to



było najgorsze. Inni pacjenci egzystowali w ten sposób całymi tygodniami, a objawy choroby stawały się coraz bardziej makabryczne, podczas gdy promieniowanie stopniowo pożerało ich ciała.

Przez chwilę Clarke wyobrażała sobie, że przenosi Lilly do centrum medycznego, gdzie przynajmniej można by jej podać silne środki przeciwbólowe, nawet jeżeli było już za późno na ratunek. Równie dobrze jednak mogła zaprosić wicekanclerza do wykonania egzekucji na jej rodzicach. A potem Rhodes i tak znalazłby kogoś innego, kto kontynuowałby badania. Clarke miała tylko nadzieję, że program doprowadzi do konkretnych efektów i nie okaże się, iż dzieciaki cierpiały na próżno.

Półprzeźroczyste powieki Lilly uchyliły się.

– Cześć, Clarke – zachrypiąca, a na jej twarzy pojawił się grymas przypominający uśmiech, szybko jednak starta go nowa fala bólu.

Clarke złapała przyjaciółkę za rękę, ściskając ją delikatnie.

– Cześć – szepnęła. – Jak się masz?

– Świetnie – zęgąta Lilly. Spróbowała usiąść i skrzywiła się.

– Spokojnie. – Clarke położyła jej dłoń na ramieniu. – Nie musisz siadać.

– Ale chcę – odparła tamta napiętym głosem.

Przyjaciółka delikatnie pomogła jej się podnieść, a potem poprawiła poduszki. Prawie się wzdrygnęła, kiedy jej palce musnęły plecy Lilly. Czują żebra wystające przez skórę.

– Jak ci się podobały opowiadania Dickensa? – spytała,

spoglądając pod łóżko Lilly, gdzie trzymały książki ukradzione z biblioteki.

– Przeczytałam tylko pierwsze, to o Oliwierze Twiście – uśmiechnęła się słabo Lilly. – Moje oczy już nie... – zamilkła. Obie wiedziały, że kiedy wzrok zaczynał chorą odmawiać postuszeństwa, był to znak, iż pozostało im już niewiele życia. – Ale i tak mi się nie podobało. Za bardzo przypominało mi to centrum opieki.

Clarke nie zadawała dotąd przyjaciółce żadnych pytań o wcześniejsze życie. Miała wrażenie, że Lilly nie chce o tym rozmawiać.

– Naprawdę było tak źle? – spytała.

Chora wzruszyła ramionami.

– Pomagaliśmy sobie nawzajem. Żadne z nas nie miało nikogo do pomocy... z wyjątkiem jednej dziewczynki. Miała brata. Prawdziwego starszego brata. – Opuściła głowę, rumieniąc się nagle. – Zawsze coś jej przynosił, dodatkowe jedzenie, skrawki wstążek...

– Naprawdę? – powiedziała Clarke, udając, że wierzy w historyjkę o dziewczynce, która miała brata. Odgarnęła kosmyk włosów Lilly ze spoconego czoła. Mimo zaawansowanej choroby przyjaciółka wciąż miała talent do dramatycznych opowieści.

– To miło z jego strony – dodała roztargnionym tonem, a jej wzrok powędrował w stronę tysiąch placków na głowie chorej. Coraz trudniej było je ignorować.

– Dobra – Lilly zmieniła temat. – Opowiedz mi o swoich urodzinach. Co na siebie założysz?

Clarke prawie zapomniała, że w następnym tygodniu przypadają jej urodziny. Nie czuła się na siłach, żeby je świętować.

– Och, wiesz co... moje najlepsze spodnie – rzuciła niefrasobliwie. – I tak wolę posiedzieć tu z tobą, niż iść na jakieś głupie przyjęcie.

– Clarke! – jęknęła Lilly z udawaną rozpaczą. – Musisz coś ze sobą zrobić. Zaczynasz być naprawdę nudna. Poza tym chcę postuchać o twojej urodzinowej sukience. – Skrzywiła się nagle i skuliła z bólu.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoiła się Clarke, kładąc dłoń na ramieniu chorej.

– Boli!

– Może coś ci podać? Chcesz wody?

Lilly otworzyła oczy z błagalną miną.

– Możesz położyć temu kres, Clarke. – Zamilkła, a potem jęknęła:

– Proszę, zrób to. To tylko kwestia czasu...

Clarke odwróciła głowę, żeby przyjaciółka nie widziała jej łez.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptala, zmuszając się do uśmiechu. – Obiecuję.

Jeszcze jeden spazm wstrząsnął ciałem Lilly, zanim zamilkła. Odchyliła się w tył i zamknęła oczy.

Clarke podciągnęła koce pod szyję chorej, próbując ignorować myśl, która zapuściła szpony w jej umyśle. Wiedziała, o co prosi Lilly.

To nie byłoby wcale trudne. Dziewczynka była już tak wycieńczona, że wystarczyłoby podać jej kilka właściwie dobranych leków przeciwbólowych, a zapadłaby w śpiączkę i całkiem bezboleśnie odeszła.

„Co ja właściwie zamierzam zrobić?“, pomyślała Clarke, cofając się z przerażeniem przed tym, co przyszło jej do głowy. Krew na rękach rodziców skaziła również ją. Cały ten koszmar zmienił ją w potwora. A może to nie była wina jej rodziców? Może ta mroczna osobowość zawsze kryła się w jej umyśle i tylko czekała na okazję, aby się ujawnić?

Gdy zbierała się już do odejścia, Lilly odezwała się znowu.

– Proszę – szepnęła błagalnie. – Jeżeli mnie kochasz, proszę... – Jej głos brzmiał cicho, ale tak rozpaczliwie, że Clarke poderwała się, przerażona. – Po prostu zrób to...

Bellamy rąbał drewno na dalszym końcu polany. Ranek był rześki, ale koszulka chłopaka zdążyła już przesiąknąć potem. Clarke próbowała nie dostrzegać, jak opina się na jego muskularnym torsie. Zobaczył, że biegnie ku niemu, opuścił siekiere i uśmiechnął się.

– O, cześć – rzucił. Clarke stanęła i złapała oddech. – Nie mogłaś się oprzeć, prawda?

Podszedł i próbował ją objąć w talii, lecz ona odtrąciła jego ramię.

– Gdzie jest twoja siostra? – warknęła. – Nigdzie jej nie mogę znaleźć!

– A dlaczego pytasz? – zaniepokojenie w jego głosie

zastąpiło swawolność. – Coś nie tak?

– Lekarstwa, które znaleźliśmy, zniknęły. – Clarke zaczerpnęła głęboko powietrza, przygotowując się na jego reakcję. – Sądzę, że to Octavia je zabrała.

– Co??? – Aż zmrużył oczy.

– Wczoraj wieczorem była jedyną osobą w namiocie szpitalnym poza mną. Wyglądało, jakby oszalała na punkcie tych lekarstw...

– Nie – warknął Bellamy, przerywając jej w pół słowa. – Na tej planecie wylądowało tylu młodocianych przestępców, a ty posądzasz o kradzież moją siostrę? – Patrzył na Clarke z wściekłością. Kiedy znowu przemówił, jego głos był już spokojny. – Myślałem, że jesteś inna, ale się myliłem. Jesteś kolejną idiotką z „Feniksa”, która myśli, że wie wszystko lepiej od innych.

Kopnął trzonek siekiery i odszedł bez słowa.

Przez chwilę dziewczyna stała jak zamurowana, zbyt ogłuszona słowami Bellamy’ego, żeby ruszyć się z miejsca. Potem jednak poczuła, że coś w niej pęka. Ruszyła biegiem w kierunku drzew, pragnąc się schować w cieniu zielonych koron. Z zaschniętym gardłem usiadła na trawie i objęła rękami kolana, żeby ból nie rozerwał jej na kawałki.

Samotna, Clarke po raz kolejny została pierwszą dziewczyną na Ziemi, tym razem pierwszą, która rzewnie się rozpłakała.

# ROZDZIAŁ 19

## Bellamy

Bellamy zatrzymał się, żeby poprawić przewieszoną przez ramię zdobycz. Konfrontacja z Clarke tak go wzburzyła, że złapał łuk i bez namysłu ruszył w las. Uspokoił się dopiero po ustrzeleniu ptaka w pobliżu strumienia. To był dobry strzał – jego pierwsza latająca ofiara, dużo trudniejsza do upolowania niż zwierzęta na ziemi. Pióra będą idealnie pasować do nowych strzał, które robił. Weźmie je ze sobą, kiedy razem z Octavią rozstaną się z grupą. Wracając do obozu, zdał sobie sprawę, że nie widział siostry od wczesnego ranka i poczuł ukłucie niepokoju. Powinien był przed polowaniem sprawdzić, co się z nią dzieje.

Ognisko rozpałało się powoli. Tuzin twarzy obrócił się ku Bellamy'emu, lecz nikt się nie uśmiechał. Przełożył ptaka na drugie ramię, żeby zobaczyli, co upolował. Dlaczego, do cholery, tak się na niego gapili?

Wtem gniewny okrzyk wściekłości przyciągnął jego uwagę ku grupie na dalszym końcu polany, w pobliżu

wraku lądownika. Krąg ludzi otaczał coś leżącego na trawie. Bellamy gwałtownie wciągnął powietrze, kiedy widoczny pomiędzy nimi kształt poruszył się.

Wtedy zobaczył, kto tam leży, a jego zaskoczenie przeszło we wściekłość, jakiej nigdy dotąd nie czuł.

To była Octavia.

Rzucił upolowanego ptaka i ruszył biegiem.

– Z drogi! – wrzasnął, chcąc przepchnąć się do wnętrza kręgu.

Octavia leżała na ziemi, a po policzkach ciekły jej łzy. Nad nią stał Graham i kilku arkadyjczyków. W ich oczach błyszczało szaleństwo.

– Odczepcie się od niej! – wrzasnął Bellamy i runął naprzód.

Zanim jednak dotarł do siostry, czyjeś ramię schwyciło go za szyję, niemal miażdżąc tchawicę. Zarzęził i rozejrzał się rozpaczliwie. Przed nim stał Wells, mierząc go zimnym i nieugiętym wzrokiem.

– Co, do cholery! – wycharczał Bellamy. – Złaź mi z drogi!

Wells nie ruszył się z miejsca. Bellamy zgrzytnął zębami i rzucił się na niego, ale ktoś inny przytrzymał go w uścisku i szarpnął do tyłu.

– Odczep się! – wypluł Bellamy, dźgając łokciem w tył z taką siłą, że ten, który go trzymał, jęknął i zwolnił uchwyt.

Octavia leżała na ziemi. Szeroko otwartymi ze strachu oczami patrzyła to na brata, to stojącego ponad nią

Grahama.

– Co tu się dzieje? Gadać mi, natychmiast! – warknął Bellamy przez zaciśnięte zęby.

– Usłyszałem rano, jak rozmawiacie z Clarke o zaginionych lekarstwach – odparł Wells z rozwścieczającym spokojem. – Nikt o nich nie wiedział – poza Octavią. To ona musiała je zabrać.

– Niczego nie brałam – zapłakała dziewczynka. Wytarła twarz rękawem i pociągnęła nosem. – Poszaleliście wszyscy! – Stała chwiejnie na nogach i zrobiła krok w kierunku brata.

– Nigdzie nie idziesz – rzucił Graham, łapiąc ją za rękę i ciągnąc z powrotem.

– Puść ją! – ryknął Bellamy. – Zanurkował ku Grahamowi, ale Wells zastąpił mu drogę, a ktoś inny wykręcił mu rękę za plecami. – Puśćcie mnie! – Chłopak szarpnął dziko, próbując się uwolnić, ale trzymało go zbyt wiele dłoni.

– Słuchajcie – spróbował więc, bez powodzenia usiłując zachować opanowanie – w czasie lądowania skręciła sobie kostkę. Naprawdę myślicie, że była w stanie ukraść lekarstwa i wynieść je gdzieś poza obóz?

– Wczoraj poszła za mną do lasu – odparł zimno Wells. – Zaszliśmy razem dość daleko...

Bellamy znów zaczął się wrywać, niezdolny do opanowania wściekłości, kiedy dotarło do niego znaczenie słów Wellsa. Jeżeli ten chłopak choćby dotknął jego siostry...



– Tylko spokojnie – rzucił Wells. Skinął na waldenitę, który wystąpił naprzód ze zwojem liny.

– To powiedz temu palantowi, żeby zabierał swoje śmierdzące łapska od mojej siostry – wydyszał Bellamy.

W tym momencie do kręgu weszła Clarke, przepchnąwszy się przez tłum.

– Co tu się dzieje? – zapytała. Jej wzrok spoczął na Octavii. Uniosła brwi. – Wszystko w porządku?

Octavia potrząsnęła głową, a po jej twarzy popłynęły łzy.

– Chcemy tylko, żeby powiedziała nam, gdzie są lekarstwa – zażądał spokojnie Wells. – Tylko tak rozwiążemy ten problem.

– Nie mam ich! – wykrzyknęła oskarżona łamiącym się głosem.

– Wiemy, że kłamiesz – syknął Graham. Dziewczyna jęknęła, kiedy zacieśnił chwyt na jej przegubie. Bellamy rzucił się, nadal przytrzymywany przez wiele rąk. – Tylko pogarszasz swoją sytuację.

– I co teraz zrobisz? – rzucił Bellamy do Wellsa. – Zwiążesz nas oboje?

– Właśnie tak – odparł tamten z uporem w głosie. – Przytrzymamy Octavię pod kluczem do czasu, aż powie nam, gdzie ukryła lekarstwa, albo znajdziemy dowody wskazujące na kogoś innego.

– Pod kluczem? – Bellamy rozejrzał się z udawanym zdziwieniem po polanie. – To znaczy gdzie?

Clarke wystąpiła naprzód.

– I tak spędzam większość dnia w namiocie szpitalnym – powiedziała. – Octavia może tam zostać. Będę miała na nią oko, żeby nigdzie się nie wykradła.

– Mówisz poważnie? – parsknął Graham. – Już raz ukradła ci lekarstwa spod nosa, a teraz chcesz mieć na nią oko?

Clarke obróciła się do niego z gniewną miną.

– Jeżeli to ci nie wystarczy, Graham, możesz postawić wartownika przed drzwiami.

– To jakiś absurd! – Bellamy zaczął dygotać. Nie miał siły dłużej się wściekać. – Popatrzcie na nią – powiedział słabym głosem. – Nie stanowi zagrożenia dla nikogo. Rozwiążcie ją i obiecuję, że dobrze jej przypilnuję. – Powiódł wzrokiem wokół kręgu, szukając współczucia na twarzach. Przecież ktoś na pewno zrozumie, że te oskarżenia to kompletna bzdura. Wszyscy jednak odwracali od niego oczy.

– Oszaaleliście. – Wykrzywił twarz w dzikim grymasie i spojrzał na Grahama. – Wrobiłeś ją. To ty ukradłeś lekarstwa.

Graham prychnął i rzucił spojrzenie Asherowi.

– Mówiłem ci, że tak powie.

Niebo ciemniało, tkając szary koc z chmur. Bellamy zaczerpnął powietrza.

– Dobra. Wierzcie sobie, w co chcecie. Rozwiążcie tylko Octavię i pozwólcie nam odejść. Już nie wrócimy, nie weźmiemy nawet żadnych zapasów. – Spojrzał na siostrę, ale nie wyglądała na uszczęśliwioną tym pomysłem. Jej

rysy stężały. – Nigdy więcej o nas nie usłyszycie.

Na twarzy Clarke pojawił się przelotny wyraz bólu, ale szybko powróciła na nią maska stalowej determinacji. „Dojdzie do siebie – pomyślał gorzko Bellamy. – Znajdzie kogoś innego do spacerów po lesie”.

– O, nie! – rzucił szyderczo Graham. – Najpierw odzyskamy lekarstwa. Nie pozwolimy, żeby ktoś jeszcze umarł tylko dlatego, że twoja siostrzyczka jest uzależniona od prochów.

Oskarżenie poruszyło każdy nerw w ciele Bellamy’ego. Poczul dziwną chęć, żeby zacisnąć palce na szyi przeciwnika.

– Dość – powiedziała Clarke, kręcąc głową i unosząc dłoń. – Chcę zwrotu lekarstw bardziej niż ktokolwiek spośród tu obecnych, ale w ten sposób nie pomagacie.

– Świetnie – warknął Bellamy. – Zabieram ją do szpitala i nikt, ale to n i k t nie będzie jej już dotykał.

Wyswobodził się z uchwytu i podszedł do Octavii. Złapał ją za rękę i spojrzal w oczy Grahamowi.

– Jeszcze tego pożałujesz – powiedział niskim, groźnym głosem.

Objął ramieniem drżące plecy siostry i poprowadził ją do namiotu szpitalnego, owładnięty ponurą determinacją.

Zrobi to, co konieczne, by ją chronić. Jak zawsze.

To była trzecia wizyta strażników w ciągu kilku ostatnich miesięcy. W tym roku przychodzili częściej, a Octavia już nieźle wyrosła. Bellamy próbował nie myśleć, co stanie się następnym razem, ale nawet on zdawał sobie sprawę z tego, że siostra nie

będzie w stanie ukrywać się w nieskończoność.

– Nie wierzę. Zajrzeli do szafy! – powiedziała ochryple matka, patrząc na Octavię, którą Bellamy przeniósł na sofę. – Dzięki Bogu, że nie płakała.

Spojrzał na swoją siostrzyczkę. Wszystko w niej było takie miniaturowe, od stópek w malutkich skarpetkach do niemożliwie drobnych paluszków. Wszystko, poza okrągłymi policzkami i olbrzymimi oczami. Zawsze lśniły w nich łzy, które jednak nigdy nie wypływały. Czy to normalne, żeby dwulatka była tak spokojna? Czy w jakiś sposób zdawała sobie sprawę, co by się stało, gdyby ktoś ją znalazł?

Bellamy usiadł koło niej. Odwróciła głowę i popatrzyła na niego niebieskimi oczami. Dotknął jej ciemnego, błyszczącego loku. Wyglądała identycznie jak lalka, którą znalazł, poszukując staroci w magazynach. Z początku myślał, żeby dać ją siostrze, ale doszedł do wniosku, że punkty przydziału, które mógł za nią dostać na bazarze, są ważniejsze. Poza tym czy sama głowa lalki, bez tułowia i całej reszty, wszystko jedno, jak piękna, byłaby właściwą zabawką dla dziecka?

Uśmiechnął się, kiedy Octavia złapała jego palec swoją małą dłońią.

– Hej, oddawaj – powiedział, krzywiąc się pociesznie.

Uśmiechnęła się, ale nie zachichotała. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek śmiała się na głos.

– Niewiele dzisiaj brakowało – mamrotała do siebie matka,

chodząc po pokoju w tę i we w tę. – Niewiele... Niewiele ... Bardzo niewiele...

– Mamo, wszystko w porządku? – zapytał Bellamy, czując przyptyw paniki.

Podeszła do zlewu wypelnionego naczyniami, mimo że tego ranka w kranie pojawiła się woda. Nie zdążył pozmywać, ponieważ zjawili się strażnicy. Będzie miał szansę skończyć dopiero za pięć dni.

Za drzwiami rozległ się stłumiony łoskot, a po nim wybuch śmiechu. Matka wzdygnęła się i rozejrzała wokół.

– Ukryj ją z powrotem w szafie.

Bellamy objął Octavię ramieniem.

– Przecież nic się nie stało – zaprotestował. – Strażnicy dopiero co tu byli. Nie wrócą szybko.

Matka podeszła bliżej, w jej rozszerzonych oczach malowało się przerażenie.

– Weź ją stąd!

– N i e – rzucił, wstając z sofy i zasłaniając siostrę. – Teraz to nie są strażnicy, ktoś po prostu rozrabia na korytarzu. Nie musi jeszcze wracać do szafy.

Octavia zakwiliła, ale szybko ucichła. Matka zmierzyła ją oszalałym spojrzeniem.

– Och nie, och nie, och nie – mamrotała, przesuwając niezbornie dłońmi po potarganej fryzurze. Oparła się plecami o ścianę, a po chwili z hukiem ześlizgnęła się na podłogę.

Bellamy spojrział na siostrę, po czym podszedł powoli do matki i ostrożnie uklęknął obok niej.

– Mamo?

Kietkował w nim nowy strach, inny od tego, który czuł podczas inspekcji. Ten był zimny i wydawał się wyrastać z żołądka, ścinając mu krew w żyłach.

– Nie rozumiesz – odezwała się słabo, patrząc na coś tuż ponad głową syna. – Zabiją mnie. Ciebie zabiorą, a mnie zabiją.

– Dokąd mnie zabiorą? – zapytał drżącym głosem.

– Nie możesz mieć nas obu – wyszeptwała, a oczy wyszły jej z orbit. – Nie możesz mieć nas obu. Mrugnęła i skupiła wzrok z powrotem na synu. – Nie możesz mieć i matki, i siostry.

# ROZDZIAŁ 20

Glass

Glass przebiegła ostatni ciąg schodów i skręciła w swój korytarz. Nie martwiła się, że strażnicy zatrzymają ją za naruszenie godziny policyjnej. Czuła, że płynie, poruszając się z lekkością ptaka. Przemknęła bezgłośnie w kierunku mieszkania, unosząc dłoń do ust i uśmiechając się na wspomnienie pocałunków Luke'a.

Minęła właśnie trzecia nad ranem. W opustoszałych korytarzach statku świeciły tylko przyćmione światła. Rozstając się z Lukiem, poczuła niemal fizyczny ból, ale nie chciała ryzykować, że matka ją przyłapie. Jeżeli zaśnie wystarczająco szybko, może uda jej się oszukać mózg i przekonać samą siebie, że wciąż jeszcze leży przy nim.

Przycisnęła kciuk do skanera przy drzwiach i wślizgnęła się do środka.

– Witaj, Glass – dobiegł ją głos Sonji siedzącej na sofie.

Glass zachłysnęła się i zaczęła jąkać wyjaśnienia.

– Cześć, byłam... ja... – Szukała odpowiednich słów, próbując znaleźć prawdopodobny powód tak późnego

powrotu do domu. Nie potrafiła jednak skłamać. Już nie, i na pewno nie na ten temat.

Przez dłuższą chwilę stały naprzeciw siebie w ciszy. W ciemności Glass nie potrafiła dostrzec wyrazu twarzy matki, ale wyczuwała zmieszanie i gniew promieniujące z jej postaci.

– Byłaś z n i m, prawda? – zapytała w końcu Sonja.

– Tak – odparła jej córka z ulgą, że nareszcie może powiedzieć prawdę. – Mamo, ja go kocham.

Matka podeszła bliżej. Miała na sobie czarną wieczorową sukienkę i ślady szminki na ustach, a w powietrzu unosił się słaby zapach perfum.

– A gdzie ty byłaś wieczorem? – spytała Glass znużonym głosem.

Poczuła się podobnie jak rok wcześniej. Od kiedy ojciec je porzucił, matka rzadko się nią zajmowała, wychodząc na całe noce i czasem przesypiając całe dni. Teraz Glass nie miała siły, by okazać wstyd lub gniew z powodu zachowania Sonji. Poczuła tylko słabe ukłucie smutku.

Usta matki wykrzywiły się ponuro w grymasie przypominającym uśmiech.

– Nie masz pojęcia, co zrobiłam, żeby cię chronić – rzekła. – Trzymaj się z daleka od tego chłopaka.

– Tego chłopaka? – Glass nie mogła uwierzyć własnym uszom. – Wiem, co myślisz. On nie jest tylko...

– Do ść! – warknęła matka. – Nie zdajesz sobie sprawy, ile masz szczęścia, że w ogóle wróciłaś? Nie mam zamiaru



pozwolić, żebyś poświęciła życie dla jakiegoś waldeńskiego śmiecia, który uwodzi dziewczyny z „Feniksa”, a potem je porzuca!

– On nie jest taki! – wykrzyknęła Glass przenikliwie. – Nawet go nie znasz!

– Nie zależy mu na tobie. Byłaś gotowa umrzeć, żeby go ocalić. Kiedy siedziałaś w celi, pewnie całkiem o tobie zapomniał.

Glass skrzywiła się, bo strzał był celny. Kiedy ona pozostawała Odosobniona, Luke zaczął spotykać się z Camille. Nie mogła go jednak za to winić... nie po tym wszystkim, co mu powiedziała, zrywając z nim, by go uratować.

– Glass – głos Sonji dygotał z napięcia. – Przepraszam, że powiem to tak ostro. Dopóki kanclerz leży pod respiratorem, musisz bardzo uważać. Jeżeli się obudzi i znajdzie powód, jakikolwiek, choćby najmniejszy powód, aby cofnąć twoje ułaskawienie, to to zrobi. – Westchnęła. – Nie pozwolę ci znowu ryzykować życia. Zapomniałaś już, co się stało poprzednio?

Jej córka oczywiście nie zapomniała. Wspomnienie tamtych wydarzeń wryło jej się w pamięć na trwałe, całkiem jak blizna po bransolecie na nadgarstku, którą będzie nosić do końca życia.

A przecież matka nie знаła całej prawdy.

Glass zignorowała dziwne spojrzenia strażników z punktu kontrolnego i ruszyła rękawem łączącym „Feniksa” z „Waldenem”. Jeżeli chcą, niech sobie myślą, że idzie kupić prochy. Nie mogli wlepić

jej kary bardziej dotkliwej niż to, co zamierzała właśnie zrobić.

Na szczęście korytarze były puste. Teraz, późnym popołudniem, Luke powinien już wrócić z porannej zmiany, a Carter – wciąż jeszcze pracować w centrum dystrybucji przy sortowaniu pakietów żywnościowych. Glass wiedziała, że to głupie – Carter jej nie cierpiął i nienawidzi jeszcze bardziej, jak tylko się dowie, że złamała serce Luke'a – ale nie potrafiłaby zakończyć związku z chłopakiem, mając świadomość, że jego współlokator słucha ze swojego pokoju.

Zatrzymała się przed drzwiami, z roztargnieniem gładząc dłonią brzuch. Musi to zrobić właśnie teraz. Już wiele razy odkładała tę sprawę na później. Zbierała całą odwagę, żeby zerwać z Lukiem, a potem wahała się, kiedy straszne słowa już-już miały paść z jej ust. „Następnym razem – obiecywała sobie wtedy. – Muszę spotkać się z nim jeszcze raz”.

Teraz jednak jej brzuch wyraźnie urósł. Nawet jedząc tylko połowę racji, Glass miała coraz większe trudności, żeby ukryć przyrost wagi pod bezkształtnymi sukienkami, które wywoływały drwiące komentarze ze strony Cory. Cięża wkrótce zacznie być widoczna. A wtedy pojawią się pytania. Rada będzie chciała wiedzieć, kto jest ojcem. Jeżeli Glass wciąż będzie w związku z Lukiem, chłopak dowie się w końcu o ciąży i przyzna się do ojcostwa, próbując ją ocalić. A to skończy się śmiercią ich obojga.

„Ratujesz mu życie”, pomyślała Glass, pukając do drzwi, i nagle zdała sobie sprawę, że stoi przed nimi po raz ostatni. Poprzednio otworzył je Luke, uśmiechając się do niej tak, jakby była jedyną

dziewczyną we wszechświecie. Argumenty, którymi przekonywała sama siebie o słuszności tego rozwiązania, nagle straciły całe znaczenie.

Gdy jednak drzwi się otworzyły, stał w nich nie Luke, ale Carter, ubrany tylko w robocze spodnie.

- Nie ma go! - warknął, mrużąc oczy na widok jej rumieńca.

- Och, przepraszam - odpowiedziała, cofając się mimowolnie o krok. - Przyjdę później.

Carter zaskoczył ją, łapiąc za rękę. Jego dłoń boleśnie wpiła się w nadgarstek Glass.

- Skąd ten pośpiech? - spytał z uśmiechem, od którego przewróciło jej się w żołądku. - Wejdz i zaczekaj. Jestem pewien, że zatrzymali go tylko na chwilkę.

Skrzywiła się, pocierając przegub, ale weszła do środka. Zapomniała już, jaki jest wysoki.

- Nie poszedłeś dzisiaj do pracy? - zagadnęła swoim najgrzeczniejszym tonem, sadowiąc się na skraju sofy, tej samej, na której zawsze siadała razem z Lukiem. Serce jej się ścisnęło, gdy zdała sobie sprawę, że nigdy więcej nie wtuli się już w jego ramię ani nie pogłaszczę go po głowie.

- Nie miałem nastroju - odparł Carter, niefrasobliwie wzruszając ramionami.

- Och - powiedziała Glass, gryząc się w język. Jeżeli przyjaciel Luke'a nie będzie uważał, znów zostanie zdegradowany, a jedynym stanowiskiem w hierarchii poniżej centrum dystrybucji była praca

sprzątacza. – Przykro mi – dodała niepewna, co jeszcze mogłaby rzec.

– Nie, wcale nie jest ci przykro – rzucił Carter i pociągnął tyk z butelki bez oznaczeń. Glass zmarszczyła nos. Czarnorynkowa whisky! – Jesteś taka sama jak wszystkie inne dupki z „Feniksa”. Zależy ci tylko na sobie.

– Wiesz co, powinienam już iść – odpowiedziała dyplomatycznie, ruszając ku drzwiom. – Powiedz Luke'owi, że spotkam się z nim później.

– Czekał – zawołał Carter. Zignorowała go i złapała za klamkę, lecz zanim zdążyła otworzyć drzwi, sięgnął ponad jej ramieniem i oparł się o nie. – Puść mnie! – zażądała Glass, odwracając się ku niemu.

Carter uśmiechnął się szerzej, a uśmiech ten wywołał u niej gęsią skórę.

– W czym problem? – zapytał, opuszczając dłonie na jej ramiona. – Oboje wiemy, jak lubisz się spoufalać z waldenitami. Nie udawaj, że jesteś taka wybredna.

– Co ty wygadujesz? – odparła Glass ze zdenerwowaniem. Skrzywiła usta, próbując bez powodzenia uwolnić się z jego chwytu. Zmarszczył brwi, wpijając palce w jej ramiona.

– Myślisz, że taka z ciebie buntowniczką, skoro szlajasz się z Lukiem, ale znam mnóstwo podobnych do ciebie dziewczyn z „Feniksa”. Wszystkie jesteście takie same. – Trzymając ją jedną ręką za ramię, drugą sięgnął do paska jej spodni.

– Przestań – zaprotestowała Glass, próbując go odepchnąć. Czują, jak ogarnia ją przerażenie. Powtórzyła głośniej: – Przestań! Wypuść mnie!

– W porządku – wymamrotał Carter, przyciągając ją bliżej i wykręcając jej ramiona nad głową. Glass usiłowała się odsunąć, ale ważył ponad dwa razy więcej i nie była w stanie mu się wyrwać. Rzuciła się dziko, próbując go kopnąć w krocze, lecz była w pułapce.

– Nie bój, nie bój – wydyszał, wypełniając jej ucho kwaśnym odorem. – Luke nie będzie miał nic przeciwko. Jest mi to winien po wszystkim, co dla niego zrobiłem. Poza tym dzielimy się wszystkim.

Glass otworzyła usta. Zanim jednak zdolała wrzasnąć, Carter przycisnął ją do siebie, aż z płuc uszło jej całe powietrze. Czarne plamy zatańczyły przed jej oczami i poczuła, że traci przytomność.

Wtedy drzwi się otworzyły. Carter odskoczył tak szybko, że Glass straciła równowagę i upadła.

– Glass? – zdziwił się Luke, wchodząc do mieszkania. – Wszystko w porządku? Co się stało?

Spróbowała zaczerpnąć oddechu, ale zanim odpowiedziała, Carter odezwał się z sofy, na której zdążył spocząć w beztrioskiej, wystudiowanej pozie.

– Twoja dziewczyna właśnie pokazywała mi najnowszy taniec z „Feniksa”. – Prychnął. – Chyba potrzebuje trochę więcej praktyki.

Luke spróbował złowić spojrzenie Glass, ale odwróciła od niego wzrok. Serce biło jej jak głupe, napędzane strachem, wściekłością

i adrenaliną.

- Przepraszam za spóźnienie... Zagadałem się z Bekah i Alim – wyjaśnił Luke, wyciągając rękę, żeby pomóc jej wstać. Bekah i Ali byli jego przyjaciółmi z korpusu inżynieryjnego, zawsze uprzedzająco grzecznymi wobec Glass. - Hej, co się stało? - zapytał cicho, kiedy nie przyjęła jego pomocy.

Po tym, co przed chwilą zaszło, chciała tylko rzucić mu się w ramiona i poczuć ciepło jego ciała. Przyszła tu jednak z konkretnego powodu i nie mogła pozwolić, żeby ją pocieszał.

- Dobrze się czujesz? Chcesz, żebyśmy porozmawiali w moim pokoju?

Glass spojrzała na Cartera, pozwalając, by wściekłość i nienawiść zapłonęły w niej większym ogniem. Jej krew zawrzała. Wstała na równe nogi.

- Nie zamierzam wchodzić do twojego pokoju - powiedziała, przybierając ostry ton. Nie rozpoznawała własnego głosu. - Już nigdy!

- Co? Coś nie tak? - spytał Luke. Delikatnie objął jej dłoń, ale wyszarpnęła ją. - Glass??? - Jego zmieszanie wystarczyło, by serce zadrżało jej z rozpacz.

- To koniec - powiedziała, zszokowana chłodem we własnym głosie. Poczwała dziwne odrętwienie, jakby nerwy stopniowo się wyłączały, próbując chronić ją przed wszechogarniającym, niszczącym smutkiem. - Naprawdę myślałeś, że to będzie trwało wiecznie?

– Glass – powiedział Luke cicho i z napięciem. – Nie bardzo wiem, o czym mówisz, ale czy moglibyśmy kontynuować tę rozmowę w moim pokoju? – Sięgnął, by ująć ją pod ramię, ale cofnęła się przed jego dotykiem.

– Nie! – Udała, że trzęsie się z przerażenia, odwracając wzrok, by Luke nie dostrzegł też w jej oczach. – Nie wierzę, że w ogóle pozwoliłam ci się tam zaprosić.

Zamilkł, a Glass poczuła, że musi na niego spojrzeć. Patrzył na nią z bólem w oczach. Zawsze martwił się, że nie jest wystarczająco dobry dla Glass, że związek z nim zamyka jej drogę do lepszego życia na „Feniksie”. I oto przyszła do niego i wykorzystała te same obawy, które kiedyś zbyła śmiechem, by obrócić jego gniew przeciw sobie.

– Naprawdę tak uważasz? – spytał w końcu. – Myślałem, że my... Glass, Kocham cię – skończył bezsilnie.

– Nigdy cię nie kochałam – wydusiła z siebie te słowa z taką mocą, że poczuła, jakby wraz z nimi oderwał się kawałek jej duszy. – Nie widzisz tego? Traktowałam to wszystko jak grę. Zastanawiałam się, ile jeszcze pociągniemy, zanim mnie przytapią, ale teraz już koniec. Znudziłam się.

Luke ujął ją pod brodę. Popatrzyła mu prosto w oczy. Szukał jakiegoś znaku, że gdzieś głębiej ukrywa się jego dawna dziewczyna.

– Wcale tak nie myślisz. – Głos mu się załamał. – Nie wiem, co się tu dzieje, ale to nie ty. Glass, powiedz coś, proszę.

Przez krótką chwilę wahala się. Mogła powiedzieć mu prawdę.

Zrozumiałaby to pewnie i wybaczył wszystkie straszne rzeczy, jakie mu właśnie powiedziała. Opartaby się o jego ramię i udawała, że wszystko będzie dobrze. Mogliby razem stawić czoło tej sytuacji.

Potem jednak pomyślała o jego egzekucji – śmiertelny zastrzyk gaszący powoli ogień życia, zanim ciało nie ostygnie i nie zostanie wyrzucone w zimną próżnię.

Mogła ocalić Luke'a tylko w jeden sposób: łamiąc mu serce.

– Przecież ty mnie n i e z n a s z – powiedziała, odsuwając się od niego, a ból rozstania przeszył jej ciało. – Proszę, trzymaj – zakończyła, mrugając gwałtownie, by ukryć łzy; podniosła rękę i rozpięła sprzączkę złotego naszyjnika. – Nie chcę już tego.

Upuściła go prosto na dłoń Luke'a. Popatrzył na nią bez słowa. Szok i ból wyostrzyły mu rysy.

Rejestrując wydarzenia nie całkiem świadomie, wybiegła za drzwi, zatrzasnąwszy je za sobą. Po chwili pędziła już rękawem na „Feniksa”, koncentrując się na łomocie własnych kroków. Lewa, prawa, lewa, prawa. „Byle do domu – mówiła sobie. – Byle do domu, a tam już będziesz mogła się rozplakać”.

Kiedy jednak skręciła za róg, potknęła się, poślizgnęła i upadła na podłogę, z obiema dłońmi na żołądku.

– Przepraszam – wyszeptwała, niepewna, czy mówi do dziecka, do Luke'a, czy też do własnego serca – poobijanego i cierpiącego.



# ROZDZIAŁ 21

Clarke

Atmosfera w namiocie szpitalnym była tak gęsta, że Clarke niemal czuła, jak przy każdym oddechu zaciska się wokół niej.

Milczała, krążąc wokół łóżka Thalii i bezskutecznie próbując zwalczyć infekcję, która dotarła już do nerek i szykowała się do ataku na wątrobę. Clarke klęła w myślach samolubstwo Octavii, która patrzyła, jak Thalia to odzyskuje przytomność, to ją traci, i nie poczuwała się do zwrotu skradzionych lekarstw. Jak mogła?!

Spojrzała w bok, na Octavię zwiniętą w kłębek na prycy. Okrągła buzia i gęste rzęsy nadawały jej rozbrajający wygląd. Nagle gniew Clarke ustąpił miejsca wątpliwościom i poczuciu winy. Może jednak dziewczynka wcale nie ukradła lekarstw? Ale jeżeli nie ona – to kto to zrobił?

Jej wzrok padł na bransoletę opasującą nadgarstek. Thalia na pewno wyzdrowieje, jeżeli tylko wytrzyma do przybycia następnej fali kolonistów. Kiedy to będzie? Nikt

tego nie wiedział. Rada czekała na rozstrzygające dane dotyczące poziomu promieniowania, nie przejmując się wydarzeniami na Ziemi.

Clarke zdawała sobie świetnie sprawę, że śmierć Thalii nie znaczyłaby dla rady ani trochę więcej niż śmierć Lilly. Sieroty i przestępcy się nie liczyli.

Patrząc, jak przyjaciółka oddycha z wysiłkiem, poczuła, że ogarnia ją rozżarzona do białości furia. Miała siedzieć i patrzeć, jak ona umiera? Nigdy! Przecież ludzie przez całe tysiąclecia przed odkryciem penicyliny leczyli choroby. W lesie musi rosnać coś, co zwalczy infekcję. Próbowwała przypomnieć sobie resztki wiedzy o roślinach z lekcji ziemskiej biologii. Kto wie, czy te rośliny w ogóle rosną jeszcze gdzieś na Ziemi? Wyglądało na to, że ewolucja po kataklizmie potoczyła się w jakimś dziwnym kierunku. Clarke postanowiła jednak znaleźć coś, co pomoże.

– Wróć – szepnęła do śpiącej przyjaciółki.

Wyszła, nie odzywając się do arkadyjczyka pełniącego straż przed wejściem do namiotu. Pośpieszyła w kierunku lasu, nie zatrzymując się ani na chwilę, żeby nie przyciągnąć niczyjej uwagi. Nie zdołała jednak przejść nawet dziesięciu metrów, kiedy zabrzmiał za nią znajomy głos.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał Wells.

– Poszukać leczniczych roślin. – Clarke była zbyt zmęczona, żeby kłamać, a poza tym i tak by się to nie udało. Wells zawsze potrafił przejrzeć jej łgarstwa. W jakiś sposób przekonanie o własnej nieomyślności, które

przesłaniało mu najbardziej oczywiste prawdy, nie przeszkadzało mu w odczytywaniu jej najgłębiej ukrytych myśli.

– Pójdę z tobą.

– Poradzę sobie, dzięki – odparła, przyśpieszając kroku, tak jakby to mogło odstraszyć chłopaka, który przebył połowę systemu słonecznego, żeby być razem z nią. – Zostań tutaj, może będą potrzebowali przywódcy dla rozwścieczonego motłochu.

– Masz rację. Wczoraj wieczorem sprawy wymknęły się nieco spod kontroli – przyznał, marszcząc czoło. – Nie chciałem, żeby Octavii stała się krzywda. Myślałem, że pomogę. Wiem, że potrzebujesz tych lekarstw dla Thalii.

– Myślałeś, że pomożesz. Już to kiedyś słyszałam. – Clarke stanęła i spojrzała mu w twarz. Nie miała teraz czasu ani ochoty, by docenić jego próbę odkupienia win. – No i widzisz, Wells, znów skończyło się to tak, że ktoś został Odosobniony!

Zatrzymał się, a ona odwróciła głowę, nie mogąc znieść cierpienia w jego oczach. Nie poczuła się jednak z tego powodu winna. Sprawił jej przecież ból, o którym nie potrafiła mu nawet opowiedzieć.

Clarke ruszyła w kierunku drzew, nie oglądając się za siebie, lecz na wprost oczekując za sobą odgłosu jego kroków. Tym razem jednak nie usłyszała nic.

Kiedy dotarła do potoku, jej wściekłość ustąpiła miejsca rozpaczy. Jako naukowiec czuła się zażenowana własną naiwnością. Oczekiwać, że rozpozna roślinę tylko

na podstawie wykładu, którego wysłuchiwała przed sześciu laty, zakładając nawet, że roślina ta wygląda tak samo jak wieki temu? Przecież to głupie! Nie chciała jednak wrócić do obozu z niczym. Nie pozwalały jej na to własna duma i upór, a także pragnienie, by jak najdłużej unikać towarzystwa Wellsa.

Było zbyt chłodno, by przejść przez wodę w bród, więc wspięła się po zboczu i szła górą, aż obeszła potok i znalazła się po jego drugiej stronie. Nigdy jeszcze nie oddaliła się tak od obozu. Wszystko było tu inne, nawet powietrze miało odmienny smak niż na polanie. Clarke zamknęła oczy z nadzieją, że pomoże jej to zidentyfikować dziwną mieszaninę zapachów, na których określenie nie znajdowała słów. Czuła się, jakby próbowała przypomnieć sobie cudze wspomnienie.

Grunt wydawał się tu równiejszy niż w innych częściach lasu. Przed nią aleja pomiędzy drzewami rozszerzała się, a same drzewa stały w rzędach po obu stronach, jakby wyczuły obecność Clarke i rozstąpiły się, by pozwolić jej przejść.

Zerwała z gałęzi liść w kształcie gwiazdy i zamarła. Dostrzegła błysk światła. Pomiędzy dwoma olbrzymimi pniami znajdowało się coś, co odbiło promień słońca.

Zrobiła jeszcze krok i jej serce zaczęło walić mocniej.

Słońce odbijało się w oknie.

Clarke ruszyła ku niemu powoli, czując się jak we śnie. Okno obramowane było przez dwa drzewa, które musiały wyrosnąć z ruin budynku o niewiadomym przeznaczeniu.

Gdy podeszła bliżej, zobaczyła, że okno nie jest przezroczyste, lecz składa się z kawałków kolorowego szkła ułożonych w obraz. Zbyt wielu jednak brakowało, żeby dało się go rozpoznać.

Wyciągnęła rękę i delikatnie musnęła szkło palcami. Chłód gładkiej tafli przyprawił ją o dreszcz. Poczowała się, jakby dotykała zwłok. Przez chwilę żałowała, że nie ma z nią Wellsa. Bez względu na to, jak była na niego wściekła, nigdy nie pozbawiłaby go szansy zobaczenia ruin, o których marzył przez całe życie.

Odwróciła się i obeszła jedno z olbrzymich drzew. Za nim widniało kolejne okno, które jednak zostało wybite. Kawałki szkła pobłyskiwały na ziemi. Clarke klęknęła i zajrzała do środka. Dziura o krawędziach usianych ostrymi odłamkami wydawała się dość szeroka, by wpełznąć przez nią do środka. Słońce zaczynało się już chylić ku zachodowi. Jego pomarańczowe promienie wdzierały się do budynku, oświetlając powierzchnię wyglądającą jak drewniana podłoga. Instynkt kazał Clarke uciekać, ale nie potrafiła się powstrzymać.

Uważając, by nie rozciąć sobie skóry o szkło, sięgnęła przez ziejący otwór i dotknęła dłonią drewna. Nic się nie stało. Zacisnęła dłoń i walnęła pięścią w podłogę. Wydawała się całkiem solidna. Uderzenie wzbilo jednak w powietrze chmurę kurzu, która wywołała u Clarke atak kaszlu. Zastanowiła się chwilę; skoro budynek przetrwał tak długo, drewniana powierzchnia z pewnością wytrzyma jej ciężar.

Ostrożnie przełożyła przez otwór jedną nogę, a potem drugą. Wstrzymała oddech. Nic się nie stało.

Prześlizgnęła się do środka i rozejrzała wokoło. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

Ze wszystkich stron otaczały ją ściany, które zbiegały się wiele metrów ponad jej głowę, w jednym punkcie położonym wyżej od dachu nad plantacjami solarnymi. W środku nie było tak ciemno, jak przypuszczała. W drugiej ścianie również znajdowały się okna, tym razem zwykłe, nie witrażowe – i były nietknięte. Przeświecały przez nie promienie słońca, zmieniając tańczące w powietrzu drobiny kurzu w tysięczne iskry.

Clarke powoli wstała. Przed nią, równoległe do podłogi, na wysokości pasa biegła poręcz. Postąpiła ku niej kilka niepewnych kroków i wzdrygnęła się, kiedy dźwięk ten powtórzyły echem ciemności nad jej głową.

Stała na balkonie, a pod nią rozciągała się olbrzymia przestrzeń pogrążona niemal całkowicie w mroku, prawdopodobnie dlatego, że większa część budynku znajdowała się obecnie poniżej poziomu gruntu. Ledwie mogła rozróżnić kształty ławek. Nie śmiała podejść bliżej do krawędzi, żeby lepiej się przyjrzeć. Po chwili jednak jej oczy przyzwyczyły się do ciemności i dostrzegła więcej kształtów.

To były zwłoki.

Z początku pomyślała, że wyobraźnia igra z jej wzrokiem. Zamknęła oczy i skarciła się za głupotę. Kiedy jednak otworzyła je znowu, kształty dalej tam były.

Na jednej z ławek siedziały dwa szkielety, a u ich stóp leżał trzeci, mniejszy. Clarke nie wiedziała, czy po śmierci kości zostały poruszone, ale z tego, co widziała, wynikało, że ludzie ci zmarli w swoich objęciach. Czy próbowali się rozgrzać, kiedy niebo pociemniało od pyłu i nadeszła nuklearna zima? Jak wiele osób pozostawiono w tej sytuacji samym sobie?

Posunęła się o kroczek, ale tym razem drewno ostrzegawczo zatrzeszczało. Zamarła i zaczęła się wycofywać. W ciszy rozległ się jednak głośniejszy trzask i nagle oparcie uciekło jej spod nóg.

Zamachała dziko rękami i złapała krawędź tego, co pozostało z balkonu, kiedy podłoga wraz z poręczą koziołkowała w powietrzu. Nogi Clarke zawisły nad mroczną głębią. Szczątki konstrukcji wylądowały z hukiem na kamiennej posadzce daleko w dole.

Wrzasnęła głośno, bez słów. Jej krzyk wzniósł się ku sklepieniu, a potem zamarł, dołączając do wszystkich innych krzyków, które kiedykolwiek słyszano w tej budowli. Jej palce zaczęły ześlizgiwać się z brzegu platformy.

– Ratunku!

Resztką sił spróbowała się podciągnąć. Jej ramiona zadrżały z wysiłku, ale uchwyt słabł. Zaczęła znowu wrzeszczeć. Kiedy w płucach nie pozostało jej już ani trochę powietrza, a słowa zamarły na ustach, zdała sobie sprawę, że wykrzykiwała imię Wellsa.

# ROZDZIAŁ 22

Wells

Krzyk Clarke zaalarmował Wellsa, który natychmiast ruszył biegiem. Trudno było śledzić dziewczynę w lesie, zwłaszcza że musiał zachować odpowiednią odległość. Wściekłaby się, gdyby go zauważyła. Teraz jednak pędził, nie czując, jak jego buty dotykają ziemi. Dobiegł do witrażowego okna, a wtedy usłyszał drugi wrzask, jeszcze głośniejszy.

– Clarke! – zawołał, wtykając głowę przez dziurę po wybitej szybie.

Wewnątrz zrujnowanego budynku panował mrok, ale nie było czasu, by wyciągnąć latarkę. Ledwie mógł dostrzec przed sobą dłonie dziewczyny kurczowo zaciśnięte na krawędzi. Wpadł do środka, lądując z łomotem na drewnianej platformie, a potem na brzuchu podczołgał się, sięgnął i schwycił Clarke za nadgarstek, drugą ręką dla bezpieczeństwa łapiąc za występ kamiennego muru.

– Mam cię – wydyszał.



Pośpieszył się jednak z tą deklaracją. Druga ręka dziewczyny osunęła się i teraz trzymał cały jej ciężar. Poczuł, że ześlizguje się ku krawędzi.

– Hej! – wrzasnął. – Trzymaj się!

Ze stęknieniem podciągnął się do pozycji siedzącej i zaparł stopą o ścianę. Czuł, że ręka Clarke zaczyna się wyślizgiwać z jego spoconej dłoni.

– Wells! – jęknęła, a słowo to odbiło się echem w przepastnym wnętrzu, każąc mu wierzyć, że nie jedna, lecz sto dziewczyn znajduje się w niebezpieczeństwie.

Zacisnął zęby i pociągnął, sapiąc z ulgi i wyczerpania, kiedy jej druga dłoń chwyciła krawędź i częściowo go odciążyła.

– Prawie ci się udało. Dalej!

Wspięła się na drewnianą platformę i zawisła na łokciach. Złapał ją za ramię i wciągnął na balkon. Splątani, potoczyli się pod kamienny mur.

Clarke łkała, próbując dojść do siebie.

– Już wszystko w porządku – powiedział Wells, obejmując ją. – Jesteś bezpieczna.

Odczekał moment, ale nie próbowała uciec z jego ramion, wręcz przeciwnie, wtuliła się w nie głębiej, więc przytulił ją mocniej.

– Co tu robisz? – zapytała stłumionym głosem. – Myślałam... to znaczy miałam nadzieję...

– Poszedłem za tobą, bo się martwiłem – szepnął w jej włosy. – Nie mógłbym pozwolić, żeby coś ci się stało, żeby nie wiem co – powiedział bez zastanowienia, ale zdał sobie

sprawę, że taka właśnie jest prawda. Nawet jeżeli pocałowała kogoś innego, nawet jeśli chciała być z kimś innym, on zawsze będzie na nią czekał.

Clarke nic już nie mówiła, ale pozostała w jego ramionach.

Wells zaś trzymał ją, zbyt przejęty, żeby się odezwać i przerwać magię chwili. Zamiast ulgi, że udało im się uratować, czuł teraz wszechogarniającą radość. Może jeszcze ma szansę, by odzyskać tę dziewczynę. Może tutaj, na ruinach starego świata, uda im się zacząć coś nowego.

# ROZDZIAŁ 23

## Bellamy

Najpierw przegłodzi sukinsynów. Potem, gdy już tak osłabną, że przy pełzną do niego błagać o przebaczenie, zastanowi się, czy znowu iść na polowanie. Złowi im wtedy wiewiórkę albo coś równie małego – o nie, nie ma mowy, żeby przyniósł jeszcze jednego jelenia.

Bellamy spędził noc bezsennie, ze wzrokiem wlepionym w namiot szpitalny, pilnując, by nikt nie próbował nawet zbliżyć się do jego siostry. Teraz nadszedł ranek. Chłopak wstał i zaczął okrążyć obóz szybkim truchtem. Wypełniała go zbyt wielka energia, by mógł usiedzieć na miejscu.

Wszedł między drzewa. Kiedy pogrążył się w cieniu koron, poczuł, jak napięcie w ciele ustępuje. Ostatnio odkrył, że od towarzystwa ludzi woli drzewa. Zadrżał, czując na karku podmuch wiatru, i spojrzał w górę. Niebo, widoczne przez gałęzie, zaczynało szarzeć, a powietrze nagle stało się całkiem inne, niemal wilgotne. Pochylił głowę i szedł dalej. Być może Ziemia miała już dość ich

bzdur i postanowiła rozpocząć kolejną nuklearną zimę?

Zboczył w kierunku strumienia i miejsca, w którym zazwyczaj znajdował tropy zwierząt. Wtem jego uwagę przyciągnął szybki ruch między drzewami. Zatrzymał się.

W podmuchach wiatru powiewało coś jasnoczerwonego. Mógł być to liść, zwłaszcza że w pobliżu nie było widać nic poza drzewami. Bellamy zmrużył oczy i podszedł bliżej. Po plecach przebiegł mu dziwny dreszcz. To była wstążka do włosów Octavii. Dlaczego tutaj? To nie miało sensu – przecież siostra od wielu dni nie chodziła do lasu – ale wstążkę rozpoznaliby wszędzie. Pewnych rzeczy się nie zapomina.

W korytarzach panowała jeszcze ciemność, kiedy Bellamy pędził po schodach do domu. Warto było czasem zostać na zewnątrz po godzinie policyjnej, pod warunkiem że strażnicy nie złapią. Przeczłogał się przez stary szyb klimatyzacji, zbyt mały dla kogokolwiek poza dzieckiem, do porzuconego magazynu na pokładzie C. Pełno w nim było skarbów: kapelusz z szerokim rondem i śmiesznym ptakiem na wierzchu; pudełko z napisem „ABS w osiem minut”, cokolwiek to znaczyło, i wreszcie czerwona wstążka, którą znalazł owiniętą wokół rączki dziwnej walizki na kółkach. Przehandlował prawie wszystkie znaleźiska za punkty przydziału, ale zatrzymał wstążkę, mimo że mogliby za nią żyć przez miesiąc. Chciał dać ją Octavii.

Przycisnął kciuk do skanera i ostrożnie otworzył drzwi, a potem zamarł. Ktoś poruszał się po mieszkaniu. Matka zazwyczaj spała,

kiedy wracał o tej porze. Na palcach podkradł się bliżej, żeby słyszeć lepiej, i poczuł ulgę, rozpoznając ulubioną kołysankę Octavii. Matka robiła to zawsze, siedząc na podłodze i śpiewając w otwarte drzwi szafy, kiedy córeczka zasypiała. Bellamy westchnął z ulgą. Jeżeli śpiewa, pewnie na niego nie nakrzyczy ani nie dostanie ataku płaczu, po którym zwykle miał ochotę zamknąć się w szafie razem z siostrą.

Wszedł do saloniku i uśmiechnął się. Matka klęczała na podłodze.

– Ach śpij, kochanie, jeśli gwiazdkę z nieba chcesz, dostaniesz. Czego pragniesz, daj mi znać, ja ci wszystko mogę dać... – W ciemności rozległ się jeszcze jakiś dźwięk, jakby ciche sapnięcie. Czyżby znów zaczęła działać wentylacja? Podeszedł bliżej. – Więc dlaczego nie chcesz spać?

Znów rozległ się ten dźwięk. Tym razem brzmiał bardziej jak dławienie się.

– Mamo? – Bellamy uczynił jeszcze jeden krok. Kobieta pochyliła się nad czymś leżącym na podłodze. – M a m o ! – ryknął, rzucając się naprzód.

Trzymała dłonie na szyi Octavii. Nawet w ciemności chłopak widział, że twarz siostry jest już cała sina. Odepchnął matkę na bok i chwycił dziecko w ramiona. Przez jedną potworną sekundę był pewien, że mała nie żyje, ale po chwili drgnęła i zaczęła kaszleć. Bellamy odetchnął, a serce zaczęło dziko walić mu w piersi.

– Bawiliśmy się tylko – powiedziała słabo matka. – Nie mogła

zasnąć, więc zaczęłyśmy się bawić...

Przytulił Octavię, mrużąc uspokajająco i gapiąc się w ścianę. Opanowało go dziwne uczucie. Nie był pewien, co robiła matka, ale wiedział, że spróbuje to zrobić jeszcze raz.

Bellamy wspiął się na palce i wyciągnął dłoń. Poczuł pod palcami znajomą satynę, ale gdy spróbował ściągnąć wstążkę z drzewa, zdał sobie sprawę, że ozdoba nie zawisała na gałęzi ot tak sobie – ktoś ją tam przywiązał.

Czy ten ktoś znalazł wstążkę i zawiesił na drzewie, żeby łatwo było ją znaleźć? Ale dlaczego nie odniósł jej po prostu do obozu? Przesunął roztargnionym gestem po gałęzi, szorując dłonią po szorstkiej korze aż do pnia. Na moment zamarł w bezruchu, gdy palce natrafiły na zagłębienie. Ktoś najwyraźniej celowo wydłubał dziurę, z której coś wystawało. Może ptasie gniazdo?

Złapał za wystający kawałek i pociągnął. Z dziupli posypały się lekarstwa. Ze zgrozą patrzył na tabletki, strzykawki i butelki rozsypane na trawie. Umysł Bellamy'ego galopował w poszukiwaniu jakiegoś wyjaśnienia, które powstrzymałoby panikę wzbierającą w jego sercu.

Osunął się na trawę, jęknął i zamknął oczy.

Prawda była bezlitosna. Octavia rzeczywiście ukradła lekarstwa. Ukryła je w pniu i oznaczyła miejsce wstążką, żeby łatwiej je znaleźć. Nie wiedział tylko, dlaczego to zrobiła. Czy martwiło ją, co może się stać, kiedy jedno z nich zachoruje? Może chciała zabrać lekarstwa, kiedy odłączą się od reszty?

Wtedy jednak zadźwięczały mu w ustach słowa Grahama: „Nie pozwolimy, żeby ktoś jeszcze umarł tylko dlatego, że twoja siostrzyczka jest uzależniona od prochów”.

Chłopak przydzielony do pilnowania namiotu szpitalnego zasnął głęboko. Na dźwięk kroków zdołał się obudzić i wymamrotał: – Hej, nie wolno ci tam wchodzić... – ale Bellamy już był w środku. Rozejrzał się szybko; namiot był pusty, jeżeli nie liczyć śpiącej chorej, przyjaciółki Clarke. Podszedł do pryczy, na której Octavia siedziała ze skrzyżowanymi nogami i plotła warkocz.

– Coś ty, do cholery, narobiła? – syknął.

– O czym mówisz? – odparła.

W jej głosie brzmiało znudzenie i rozdrażnienie, tak jakby brat przyszedł w odwiedziny do centrum opieki i czepiał się jej o nieodrobioną pracę domową.

Bellamy rzucił na pryczę czerwoną wstążkę i skrzywił się, widząc przerażenie na twarzy siostry.

– Ja nie... – zająknęła się. – To wszystko nie tak...

– Przestań ściemniać – warknęła. – Jak możesz sobie zaplatać te cholerne włosy, kiedy na twoich oczach umiera dziewczyna?

Octavia spojrzała na Thalię, a potem spuściła wzrok.

– Wydawało mi się, że nie jest aż taka chora – powiedziała cicho. – Clarke podała jej lekarstwo, a kiedy zorientowałam się, że potrzebuje go więcej, było już za późno. Nie mogę się teraz przyznać. Widziałeś, jak się zachowywali. Nie wiem, co mi za to zrobią. – Podniosła

głowę, a w jej głębokich, niebieskich oczach błyszczały łzy. – Nawet ty mnie teraz nienawidzisz, a przecież jesteś moim bratem.

Bellamy westchnął i usiadł obok siostry.

– Nie nienawidzę cię. – Wziął jej dłoń w swoje ręce. – Po prostu nie rozumiem, dlaczego to zrobiłaś. Tym razem poproszę o prawdziwą wersję.

Zamilkła. Poczuł, że drży, a na jej skórze pojawiły się kropelki potu.

– Octavio? – Puścił jej dłoń.

– Potrzebowałam ich – powiedziała cicho. – Nie potrafię bez nich spać. – Przerwała i zamknęła oczy. – Z początku było tak tylko w nocy. Miałam koszmary, które wciąż wracały, więc pielęgniarka w centrum opieki dawała mi tabletki, które pomagały zasnąć... ale potem zaczęło się dziać gorzej. Zdarzało się, że nie mogłam oddychać. Czulałam się, jakby cały wszechświat walił mi się na głowę i miażdżył mnie. Pielęgniarka nie chciała mi już dawać pigułek, nawet kiedy prosiłam. No to zaczęłam je kraść, bo tylko po nich było mi lepiej.

Bellamy gapił się na nią.

– To na tym cię przyłapali? – zapytał powoli, uświadamiając sobie, jak wygląda prawda. – Nie kradłaś jedzenia dla młodszych dzieci z centrum. Kradłaś tabletki.

Octavia nic nie odpowiedziała. Kiwnęła tylko głową, z oczami pełnymi łez.

– Siostrzyczko – westchnął. – Dlaczego mi nie



powiedziałaś?

– Tak bardzo się o mnie martwiłeś... – Zaczerpnęła głęboko powietrza. – Wiedziałam, że chcesz mnie chronić za wszelką cenę. Nie chciałam, żebyś czuł, że ci się nie udało.

Bellamy poczuł w sercu ukłucie bólu. Nie wiedział, co boli go bardziej: fakt, że siostra jest uzależniona od leków, czy to, że nie powiedziała mu prawdy, ponieważ chciał zapewnić jej bezpieczeństwo wbrew wszystkim i wszystkiemu. Kiedy w końcu się odezwał, jego głos był ochryply.

– Co w takim razie zrobimy? – zapytał. Po raz pierwszy w życiu nie miał pojęcia, jak pomóc siostrze. – Co się stanie, kiedy oddamy lekarstwa?

– Jakoś sobie poradzę. Muszę się tylko nauczyć, jak bez nich żyć. Tutaj jest i tak łatwiej. – Ujęła jego dłoń i popatrzyła niemal błagalnie. – Czy żałujesz, że przyleciałeś tu ze mną?

– Nie – powiedział zdecydowanie, potrząsając głową. – Potrzebuję trochę czasu, żeby to wszystko przemyśleć. – Wstał i jeszcze raz popatrzył na siostrę. – Musisz oddać lekarstwa naszej pani doktor. I to ty masz jej o wszystkim powiedzieć. Mówię poważnie.

– Wiem. – Skinęła głową, a potem zerknęła na Thalię i straciła nieco pewności. – Zrobię to dzisiaj wieczorem.

– Dobrze – westchnął Bellamy i wyszedł z namiotu na polanę.

Dotarł do granicy lasu i wziął głęboki oddech. Wilgotne

powietrze wypełniło jego płuca. Odchylił głowę do tyłu, a lekki wiatr ochłodził rozgrzaną skórę. Teraz, kiedy drzewa nie zasłaniały mu nieba, wyglądało na jeszcze ciemniejsze, prawie czarne. Nagle przemknęła przez nie poszarpana linia światła, a po chwili rozległ się gwałtowny trzask, od którego zadrżała ziemia. Bellamy podskoczył. Polana rozbrzmiała krzykami. Szybko zagłuszył je jednak kolejny huk, jeszcze głośniejszy od poprzedniego. Wszystkim wydawało się, że niebo spada im na głowy.

A potem zaczęło padać. Krople małe i duże lądowały na skórze i włosach, szybko wsiąkając w ubranie. „To deszcz – pomyślał Bellamy – prawdziwy deszcz”. Wzniósł twarz ku niebu i przez chwilę zdumienie wyparło z jego umysłu wszystkie inne myśli i uczucia – wściekłość na Grahama, Wellsa, Clarke, obawę o siostrę i politowanie dla tych idiotów, którzy z krzykiem uciekali przed deszczem, nie wiedząc, że jest nieszkodliwy. Zamknął oczy, pozwalając, by woda zmyła mu z twarzy brud i pot. Przez sekundę wyobraził sobie, że mogłaby zmyć wszystko: krew, łzy i fakt, że zawiedli się z Octavią na sobie nawzajem. Wtedy zaczęliby od nowa, z czystym kontem.

Otworzył oczy. Myśl sprzed chwili wydała mu się teraz śmieszna. Z nieba padała tylko woda. Nie było czegoś takiego jak czyste konto. Na tym polegała tajemnica – człowiek musi nosić brzemień swoich postępów na zawsze, bez względu na koszty.

# ROZDZIAŁ 24

## Glass

Glass szła rękawem między statkami, a w sercu czuła nieznośny ciężar. Jej matka miała rację: nie stać jej było na fałszywy krok – ze względu nie na siebie, ale na Luke’a. Co będzie, jeśli kanclerz obudzi się ze śpiączki i odwoła jej ułaskawienie, a potem Luke zrobi coś głupiego i przyzna się do winy? Czyżby historia miała się powtórzyć? Glass wiedziała, że wybierze to samo, co poprzednio. Zawsze będzie chronić chłopaka, którego kochała.

Przez kilka dni unikała Luke’a, ale wzywano go ostatnio w tylu niespodziewanych sprawach, że nie była pewna, czy w ogóle to zauważył. W końcu zdołała się z nim umówić na wieczór w jego mieszkaniu. Czuła ból na myśl, że przywita ją uśmiechem. Tym razem przynajmniej nie spróbuje z nim sztuczek ani kłamstw. Po prostu powie mu trudną prawdę. Może Luke znowu poszuka pocieszenia w ramionach Camille i wtedy historia naprawdę zatoczy koło? Ta myśl ukłuła ją jak igła, ale Glass zignorowała ból i szła dalej.

Dochodziła już do końca rękawa, gdy dostrzegła niewielką grupę ludzi zgromadzonych w pobliżu punktu kontrolnego. Kilku strażników wymieniało między sobą uwagi, podczas gdy cywile szeptali i pokazywali sobie coś po drugiej stronie wypełnionego gwiazdami okna. Glass rozpoznała ludzi w mundurach – należeli do zespołu Luke’a, elitarnego korpusu inżynieryjnego straży. Kobieta o siwiejących włosach, manipulująca przy holograficznym diagramie zawieszonym w powietrzu przed jej twarzą, miała na imię Bekah. Obok niej stał Ali, chłopak o ciemnej skórze i jasnozielonych oczach. Wzrok utkwił w obrazie stworzonym przez Bekah.

Oderwał wzrok od hologramu i zauważył ją.

– Glass! – wykrzyknął. Podbiegł kilka kroków i chwycił jej dłonie na powitanie. – Wspaniale znów cię widzieć. Jak się masz?

– Dość... dobrze – wyjąkała zmieszana. Jak dużo wiedzieli? Czy witali ją jako byłą dziewczynę Luke’a, zadzierającą nosa mieszkankę „Feniksa”, która złamała mu serce, czy też jako zbiegłą przestępczynię? Niezależnie od tego, która z tych możliwości wchodziła w grę, Ali był bardziej uprzejmy, niż na to zasługiwała.

Bekah uśmiechnęła się tylko do niej i wróciła do swoich diagramów. Marszcząc brwi, w skupieniu obracała skomplikowany trójwymiarowy schemat.

– Gdzie Luke? – zapytała Glass, rozglądając się wokoło.

Jeżeli Ali i Bekah pracowali, to jej chłopak również powinien gdzieś tu być.

Ali wskazał z uśmiechem na okno.

– Popatrz tam.

Glass obróciła się powoli, czując jak każda cząstka jej ciała lodowacieje. Wiedziała, co zobaczy. Dwie postacie w kosmicznych skafandrach, połączone ze statkiem cienkimi przewodami. Miały na plecach zestawy narzędzi i poruszały się wzdłuż rękawa, trzymając się liny dłońmi w ciężkich rękawicach.

Glass, niczym w transie, podeszła powoli do okna i przycisnęła twarz do szyby. Patrzyła ze strachem, jak postacie kiwnęły do siebie głowami i zniknęły z pola widzenia, przesuając się ku spodniej części rękawa. Jednostka Luke'a wykonywała najważniejsze naprawy. Kiedy chodzili ze sobą rok temu, był jeszcze młodszym członkiem zespołu. Wiedziała, że dostał awans, ale nie miała pojęcia, że wysyłają go już w przestrzeń.

Pomyślała, że od zimnej pustki kosmosu oddziela go tylko ciśnieniowy kombinezon, a ze statkiem łączy śmiesznie cienki przewód, i zakręciło jej się w głowie. Złapała za poręcz, żeby odzyskać równowagę, i bezgłośnie pomodliła się do gwiazd, by Luke bezpiecznie powrócił na pokład.

Nie opuszczała mieszkania od dwóch tygodni. Nawet najbardziej obszerny strój nie mógł już zamaskować brzucha, którego wypukłość stała się nagle przerażająco widoczna. Glass nie wiedziała, jak długo jeszcze matka będzie mogła usprawiedliwiać jej nieobecność. Nie odpowiadała na listy przyjaciół, a oni w końcu

przestali wysyłać jej wiadomości. Jedynym wyjątkiem był Wells, który kontaktował się z nią codziennie.

Odszukała na ekranie wiadomość, którą wysłał jej z rana.

*Widzę, że coś jest nie tak. Pamiętaj, że zawsze będę w pobliżu, czegokolwiek byś potrzebowała. Nawet jeżeli nie chcesz (albo nie możesz) odpisać, i tak będę ci wysyłał moje wypociny, ponieważ choćby nie wiem co, i tak jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Bardzo bym chciał, żebyś tu była.*

Reszta wiadomości poświęcona była frustracjom Wellsa związanym ze szkoleniem oficerskim, a kończyła się kilkoma tajemniczymi aluzjami do jakiejś sprawy dotyczącej Clarke. Glass miała nadzieję, że to nic poważnego – Clarke powinna wiedzieć, jak dobrze trafiła. Wells był przecież najprzystojniejszym, najmądrzejszym chłopakiem na „Feniksie”... chociaż tytuł najprzystojniejszego, najmądrzejszego chłopaka w Kolonii przypadł oczywiście Luke'owi. Luke'owi, już nieobecnemu w jej życiu.

Jedyne, co trzymało Glass przy zdrowych zmysłach, to dziecko. Kładąc dłoń na brzuchu, szeptem mówiła, jak bardzo je kocha. Nie wiadomo dlaczego była pewna, że to będzie chłopiec.

Raptem rozległo się pukanie do drzwi. Glass spróbowała wstać, by pobiec do sypialni i zamknąć za sobą drzwi na klucz... ale trzech strażników wdarło się już do mieszkania.

– Glass Sorenson – warknął jeden z nich, a jego wzrok spoczął na jej wyraźnie zarysowanym brzuchu. – Jesteś aresztowana za złamanie Kodeksu Gai.

– Ja to wyjaśnię... proszę... – wydyszała w panice.

Poczuła, że tonie. Pokój zaczął wirować jej przed oczami i nie potrafiła określić, które słowa wypowiada na głos, a które tylko przebiegają jej przez myśl.

W jednej chwili strażnik złapał ją za ręce i wykręcił je za plecami, natomiast drugi nałożył na przeguby kajdanki.

– Nie – załkała. – Proszę. To był wypadek. – Zaparła się nogami o podłogę, ale bez skutku. Mężczyźni siłą powlekli ją przez pokój.

Wtedy górę wzięła jej dziki, szaleńczy instynkt; Glass rzuciła się na przytrzymującego ją strażnika, kopiąc po goleniach i usiłując uderzyć go łokciem w gardło. Zacieśnił chwyt na jej ramieniu i wywlókł ją z korytarza na klatkę schodową.

Jęknęła, zdając sobie sprawę, że już nigdy nie zobaczy Luke'a. Myśl ta uderzyła ją jak obuchem. Nogi nagle się pod nią ugięły, a trzymający ją strażnik zatoczył się w tył, próbując utrzymać ją w pionie.

„Może mi się udać!”, pomyślała Glass, korzystając z chwilowego zachwiania równowagi mężczyzny, i skoczyła naprzód. Na krótką chwilę poprzez paniczny strach przebił się dreszcz nadziei. Miała szansę uciec!

Wtedy jednak strażnik złapał ją z tyłu tak, że straciła równowagę. Uderzyła ramieniem o podłogę i zaczęła spadać po

schodach stromej, wąskiej, ciemnej klatki schodowej.

Straciła przytomność.

Gdy się obudziła, poczuła, że boli ją całe ciało. Kolana, ramiona, brzuch...

Brzuch. Spróbowała poruszyć rękami, żeby go dotknąć, ale były przywiązane do łóżka. Nie przywiązane, przykute, uświadomiła sobie z przerażeniem. No tak, oczywiście – była przecież przestępczynią.

– Och, skarbie, obudziłaś się? – powitał ją ciepły głos.

Nie potrafiła zogniskować wzroku na postaci podchodzącej do łóżka, ale zamazany kształt musiał być pielęgniarką.

– Proszę, powiedz mi – zachrypiąta Glass. – Wszystko z nim w porządku? Czy mogę go potrzymać?

Kobieta zatrzymała się w pół kroku i zanim jeszcze się odezwała, Glass wiedziała, co powie. Wyczuwała to – straszną, bolesną pustkę wewnątrz ciała.

– Przykro mi – powiedziała cicho pielęgniarka. Glass nie widziała jej ust i miała wrażenie, jakby głos dochodził całkiem skądinąd. – Nie udało nam się go uratować.

Glass odwróciła się. Zimny metal kajdanek wpił jej się w skórę, ale nie dbała o to. Każde uczucie było lepsze od bólu, który odtąd zawsze już jej towarzyszył.

Dwie figury w skafandrach pojawiły się w końcu u dołu okna. Glass głośno odetchnęła i sięgnęła ręką do szyby. Jak długo powstrzymywała już oddech?



– Wszystko w porządku? – zapytał ktoś i przez chwilę pomyślała z przerażeniem, że znów jest w szpitalnej sali z pielęgniarką.

Pytanie zadała jednak Bekah, przyjaciółka Luke’a, która teraz patrzyła na nią z troską.

Glass zdała sobie sprawę, że się popłakała. Nie czuła z tego powodu zakłopotania, tak jej ulżyło na widok wracającego bezpiecznie chłopaka.

– Dzięki – wyjąkała, biorąc z ręki Bekah chusteczkę i wycierając łzy. Na zewnątrz Luke przyciągał się z powrotem do statku po przewodzie, łapiąc go raz po raz odzianymi w rękawice dłońmi i za każdym ruchem zbliżając się do słuzy.

Wokół niej widzowie zaczęli bić brawo i klepać się po ramionach, ale ona pozostała przy oknie, wpatrzona w punkt, gdzie ostatnio widziała Luke’a. To, o czym myślała, wchodząc do rękawa łączącego statki, wydawało jej się teraz odległe jak dawno zapomniany sen. Nie potrafiła zerwać łączących ich więzów, tak samo jak nie umiałyby przeciąć przewodu łączącego go ze statkiem. Bez Luke’a życie byłoby puste i zimne jak kosmiczna próżnia.

– Hej! – dobiegł ją z tyłu jego głos.

Glass odwróciła się na pięcie i rzuciła w jego ramiona. Termoizolacyjna bluza była przesiąknięta potem, a włosy – mokre i brudne, ale jej to nie przeszkadzało.

– Martwiłam się o ciebie – powiedziała głosem stłumionym przez jego koszulę.

Roześmiał się i objął ją ciasno ramionami, całując

w czubek głowy.

Co za miła niespodzianka!

Spojrzała na niego, nie przejmując się, że oczy ma podpuchnięte i leci jej z nosa.

– Wszystko w porządku – powiedział Luke, wymieniając rozbawione spojrzenia z Alim i ponownie zwracając się do swojej dziewczyny. – Taką już mam robotę.

Serce biło jej zbyt szybko, żeby mogła mówić, więc tylko kiwnęła głową, rzucając skrępowany uśmiech Bekah, Alemu i całej reszcie.

– Chodźmy – rzekł Luke, biorąc ją za rękę i prowadząc rękawem.

Gdy dotarli już na „Waldena”, oddech Glass w końcu wrócił do normy.

– Nie mogę uwierzyć, że to robisz – wyznała cicho. – Nie boisz się?

– Boję się. Wszystko na zewnątrz wydaje się takie... ogromne. Wiem, że to brzmi głupio... – Przerwał, ale Glass potrząsnęła głową. Oboje wiedzieli, że w zamkniętej przestrzeni, nawet tak przestronnej jak wnętrze statku, można było poczuć się uwięzionym.

– Cieszę się bardzo, że wszystko poszło jak trzeba – powiedziała.

– No właśnie, jak trzeba. Hmm, w sumie chyba tak. – Palce Luke’a rozluźniły uchwyt wokół jej dłoni, a w jego głosie pojawiło się napięcie. – Coś dziwnego działo się ze służą. Jakiś zawór musiał się obłuzować, bo ze statku

uciekało powietrze.

– Ale naprawiliście to?

– Oczywiście. Do tego jesteśmy szkoleni. – Ścisnął jej dłoń.

Glass zatrzymała się raptownie, obróciła ku niemu i uniosła na palcach, żeby go pocałować, właśnie tu, na środku zatłoczonego przejścia. Nie obchodziło jej już, kto ich zobaczy. Bez względu na to, co się stanie, pomyślała, całując go niemal rozpaczliwie, nie pozwoli, by cokolwiek ich w przyszłości rozdzieliło.

# ROZDZIAŁ 25

## Bellamy

Bellamy wpatrywał się w migoczące płomienie. Wokół niego szmer rozmów mieszał się z trzaskaniem szczap na ognisku. Od konfrontacji z Octavią minęło już kilka godzin, a siostra dotychczas nie dała znaku życia. Miał nadzieję, że szybko zwróci lekarstwa. Nie mógł jej do tego zmusić – wiedział, że wtedy ich stosunki nigdy nie wyglądałyby tak samo. Musiał okazać, że jej ufa, a ona powinna postąpić właściwie, by zasłużyć na zaufanie.

Deszcz przestał już padać, ale grunt nadal był wilgotny. Wybuchło kilka kłótni o kamienie wokół ogniska, które zyskały status miejsc pierwszej kategorii. Na szczęście większość mieszkańców obozu wolała siedzieć na mokrej trawie, byle znaleźć się blisko ciepłych płomieni. Kilka dziewczyn wybrało trzecią możliwość i usadowiło się na kolanach bardzo z tego powodu zadowolonych chłopaków.

Rozejrzał się wokół kręgu, szukając wzrokiem Clarke. Ognisko dymiło dzisiaj bardziej niż zwykle, prawdopodobnie dlatego, że całe drewno zamokło, więc

potrzebował dłuższej chwili, by odnaleźć znany błysk rudozłotych włosów. Zmrużył oczy i z zaskoczeniem zdał sobie sprawę z tego, że dziewczyna siedzi koło Wellsa. Nie dotykali się ani nie rozmawiali, ale coś się wyraźnie między nimi zmieniło. Napięcie, które Clarke okazywała dotąd za każdym razem, kiedy Wells się do niej zbliżał, zniknęło. On zaś, zamiast rzucać jej ukradkowe, zranione spojrzenia za każdym razem, kiedy nie patrzyła, wzrok miał utkwiony w ogniu, a na twarzy – zadowolenie.

Bellamy poczuł w brzuchu ostre ukłucie gniewu. Powinien był wiedzieć, że prędzej czy później Clarke wróci do Wellsa. Nie trzeba było jej całować wtedy w lesie. Wcześniej obchodziła go tylko jedna dziewczyna w życiu – a i jedna, i druga go zraniły.

Chmury na niebie były tak gęste, że zasłaniały większość gwiazd, ale Bellamy i tak odchylił głowę do tyłu, zastanawiając się, z jakim wyprzedzeniem dotrze do nich wiadomość o przybyciu następnego lądownika. Czy zauważą, jak ku nim pędzi, pozostawiając za sobą na niebie ognisty ślad?

Wtem wzrok jego padł na postać nadchodzącą z mroków ku ognisku; niewyraźny kształt, który okazał się dziewczynką. Chłopak wstał i patrzył, jak Octavia wkracza dumnie w krąg światła rzucony przez tańczące płomienie, a wśród mieszkańców obozu rozchodzi się fala szeptów.

– Na miłość boską – jęknął Graham. – Kto, do cholery, miał jej pilnować dzisiaj wieczorem?

Wells rzucił Clarke spojrzenie, a potem podniósł się.

– Wszystko w porządku – oświadczył głośno. – Może do nas dołączyć.

Octavia zatrzymała się, spoglądając to na Wellsa, to na Grahama, a oni mierzyli się wzrokiem. Zanim jednak którykolwiek z nich zdołał się odezwać, nabrała głęboko powietrza i wystąpiła naprzód.

– Mam wam coś do powiedzenia – oznajmiła.

Trzęsła się cała, ale głos miała pewny.

Podniecone szept i zdumione mamrotania ucichły i odwróciła się ku niej blisko setka twarzy. W migoczącym świetle Bellamy widział, że ogarnia ją panika, i poczuł nagłą potrzebę, żeby podbiec i złapać ją za rękę. Zmusił się jednak, by dalej stać nieruchomo. Tak długo widział w niej małą dziewczynkę, którą trzeba było się opiekować, że nie zauważył, kiedy dorosła. A teraz miała zrobić coś zupełnie samodzielnie.

– To ja zabrałam te lekarstwa – zaczęła Octavia.

Przerwała, czekając, by sens jej słów dotarł do wszystkich, potem wzięła głęboki oddech i kontynuowała w rosnącym szumie przeróżnych „wiedziałam!” i „a nie mówiłem?”. Opowiedziała mieszkańcom obozu to samo, co wcześniej bratu – o trudnościach dorastania w centrum opieki i o tym, jak uzależniła się od lekarstw.

Groźne pomruki umilkły, gdy głos Octavii załamał się.

– W Kolonii nigdy nie sądziłam, że kogoś krzywdzę. Podkradanie wydawało mi się po prostu sposobem na zdobycie tego, na co zasługiwałam. Uważałam, że tak jak wszyscy mam prawo spać w nocy, a rano budzić się, nie

czując, że koszmary pozostawiły blizny w moim umyśle. – Westchnęła głęboko i zamknęła oczy. Kiedy je ponownie otworzyła, Bellamy zobaczył, że są zamglone łzami. – Byłam tak przerażona – i tak samolubna... ale nigdy, przenigdy nie chciałam zaszkodzić Thalii ani nikomu innemu. – Obróciła się ku Clarke i przełknęła kulę, która zaczęła formować jej się w gardle. – Tak mi przykro. Wiem, że nie zasługuję na przebaczenie, ale proszę tylko o jedno: dajcie mi szansę zacząć jeszcze raz, z czystym kontem. – Podniosła brodę i powiodła wzrokiem po twarzach, aż zobaczyła Bellamy’ego i uśmiechnęła się do niego smutno. – Tak jak chciałby tego każdy w tym kręgu. Wiem, że wielu z nas zrobiło coś, z czego nie jesteśmy dumni, ale dano nam szansę zacząć jeszcze raz. Wiem, że niedużo brakowało, żebym wam w tym przeszkodziła, ale chciałabym zacząć jeszcze raz, zostać kimś lepszym i pomóc odbudować Ziemię taką, jaką wszyscy chcielibyśmy ją widzieć.

Serce Bellamy’ego wezbrało dumą. Łzy zaczynały kręcić mu się w oczach, ale gdyby ktokolwiek to zauważył, zwałyby winę na dym z ogniska. Jego siostra nieźle się nacierpiała w życiu. Popełniała pomyłki, oboje to robili, lecz wciąż miała siłę i odwagę, by się do nich przyznać.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Ucichło nawet trzaskanie szczap w ognisku, jak gdyby sama Ziemia wstrzymała oddech. W tej ciszy zabrzmiał głos Grahama:

– Co za bzdury!

Bellamy najeżył się, czując w sercu gwałtowną iskrę gniewu, jednak zacisnął tylko zęby. Oczywiście tamten nie

miął zamiaru odpuścić – lecz może przemowa Octavii wzruszy parę innych osób? Tymczasem, zamiast potępienia czy dezaprobaty, słowa Grahama wzbudziły falę zgodnych pomruków, które szybko urosły do krzyków. Chłopak rozejrzał się więc wokoło i kontynuował:

– Dlaczego mamy pracować, aż nam tyłki poodpadają, rąbać drewno, nosić wodę i w ogóle robić wszystko, co trzeba, żeby ten obóz jakoś działał, i jednocześnie utrzymywać narkomankę z urojeniami? To zupełnie tak, jakby...

– Okej, wystarczy – przeciął jego tyradę Bellamy. Spojrzał na Octavię. Dolna warga zaczęła jej drżeć. Dziewczynka rzucała spojrzenia wokół ogniska. – Wyjaśniłeś swoje stanowisko. Są tu jednak jeszcze dziewięćdziesiąt cztery osoby, z których każda ma własną opinię, niekoniecznie taką jak ty.

– Zgadzą się z Grahamem – zabrzmiał dziewczęcy głos. Bellamy obrócił się i zobaczył krótko ostrzyżoną waldenitkę, która mierzyła Octavię wzrokiem. – W Kolonii wszyscy tkwiliśmy w jednym gównie, ale tutaj nikt inny jakoś nic nie ukradł. – Dziewczyna zmrużyła oczy. – Kto wie, co mała zwinie następnym razem.

– Uspokójcie się wszyscy – zaproponowała Clarke, wstając. – Octavia przeprosiła. Powinniśmy jej dać drugą szansę.

Bellamy spodziewał się z jej strony raczej wybuchu oburzenia – to przecież ona jako pierwsza oskarżyła Octavię o kradzież. Zaskoczony, spoglądał teraz na Clarke



i czuł głęboką wdzięczność.

– Nie – głos Grahama brzmiał twardo, a kiedy patrzył wokoło, w jego oczach błyszczało coś innego niż odbite płomienie. Zwrócił się do Wellsa stojącego obok Clarke:

– Sam powiedziałeś, że musi być jakiś porządek albo ni cholery nie przetrwamy.

– To co proponujesz? – zapytał Wells.

Graham uśmiechnął się i Bellamy poczuł, jakby ktoś wylał mu na kark kubek zimnej wody. Patrząc na niego, podszedł do siostry i objął ją ramieniem.

– Wszystko będzie dobrze – szepnął.

– Przykro mi – wycedził Graham, obracając się ku nim – ale nie mamy wyboru. Octavia naraziła życie Thalii. Nie będziemy tak ryzykować. Mała musi umrzeć.

– Co?! – wybuchnął Bellamy. – Czyś ty oszalał?! – Rozglądał się z niedowierzaniem, oczekując, że zobaczy morze podobnie zbulwersowanych ludzi, ale tylko kilku patrzyło w szoku na Grahama. O wiele większa grupa wyraźnie się z nim zgadzała.

Bellamy postąpił krok i własnym ciałem zasłonił siostrę, która gwałtownie drżała. Prędzej spali całą tę przeklętą planetę na węgiel, niż pozwoli komukolwiek dotknąć Octavii.

– Może to przegłosujemy? – Graham uniósł zaczepnie głowę i skinął w kierunku Wellsa. – Taki byłeś chętny, żeby przywrócić na Ziemi demokrację? To może spróbujemy?

– Nie to miałem na myśli – warknął Wells. Maska

opanowanego polityka spadła z jego twarzy, rysy wykrzywił mu gniew. – Nie będziemy głosować, czy mamy kogoś zabić!

– Nieee? – Graham uniósł brwi. – Aha, więc kiedy robi to twój ojciec, to w porządku, ale kiedy chcemy to zrobić my, to już nie?

Bellamy skrzywił się i zamknął oczy, słysząc głosy poparcia. Sam powiedziałby w takiej sytuacji dokładnie to samo, ale tylko po to, żeby dopiec w ten sposób Wellsowi. Nigdy nie zaproponowałby pozbawienia kogoś życia!

– Rada nie nakazuje egzekucji dla zabawy – głos Wellsa trząsł się z wściekłości. – Utrzymanie przy życiu ludzkości w kosmosie wymagało nadzwyczajnych środków, czasem nawet okrutnych. – Przerwał na chwilę. – My mamy szansę, by postępować lepiej.

– I co?! – warknął Graham. – Dasz jej po łapie, a potem niech podniesie dwa palce i obieca wszystkim, że już nie będzie?

Rozległy się ironiczne śmiechki.

– Nie – zaprzeczył Wells. – Masz rację, powinni ponieść konsekwencje. – Nabrał powietrza i wypalił: – Wygnajmy ich z obozu!

Głos miał pewny, ale kiedy popatrzył na Bellamy'ego, w jego oczach zalśniła dziwna mieszanka udręki i ulgi.

– Wygnajmy? – powtórzył Graham. – Tak żeby mogli się podkraść z powrotem, kiedy tylko zechcą, i doprowadzić więcej zapasów? Co za bzdury!

Bellamy otworzył usta, ale jego głos utonął w gwarze,

jaki podniósł się po słowach Grahama. W końcu dziewczyna, którą kojarzył z „Waldena”, wstała i przekrzyczyła wszystkich.

– To mi wygląda na dobry pomysł – zawołała, a tłum stopniowo cichł, kiedy kolejne głowy obracały się ku niej. – Muszą tylko obiecać, że nigdy nie wrócą.

Bellamy objął ciasniej siostrę, która zwiotczała mu w objęciach. Skinął głową.

– Wyruszymy o świcie. – Uśmiechnął się do Octavii. Dokładnie to planował od początku. Dlaczego więc zamiast ulgi czuł obawę?

Ogień przygasł i ciemność okryła obóz jak wielki koc, tłumiąc kroki i głosy. Tajemnicze cienie znikwały w namiotach lub podążały z kocami do schronienia pod koronami drzew.

Bellamy umościł legowisko dla Octavii na polanie, niedaleko wraku lądownika. Nie wypowiedzieli tej myśli na głos, ale żadne z nich nie chciało spędzić nocy w namiocie.

Octavia zwinęła się na kocu w kłębek i zamknęła oczy, chociaż było jasne, że nie śpi. Wycieczka do lasu w towarzystwie Clarke, by odnieść lekarstwa do obozu, nie była miłym doświadczeniem. Nikt nic nie mówił, ale Bellamy czuł, że wzrok Clarke przewierca jego plecy, kiedy prowadził do kryjówki.

Teraz siedział obok siostry, oparty o drzewo, i gapił się w ciemność. Ciężko mu było ogarnąć fakt, że następnego dnia opuszczą obóz już na zawsze.

W którejś chwili zauważył, że zbliża się do nich jakiś niewyraźny kształt. To był Wells. Przez ramię miał przewieszony łuk Bellamy'ego.

– Hej – rzucił cicho, kiedy Bellamy zerwał się na nogi.  
– Przepraszam za to, co się działo wcześniej. Wiem, że wygnanie to surowy wyrok, ale nie byłem pewien, czy coś innego zadziała. – Westchnął. – Bałem się, że Graham naprawdę zdoła ich przekonać do... – przerwał, kiedy jego wzrok spoczął na leżącej Octavii. – Nie żebym miał zamiar im na to pozwolić... lecz nas było tylko dwóch, a ich – znacznie więcej.

Bellamy z wysiłkiem przełknął ciętą ripostę. W tych okolicznościach Wells wybrał najlepsze wyjście.

– Dziękuję – powiedział tylko.

Patrzyli na siebie przez chwilę, a potem Bellamy odchrząknął.

– Słuchaj, powinienem chyba... – przerwał. – Przepraszam za twojego ojca. Zacerpnął powietrza i zmusił się, by spojrzeć prosto w oczy Wellsa. – Mam nadzieję, że wszystko z nim w porządku.

– Dziękuję – odparł cicho tamten. – Też na to liczę. – Na moment zamilkł, ale kiedy znów przemówił, jego głos był pewny. – Wiem, że próbowałeś tylko chronić swoją siostrę. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo. – Uśmiechnął się. – Zresztą... myślę, że coś takiego właśnie zrobiłem. – Wyciągnął dłoń. – Mam nadzieję, że będziecie z Octavią bezpieczni poza obozem.

Bellamy potrząsnął jego ręką i uśmiechnął się smutno.

– Nie wyobrażam sobie, że poza obozem miałyby na nas czyhać większe niebezpieczeństwo niż Graham. Miej oko na tego chłopaka.

– Pewnie! – Wells skinął głową, odwrócił się i zniknął.

Bellamy położył się na kocu i wbił wzrok w ciemność na polanie, na której niewyraźnie rysował się kształt namiotu szpitalnego, gdzie Clarke właśnie aplikowała Thalii długo oczekiwane lekarstwo. Serce ścisnęło mu się na wspomnienie sceny przy ognisku, kiedy migotliwe płomienie rozświetlały zdecydowaną twarz Clarke. Nie poznał nigdy dziewczyny tak pięknej i zarazem tak poważnej.

Odchylił się z westchnieniem i zamknął oczy. Zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim Clarke przestanie być ostatnią osobą, o której myśli przed zaśnięciem.

# ROZDZIAŁ 26

Clarke

Antybiotyki zadziałały. Od chwili, gdy Clarke wpadła do namiotu z lekarstwem w dłoni, minęło zaledwie kilka godzin, tymczasem gorączka już spadła, a Thalia po raz pierwszy od wielu dni była całkiem przytomna.

Kiedy Clarke usiadła na skraju pryczy, dziewczyna otworzyła oczy.

– Witaj z powrotem – powiedziała Clarke z uśmiechem.

– Jak się czujesz?

Wzrok chorej powędrował wokół pustego namiotu, a potem wrócił do twarzy przyjaciółki.

– Czy to już niebo?

Clarke potrząsnęła głową.

– Boże, mam nadzieję, że nie.

– To dobrze. Zawsze zakładałam, że będą tam faceci, i to tacy, którzy nie tłumaczą się, że racjonowanie wody nie pozwala im się myć. – Thalia zdołała się uśmiechnąć. – Czy może ktoś zbudował pierwszy prysznic na Ziemi, kiedy byłam nieprzytomna?

– Nie. W ogóle niewiele straciłaś.

– Jakoś mi się nie wydaje, żeby to była prawda. – Thalia uniosła ramię, próbując usiąść, ale jęknęła z wysiłku i zrezygnowała. Clarke podłożyła jej pod plecy zrolowany koc.

– Dzięki – mruknęła chora i przez chwilę mierzyła rozmówczynię wzrokiem, zanim zapytała: – No dobra, co jest nie tak?

Clarke uśmiechnęła się, speszona.

– Wszystko w porządku. Cieszę się, że czujesz się lepiej.

– Clarke, proszę. Nic ci się nie uda przede mną ukryć, wiesz, że zawsze wyciągam z ciebie wszystkie tajemnice. – Thalia spoważniała. – Może zacznij od tego, gdzie znalazłaś lekarstwa.

– Octavia je wzięła – wyjaśniła Clarke i szybko zdała przyjaciółce relację z ostatnich wydarzeń. – Opuszcza jutro obóz razem z bratem – zakończyła. – To część umowy, którą zawarł ze wszystkimi Wells. Wiem, to brzmi jak szaleństwo, ale niewiele brakowało, żeby ją zabili. – Pokręciła głową. – Gdyby nie Wells, nie jestem pewna, jak by się to skończyło.

Thalia patrzyła na nią z dziwną miną.

– No co? – zapytała Clarke.

– Nic, tylko... po raz pierwszy słyszę, jak wymawiasz jego imię, nie wyglądając przy tym, jakbyś chciała wybić dziurę w ścianie.

– To prawda – przyznała Clarke i uśmiechnęła się.

Wyglądało na to, że jej stosunek do Wellsa zmienił się – a przynajmniej zaczął się zmieniać.

– No i?

Clarke z zakłopotaniem zaczęła przeglądać lekarstwa. Nie chciała mówić Thalii, co stało się w lesie, żeby przyjaciółka nie poczuła się winna – w końcu to dla niej szukała leczniczych roślin i o mało się przy tym nie zabiła.

– Jest jeszcze coś, o czym ci nie powiedziałam. Wcześniej nie wydawało mi się to ważne, a poza tym byłaś bardzo chora, ale... – Zaczerpnęła powietrza i opowiedziała o tym, jak Wells uratował ją w ruinach.

– Poszedł tam za tobą?

Clarke przytaknęła.

– Najdziwniejsze jest to, że kiedy wisiałam na krawędzi, przekonana, że zaraz umrę, myślałam tylko o nim. A kiedy przyszedł, nie gniewałam się, że mnie śledził. Byłam nawet zadowolona, że zależało mu na mnie tak bardzo, że poszedł za mną do lasu mimo tych wszystkich strasznych rzeczy, które mu powiedziałam.

– Kocha cię i nic tego nie zmieni – ani to, co powiesz, ani to, co zrobisz.

– Wiem. – Clarke zamknęła oczy. – Pamiętasz, jak siedziałyśmy razem w celi i powiedziałam ci, że chciałabym zobaczyć, jak jego ciało eksploduje w kosmosie? Myślę, że mimo to wciąż go kochałam. Dlatego cierpiałam jeszcze bardziej.

Thalia patrzyła na nią ze współczuciem i zrozumieniem.

– Powinnaś przestać się karać, Clarke.



– Chciałaś powiedzieć „karać Wellsa”?

– Nie. Chodziło mi o to, żebyś przestała karać siebie za to, że go kochasz. To nie oznacza zdrady pamięci twoich rodziców.

Clarke zeszywniała.

– Nie znałaś ich i nie masz pojęcia, co by myśleli.

– Wiem, że chcieli dla ciebie jak najlepiej. Przecież robili coś, co uważali za złe, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo. – Przerwała na moment. – Całkiem jak Wells.

Clarke westchnęła i siadła po turecku na pryczy przyjaciółki, tak samo, jak kiedyś we wspólnej celi.

– Może masz rację. Nie wiem, czy potrafię jeszcze z tym walczyć. Nienawiść do niego jest strasznie wyczerpująca.

– Powinnaś z nim porozmawiać

Clarke kiwnęła głową.

– Tak zrobię.

– Myślę, że powinnaś to zrobić teraz, w tej chwili. – Oczy Thalii błyszczały podnieceniem. – Idź z nim porozmawiać.

– Co? Przecież już późno.

– Jestem pewna, że jeszcze nie śpi, tylko myśli o tobie...

Clarke rozprostowała nogi i wstała.

– Dobrze – oznajmiła. – Jeżeli tylko tego trzeba, żebyś się uspokoiła i odpoczęła...

Przewracając oczami w udawaną udręce, odgarnęła klapę namiotu. Wyszła na polanę i stanęła na moment bez

ruchu, zastanawiając się, czy nie popełnia pomyłki.

Było jednak za późno. Serce biło jej tak szybko, że wyglądało, jakby napędzał je osobny silniczek szaleńczo wystukujący przez ciemność komunikat dla Wellsa: „Idę do ciebie”.

# ROZDZIAŁ 27

Wells

Wells patrzył w niebo. Nie czuł się dobrze w przepelnionych namiotach, a po tym, co wydarzyło się wieczorem, nie mógłby znieść towarzystwa ludzi gotowych rozszarpać Octavię na strzępy. Mimo chłodu lubił zasypiać pod tymi samymi gwiazdami, na które patrzył z łóżka w domu. Kochał chwile, kiedy księżyc zniknął za chmurą i robiło się zbyt ciemno, by rozróżnić kształty drzew. Niebo wydawało się wtedy sięgać do krańców polany, a mieszkańcy obozu mieli wrażenie, że nie są na Ziemi, tylko z powrotem w Kolonii. Każdego ranka, kiedy się budził, a gwiazd już nie było, czuł ukłucie smutku.

Jednak tego wieczoru nawet rozgwieżdżone niebo nie mogło go uspokoić. Usiadł i skrzywił się, czując, jak kamienie i gałęzie uwierają go przez tkaninę koca. Od strony pobliskiego drzewa dobiegł alarmujący szelest. Skoczył na równe nogi, wyciągając szyję, by lepiej widzieć.

Stał i patrzył oszołomiony, jak drzewo, na którym od

ładowania nie pokazał się ani jeden pąk, nagle całe zakwita. Migoczące różowe płatki wysuwały się z torebek, których wcześniej nie zauważył, jak sięgające w ciemność palce. Były przepiękne. Wells wyciągnął wysoko ramiona i chwycił jedną z gałązek.

– Wells?

Obrócił się na pięcie. Kilka metrów od niego stała Clarke.

– Co robisz?

Przez moment chciał jej zadać to samo pytanie, ale tylko podszedł do niej i bez słowa włożył jej kwiat w dłoń. Popatrzyła na podarunek i wydawało mu się, że go odrzuci. Ku zaskoczeniu i uldze Wellsa spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. – Patrzyli na siebie przez chwilę. – Też nie mogłaś zasnąć? – zapytał, a ona pokręciła głową.

Wells usiadł na wystającym korzeniu. Wystarczyło na nim miejsca dla dwóch osób, więc zaprosił gestem, by spoczęła obok niego.

Po chwili zrobiła to, pozostawiając pomiędzy nimi minimalny dystans.

– Jak się czuje Thalia? – spytał.

– Dużo lepiej. Tak się cieszę, że Octavia oddała lekarstwa. – Spojrzała na kwiat i pogłaskała go końcami palców. – Nie mogę uwierzyć, że jutro sobie idą.

W jej głosie zabrzmiała nuta żalu, od której Wellsa boleśnie ścisnęło w dołku.

– Myślałem, że będziesz zadowolona z jej odejścia, po tym, co ci zafundowała.

Clarke chwilę milczała.

– Dobrzy ludzie mogą się mylić – odparła powoli. Spojrzała mu w oczy. – To nie znaczy, że przestaje ci na nich zależeć.

Przez kilka minut było słycać tylko szemrzący w gałęziach wiatr. Ciszę pomiędzy nimi wypełniały wszystkie niewypowiedziane słowa. Przeprosiny, które nigdy nie padły... a nawet gdyby padły, nie przekazałyby żalu, jaki odczuwał.

Proces dwojga najstynniejszych naukowców na „Feniksie” stał się wydarzeniem roku. W sali rady zebrało się więcej ludzi niż na jakimkolwiek wykładzie czy innej imprezie, może poza ceremonią pamięci.

Wells był świadom obecności tłumu tylko częściowo. Z obrzydzeniem patrzył na ich niezdrową ciekawość – byli jak Rzymianie czekający na rozlew krwi w Koloseum. Uczucie to pierzchno jednak w chwili, gdy odnalazł wzrokiem dziewczynę siedzącą samotnie w pierwszym rzędzie. Nie widział Clarke od tego wieczoru, kiedy zwierzyła mu się, że wie o badaniach rodziców, a on opowiedział o tym ojcu, który starannie przemyślał tę informację. Tak jak spodziewał się Wells, kanclerz nie wiedział nic o eksperymentach i natychmiast rozpoczął śledztwo. Przyjęło ono jednak niespodziewanie groźny obrót i teraz rodzice Clarke stanęli przed radą, oskarżeni o zbrodnię. Przerażony Wells, przygnieciony

poczuciem winy, przez ostatni tydzień rozpaczliwie próbował spotkać się z Clarke, ale mimo że zasypywał ją wiadomościami, nie odpowiadała. Kiedy zaś poszedł do jej mieszkania, zastał na drzwiach pieczęcie straży.

Patrzyła teraz, jak członkowie rady zajmują miejsca, a jej twarz nie wyrażała kompletnie niczego. Gdy jednak odwróciła się i napotkała wzrok Wellsa, w jej oczach zabłyśła nienawiść tak potężna, że poczuł, jak żółć podchodzi mu do gardła.

Skulił się w fotelu w trzecim rzędzie. Chciał tylko, żeby ojciec przerwał badania i zakończył cierpienie Clarke. Nie zdawał sobie sprawy, że dojdzie do procesu, w którym stawką będzie życie jej rodziców.

Dwóch strażników przyprowadziło panią Griffin na ławę oskarżonych. Trzymała głowę dumnie, patrząc na członków rady, ale potem dostrzegła córkę i jej twarz posmutniała.

Clarke skoczyła na równe nogi i powiedziała coś, czego Wells nie dosłyszał, ale to nie miało znaczenia. Smutny uśmiech na twarzy jej matki wystarczył, by pękło mu serce.

Kolejna para strażników wprowadziła na salę ojca Clarke i proces się rozpoczął.

Najpierw jedna z członkiń rady zdała relację ze śledztwa. Griffinowie zeznali, że wicekanclerz Rhodes nakazał im prowadzić badania nad wpływem promieniowania na żywych ludzi, czemu on sam żarliwie zaprzeczał.

Dziwne odrętwienie opanowało Wellsa, kiedy obserwował

wystąpienie Rhodesa. Wicekanclerz z poważną miną wyjaśnił, że uwzględnił prośbę o przydział nowego laboratorium, ale nigdy nie wydał zgody, by prowadzić eksperymenty na dzieciach.

Głosy wszystkich odptęły gdzieś daleko – pytania ze strony rady i odpowiedzi Griffinów docierały do umysłu chłopca zniekształcone, jakby pochodziły z odległej galaktyki. Wells słyszał przerażone okrzyki ludzi z sali, lecz nie potrafiłby powiedzieć, co je wywołało.

A potem rada przeszła nagle do głosowania.

Pierwsze „winni” przebiło się przez mgłę otaczającą Wellsa. Popatrzył na Clarke, która siedziała sztywno i nieruchomo.

– Winni.

„Nie – pomyślał Wells. – Nie, proszę!”.

„Winni” powtarzało się, kiedy kolejni członkowie rady oddawali głosy, aż nadeszła kolej na kanclerza. Odchrząknął, a Wells przez krótką chwilę miał nadzieję, że jego ojciec odwróci bieg wydarzeń.

– Winni.

– Nie! – wściekły wrzask Clarke wzniósł się ponad hałas zszokowanych i zadowolonych głosów. Skoczyła na równe nogi. – Nie możecie tego zrobić. To nie ich wina! – Z gniewną twarzą wyciągnęła rękę, wskazując na wicekanclerza. – Ty! To ty ich do tego zmusiłeś, kłamliwy sukinsynu! – Postąpiła o krok naprzód i natchmiast otoczyli ją strażnicy.

Rhodes przeciągle westchnął.

– Obawiam się, że dużo lepiej idzie pani eksperymentowanie na

niewinnych dzieciach niż łganie, młoda damo. – I zwrócił się do ojca Wellsa: – Z zapisów skanera wynika, że panna Griffin regularnie odwiedzała laboratorium. Wiedziała o potwornych czynach popełnianych przez rodziców i nie zrobiła nic, by je powstrzymać. Być może nawet pomagała.

Wells wciągnął powietrze tak gwałtownie, że poczuł, jak żołądek ociera mu się o żebra. Cekał, aż jego ojciec rzuci Rhodesowi jedno ze swoich spojrzeń i każe mu zamilknąć, ale ku swojemu przerażeniu zobaczył, że kanclerz wpatruje się poważnie w twarz Clarke. Po dłuższej chwili zacisnął usta, po czym odwrócił się ku reszcie rady.

– Niniejszym wnoszę o postawienie Clarke Griffin zarzutu współudziału w zdradzie.

„Nie”. Słowa ojca dotarły do jego umysłu jak paraliżujący gaz, sprawiając, że jego serce na chwilę przestało bić.

Wells widział, jak usta innych członków rady poruszają się, ale nie potrafiłby powtórzyć ich słów. Każda cząstka jego ciała modliła się do wszystkich zapomnianych bogów. „Wypuście ją – błagał. – Zrobię wszystko!”. To była prawda. Gotów był ofiarować swoje życie w zamian za jej.

„Weźcie mnie zamiast niej”.

Wicekanclerz pochylił się ku ojcu Wellsa i wyszeptał mu coś na ucho.

„Nie obchodzi mnie, czy to będzie boleło”.

Twarz kanclerza przybrała jeszcze poważniejszy wyraz niż



przedtem.

„Wyrzućcie mnie przez służę w kosmos. Niech moje ciało imploduje!”.

Człowiek siedzący obok Wellsa otrząsnął się z obrzydzeniem w reakcji na coś, co powiedział kanclerz.

„Po prostu ją puśćcie!”.

Kiedy słuch mu wrócił, dotarli do niego szepty ludzi w sali. Dwóch strażników złapało Clarke i zaczęło ciągnąć ku wyjściu.

Dziewczyna, za której bezpieczeństwo oddałby wszystko, wkrótce zostanie skazana na śmierć... I umrze, mając prawo go nienawidzić.

Wszystko to stało się przez niego.

– Przykro mi – wyszeptał Wells, jakby to miało pomóc.

– Wiem – odparła cicho.

Zamarł i przez chwilę nie patrzył na nią. Bał się, że zobaczy smutek, którego nic nie jest w stanie uleczyć. Przemógł się i spojrział. Zobaczył w jej oczach łzy, ale na ustach – uśmiech.

– Czuję, że są blisko mnie – powiedziała, spoglądając w górę, pomiędzy drzewa. – Poświęcili życie, próbując znaleźć sposób, żeby zabrać nas na Ziemię.

Wells nie wiedział, co powinien powiedzieć, żeby czar nie prysnął, więc zamiast mówić, pochylił się i pocałował ją, wstrzymując oddech, dopóki nie zobaczył, jak zamykają się jej pełne łez oczy.

Z początku całował delikatnie. Jego wargi muskały jej usta, ale gdy poczuł, że oddaje jego pocałunki, zapłonął

w nim ogień namiętności. Jej dotyk i smak pocałunku uwolniły w nim nową siłę. Objął dziewczynę mocniej.

Clarke utonęła w jego objęciach. Ich usta przywarły do siebie, jej skóra stopiła się z jego skórą, ich oddechy się zmieszały. Świat wokół nich zaczął znikać, aż stał się tylko wir w ostrych woni zawieszonych w wilgotnym powietrzu, które sprawiały, że przytulali się do siebie jeszcze bliżej. Mięka ziemia utuliła ich, gdy ześlizgnęli się z pnia. Tyle chciał jej powiedzieć, ale jego usta, zamiast mówić, błędziły po jej twarzy i szyi.

W tym momencie nie było nikogo poza nimi. Byli jedynymi ludźmi na planecie – tak, jak to sobie wymarzył.

# ROZDZIAŁ 28

## Glass

Tego roku muzyka zabrzmiała na „Feniksie” dwukrotnie. Rada wyraziła zgodę, by ziemskie instrumenty wyjątkowo po raz drugi opuściły komory próżniowe i zostały ostrożnie przeniesione na pokład obserwacyjny, by uświetnić przyjęcie z okazji przelotu komety.

Zapowiadała się magiczna noc. Mieszkańcy „Feniksa” przybyli na imprezę w najlepszych strojach i teraz ten elegancki tłum kipiał podnieceniem. Ludzie wokół Glass rozmawiali i śmiali się, podchodząc do olbrzymich okien z kieliszkami musującego wina korzennego w dłoniach.

Stała obok Huxley i Cory, które rozmawiały z ożywieniem. Widziała, jak usta przyjaciółek się poruszają, ale nie słyszała żadnych słów. Całą uwagę poświęcała muzykom, którzy po cichu zajmowali miejsca po przeciwnej stronie pokładu.

Gdy wreszcie zagraли, Glass zaczęła niecierpliwie przestępować z nogi na nogę. Myślała przez cały czas o Luke’u. Bez niego muzyka, zazwyczaj rzucająca na nią

nieodparty urok, brzmiała zaskakująco pusto. Melodie, które kiedyś wydawały się wyrażać jej najgłębiej skrywane pragnienia, teraz były równie piękne, ale serce Glass ścisnęło się na myśl, że jedyna osoba, z którą chciałaby ich słuchać, przebywa gdzieś indziej.

Rozejrzała się i szybko odnalazła wzrokiem matkę. Sonja miała na sobie długą szarą suknię i giemzowe rękawiczki, jedną z niewielu par pozostałych na statku, nieco zniszczoną użytkowaniem, ale wciąż niebywale cenną. Rozmawiała z kimś w kanclerskim uniformie, ale nie był to kanclerz. Glass uświadomiła sobie z zaskoczeniem, że to wicekanclerz Rhodes. Widziała go zaledwie kilka razy, lecz rozpoznała ostry nos i szyderczy uśmiech.

Wiedziała, że powinna podejść do niego z uśmiechem, przedstawić się i stuknąć z nim kieliszkiem... podziękować za wolność i wyglądać radośnie, tak by tłum odświętnie ubranych mieszkańców „Feniksa” miał na co patrzeć i o czym szeptać. Tego chciałaby jej matka i to właśnie Glass powinna była zrobić, jeśli cenila sobie życie. Gdy jednak spojrzała w jego złowrogie ciemne oczy, nie mogła się zmusić, by to uczynić.

– Wiesz co, weź to. Potrzebuję trochę powietrza – powiedziała Glass, wręczając Corze nietknięty kieliszek z winem.

Przyjaciółka uniosła brwi, ale nic nie powiedziała – tego wieczoru każdy otrzymał tylko jeden przydziałowy kieliszek. Glass, upewniwszy się, że matka nie patrzy, przemknęła przez tłum i wypadła na korytarz. Po drodze do

mieszkania nie spotkała żywej duszy. Szybko wyślizgnęła się z sukienki, założyła parę zwyczajnych spodni i schowała włosy pod czapkę.

Na „Waldenie” nie było specjalnego pokładu obserwacyjnego, ale część korytarzy miała wychodzące na zewnątrz niewielkie okna, przez które można było oglądać komety. Mieszkańcy statku, którzy akurat nie pracowali, zaczęli się przy nich gromadzić już od rana, żeby zająć najlepsze miejsca. Gdy Glass przybyła na „Waldena”, korytarze były pełne rozmawiających z ożywieniem ludzi. Niektóre dzieci przyciskały twarze do kwarcowego szkła lub wdrapywały się na ramiona rodziców.

Glass skręciła za róg i zobaczyła o kilka metrów od siebie grupę stojącą przy jednym z okien: trzy kobiety i czwórkę dzieci. Zastanawiała się, czy czwarte należy do sąsiadki kobiet, czy też opiekują się sierotą.

Najmłodsze z nich przydreptało i popatrzyło na nią z nieśmiałym uśmiechem.

– Cześć. – Glass pochyliła się i przywitała. – Też chcesz zobaczyć komety? – Dziewczynka nie odpowiedziała. Utkwiła wzrok w głowie rozmówczynie.

Glass podniosła z zażenowaniem dłoń i skrzywiła się lekko, zdając sobie sprawę, że włosy wysunęły jej się spod czapki. Zaczęła upychać je z powrotem, ale dziecko sięgnęło i pociągnęło za kosmyk.

– Posy, zostaw panią! – Jedna z kobiet zaczęła do nich podchodzić. – Przepraszam! – dodała z uśmiechem. – Małej podoba się twoja fryzura.

Glass również się uśmiechnęła, lecz nic nie powiedziała. Nauczyła się ukrywać swój akcent z „Feniksa”, ale im mniej mówiła, tym lepiej.

– Chodź już, Posy – rzuciła kobieta, kładąc dłoń na ramieniu dziecka i zabierając je.

Było już po dziewiątej i kometa mogła pojawić się w każdym momencie. Na pokładzie obserwacyjnym „Feniksa” wszyscy zapewne czekali na jej przelot w pełnej uszanowania ciszy. Tutaj dzieciaki śmiały się i skakały, a grupka nastolatków głośno odliczała.

Glass rozejrzała się po korytarzu, lecz Luke wciąż się nie pojawiał.

– Patrzcie! – zawołała głośno jakaś dziewczynka.

Ponad krawędzią Księżycy pojawiła się biała linia. Zamiast szybko zniknąć, kometa rosła w oczach, a jej ogon, stopniowo coraz lepiej widoczny, rozjaśniał przestrzeń wokół, tak że przygaszał blask gwiazd.

Glass pochyliła się zafascynowana, a para młodych ludzi wyglądających przez najbliższe okno przesunęła się i zrobiła jej miejsce. „Jest taka piękna – pomyślała z zachwytem Glass. – I straszna”. Kometa rosła w oczach, wypełniając całe pole widzenia, jakby leciała prosto na nich.

Czyżby ktoś pomylił się w obliczeniach? Glass przycisnęła dłonie do okna tak mocno, że jego krawędź zaczęła wrzynać się w jej ciało. Wokół ludzie zaczęli cofać się, szepcząc lub wydając przestraszone okrzyki.

Zamknęła oczy. Nie mogła znieść blasku.

Wtem objęło ją czyjeś ramię. Nie musiała się nawet odwracać – wiedziała, że to Luke. Poznała go po zapachu i dotyku.

– Szukałam cię – powiedziała, otwierając oczy i patrząc na niego. Przed nimi rozgrywało się największe wydarzenie astronomiczne ich życia, ale on nie odrywał wzroku od jej twarzy.

– Miałem nadzieję, że przyjdiesz – szepnął jej do ucha.

Niespokojne pomruki tłumu ustąpiły miejsca okrzykom zdziwienia, kiedy kometa w ognistym blasku przeleciała nad statkiem. Ramię Luke’a objęło ją ciśniej, aż oparła się o niego.

– Nie wyobrażałam sobie, żeby oglądać to bez ciebie – odpowiedziała również szeptem.

– Wymknęłaś się bez problemu?

– Tak, bez najmniejszego. – Ścisnęło ją w dołku na myśl o matce stojącej obok wicekanclerza. – Chciałabym, żebyśmy nie musieli się ukrywać. – Musnęła palcami jego policzek.

Luke uniósł jej dłoń do ust.

– Może jest jakiś sposób, żeby twoja matka zmieniła zdanie? – rzekł z powagą. – Może z nią pogadam? Wiesz, żeby dowieść, że nie jestem prostakiem i poważnie traktuję przyszłość – n a s z ą przyszłość. Ciebie też traktuję serio.

Glass uśmiechnęła się słabo.

– Chciałabym, żeby to było takie łatwe.

– Mówię poważnie. – Objął jej dłonie swoimi. – Twoja mama myśli, że jestem tylko jakimś dupkiem z „Waldena”,

który próbuje cię wykorzystać. Ale gdyby wiedziała, że to nie tylko przygoda, że to prawdziwe uczucie...

– Wiem – odparła Glass, ściskając jego dłoń. – Doskonale wiem.

– Nie sądzę – rzekł Luke, wyciągając coś z kieszeni. Popatrzył na nią poważnie, nie mrugając.

– Glass – zaczął, a jego oczy zabłyśły. – Nie chcę spędzać z tobą tylko kolejnego dnia. Chcę co noc zasypiać i co rano budzić się u twojego boku. Nie chcę nikogo innego poza tobą, przez całe życie.

Wyciągnął ku niej dłoń, na której spoczywał mały złoty przedmiot. Jej naszyjnik.

– Wiem, że to nie pierścionek, ale...

– Tak – powiedziała po prostu.

Kometa rozświetlała złotem przestrzeń za oknem, a jej nie pozostało nic innego, jak tylko założyć naszyjnik i pocałować chłopaka, którego kochała do bólu.



# ROZDZIAŁ 29

## Bellamy

Bellamy nie mógł zasnąć. W jego mózgu tłoczyły się myśli, a każda z nich domagała się uwagi tak natarczywie, że trudno było je odsiać.

Patrząc w gwiazdy, próbował sobie wyobrazić, co dzieje się na statku. To było dziwne – myśleć o tym, jak w kosmosie, setki kilometrów stąd, płynnie codzienne życie, mieszkańcy „Waldena” i „Arkadii” harują w pocie czoła, a eleganci na „Feniksie” przechwalają się strojami na pokładzie obserwacyjnym, ignorując gwiazdy. Widok kosmicznej przestrzeni był jedyną rzeczą w Kolonii, za którą tęsknił. Przed zesłaniem na Ziemię słyszał o oczekiwanym przelocie komety, która ze statków musiała wyglądać imponująco.

Zmrużył oczy w ciemności, próbując ustalić, ile dni już spędzili na Ziemi. Jeżeli dobrze liczył, kometa powinna pojawić się tego wieczoru. Na „Feniksie” przygotowano uroczystą imprezę, a na „Waldenie” i „Arkadii” ludzie bawili się pewnie mniej formalnie. Usiadł i uważnie

popatrzył w niebo. Na polanie drzewa zasłaniały zbyt dużą jego część, ale z grzbietu wzgórza miałyby dużo lepszy widok.

Octavia spała przy nim spokojnie, z lśniącoymi włosami rozsypanymi wokół twarzy i czerwoną wstążką zawiązaną wokół nadgarstka.

– Zaraz wracam – wyszeptał, a potem wstał i puścił się biegiem przez polanę.

Gęsta pokrywa liści blokowała większość światła gwiazd, ale chodził tędy na polowania tyle razy, że teraz całą okolicę znał jak własną kieszeń. Wdrapywał się na każde wzniesienie, skręcał, gdzie trzeba, omijał ukryte pnie. Gdy w końcu dotarł na grzbiet, zatrzymał się na chwilę, by złapać oddech. Chłodne nocne powietrze rozjaśniło mu w głowie, a palące zmęczeniem po biegu mięśnie przerwały galopadę myśli.

Rozgwieżdżone niebo wyglądało tak samo, jak każdej innej nocy po ich lądowaniu na Ziemi, a mimo to było w nim coś dziwnego. Gwiazdy pulsowały, naładowane energią, jakby czekały na coś ważnego. A potem, nagle, stało się. Na niebie pojawiła się kometa, złota smuga wśród migoczącego srebra gwiazd rozjaśniająca wszystko naokoło. Jej blask docierał nawet na Ziemię.

Poczuł mrowienie skóry, zupełnie jakby jedna ze złotych iskier przeszła go na wylot i napełniła każdą jego komórkę nową energią i czymś jeszcze – nadzieją. Jutro razem z Octavią odejdą na dobre z obozu. Jutro już na zawsze pozostawią za sobą prawa Kolonii i nikt nie będzie

im mówił, co mają robić ani jak się zachowywać.

Zamknął oczy i wyobraził sobie, jak będzie się czuł. Wolność od wszystkich i wszystkiego – nawet od przeszłości. A może nawet od wspomnień, które prześladowały go przez całe życie.

Biegł korytarzem, puszczając mimo uszu narzekania sąsiadów i puste groźby strażników, którym – jak doskonale wiedział – nie chciało się gonić wyjątkowo szybkiego dziewięciolatka tylko po to, żeby udzielić mu upomnienia. Im bliżej mieszkania, tym bardziej się denerwował. Powtarzało się to od tej strasznej nocy, kiedy złapał matkę na próbie skrzywdzenia Octavii.

Otworzył drzwi i wpadł do środka. Starannie zamknął je za sobą i zawołał:

– Mamo? Octavio? – Czekał, ale odpowiedziała mu tylko cisza. – Mamo? – spróbował znowu.

Wszedł do salonu i zobaczył poprzewracane meble. To musiał być jeden z gorszych dni matki. Ruszył do kuchni, a jego żołądek wił się, jakby próbował uciec przez dziurę w pępku.

Ktoś jęknął. Bellamy podbiegł do matki, która leżała na podłodze w lepkiej kałuży krwi, a obok niej leżał nóż.

Zachłysnął się. Złapał ją za ramię i zaczął nim szaleńczo potrząsać.

– Mamo! – krzyknął. – Obudź się. M a m o !!!

Jej powieki drgnęły tylko, a z ust wydobył się kolejny słaby jęk. Bellamy wstał, zdając sobie sprawę, że nogawki spodni przesiąkły

krwią. Musiał wezwać pomoc.

Wrócił do salonu i już miał pobiec po straż, kiedy usłyszał dźwięk, który sprawił, że zatrzymał się w pół kroku. Drzwi szafy były uchylone. Pomiedzy nimi a ścianą kładła się smuga cienia. Podeszedł do szafy, z której wyrzała zapłakana twarzyczka.

– Wszystko w porządku? – szepnął do siostry, biorąc ją za rękę. – Chodź! – Ona cofnęła się jednak z drzeniem w ciemność. Bellamy popatrzył na dziewczynkę, która bała się wyjść do światła, i strach o matkę odptynął gdzieś daleko. – Chodź, Octavio – zachęcał ją, aż powoli, z wahaniem, znów wysunęła głowę z szafy.

W końcu wyszła z niej całkiem, rozglądając się po pokoju szeroko otwartymi oczami.

– Proszę – rzekł Bellamy, podnosząc czerwoną wstążkę, którą jej dał, z dna szafy. Zawiązał ją na włosach siostry w kokardę, najlepiej, jak umiał. – Ślicznie wyglądasz.

Złapał ją za rękę. Kiedy odpowiedział mu uścisk małych paluszków, poczuł, że serce rozsadza mu czułość. Poprowadził siostrę do sypialni matki, położył na łóżku, a potem skulił obok niej, modląc się, by nie słyszeć już żadnych dźwięków z kuchni.

Leżeli tak, czekając bez ruchu, aż w końcu jęki matki ucichły.

– Wszystko w porządku – powiedział, przyciskając siostrzyczkę do piersi. – Wszystko w porządku. Już nigdy nie będziesz musiała się kryć.

Złoty ślad komety zniknął w ciemności. Bellamy zbiegał ze wzgórza, śpiesząc się, by zdążyć, zanim Octavia się

obudzi i zauważy jego nieobecność. Skręcił pomiędzy drzewami, szukając wzrokiem znajomego zbiorowiska namiotów, ale zobaczył tylko jezioro płomieni.

Obóz był morzem ognia.

Stanął jak wryty, dysząc, kiedy do jego płuc dostał się pierwszy haust przesyconego dymem powietrza. Przez chwilę widział tylko płomienie i cienie, ale potem spośród nich zaczęły wyłaniać się wyraźniejsze kształty. Ludzie biegali we wszystkich kierunkach, jedne postacie wyskakiwały z płonących namiotów, inne pędziły w kierunku drzew.

Ile sił pomknął ku miejscu, gdzie zostawił śpiącą siostrę. Pochłaniała go tylko jedna myśl. Żołądek skręcił mu się z przerażenia w ciasny węzeł, gdy zdał sobie sprawę, że Octavii nie ma.

Zawołał ją, rozglądając się dziko i modląc, by odpowiedziała mu pomiędzy drzew na krawędzi polany, z jakiegoś bezpiecznego schronienia.

– Octavio! – wrzasnął znów, rozglądając się wokół, mrużąc oczy, by dostrzec cokolwiek wśród dymu. „Nie panikuj”, przykazał sobie, ale nic to nie dało. Płomienie rozdierały ciemność, a siostry nigdzie nie było.

Z wyżyn nieba, na którym przed chwilą podziwiał komety, Bellamy został strącony do najgłębszych czeluści piekła.

# ROZDZIAŁ 30

Clarke

Clarke nie była pewna, czy upłynęły minuty, czy godziny, ale przez cały ten czas słyszała tylko bicie ich serc i szmer oddechów. Potem jednak z polany dobiegł ich rozpaczliwy krzyk. Oderwali się od siebie i skoczyli na równe nogi. Wracając do strasznej rzeczywistości, złapała ramię Wellsa, żeby zachować równowagę.

Trzymając się za ręce, pobiegli ku polanie. Usłyszała dalsze krzyki, ale żaden z nich nie przeraził jej tak jak ryk i trzask ognia, od którego włosy stanęły jej dęba.

Morze płomieni rozlewało się nad namiotami, których część już zdążyła się zapaść i zostały z nich tylko dymiące zgliszcza. Ich szczątki przypominały zwłoki porzucane na polu bitwy. Ciemne postacie biegały, szukając schronienia między drzewami, ścigane przez łakome płomienie.

„Thalia!”, pomyślała Clarke z przerażeniem i ruszyła biegiem. Jej przyjaciółka była zbyt słaba, by o własnych siłach wy dostać się z namiotu szpitalnego.

– Nie! – wrzasnął Wells, przekrzykując pomieszane, trwożne głosy. – Clarke, to niebezpieczne!

Jego słowa nie zrobiły na niej większego wrażenia. Krztusząc się dymem, rzuciła się prosto do namiotu szpitalnego. Zamrugła gwałtownie, by zobaczyć cokolwiek w rozżarzonym powietrzu.

Ramię Wellsa zacisnęło się wokół niej jak stalowa obręcz. Chłopak zaczął ją ciągnąć do bezpiecznego schronienia, ku drzewom.

– Puść mnie! – wrzasnęła, szarpiąc się z całej siły.

Wells jednak trzymał ją mocno. Bezradnie patrzyła, jak ogień pochłania szpital oddalony o niecałe sto metrów. Jeden bok namiotu stał w płomieniach, a plastikowa plandeka na szczycie zaczynała się topić. Spomiędzy odsłoniętych klap od frontu buchał dym.

– Z o s t a w mnie! – załkała, próbując się uwolnić.

Zaczął ciągnąć ją głębiej między drzewa.

– Nie! – wrzasnęła gwałtownie, czując, jak to słowo rozrywa jej gardło, i okładając go bezsilnie pięściami. – Muszę ją stamtąd wydostać! – Zaparła się nogami, ale on był silniejszy. – T h a l i a !!!

– Clarke, strasznie mi przykro – wydyszał jej Wells prosto do ucha. Płakał, ale jej to nie obchodziło. – Idziesz po pewną śmierć. Nie pozwolę ci na to.

Słowo „śmierć” wyzwoliło w niej siły, z których istnienia nie zdawała sobie wcześniej sprawy. Zacisnęła zęby i rzuciła się naprzód, błyskawicznie wyrывая się z jego ramion. Skoncentrowała się na rozpaczliwej myśli –

jak ocalić jedyną przyjaciółkę, jaka pozostała jej we wszechświecie.

Krzyknęła, kiedy Wells wykręcił jej ramię za plecami.

– Puść mnie. – Tym razem jej słowa zabrzmiały jak prośba, nie rozkaz. – Błagam, puść mnie!

– Nie mogę – powiedział, obejmując ją znów ramieniem. Głos mu się trząśł. – Nie mogę.

Polana opustoszała. Wszyscy uciekli do lasu, biorąc ze sobą to, co zdołali. Nikt jednak nie pomyślał, by wynieść z namiotu ranną dziewczynę, która płonęła żywcem.

– Pomocy! – zaszlochała Clarke. – Niech jej ktoś pomoże, proszę!

Odpowiedział jej tylko huk i trzask ognia.

Płomienie nad szczytem szpitala urosły, a jego boki zaczęły się chylić ku sobie, tak jakby pożar wciągał cały namiot wraz z zawartością.

– Nie!

Ogień z głośnym trzaskiem skoczył jeszcze wyżej. Clarke jęknęła z przerażeniem, kiedy namiot zapadł się w płomienistej połodze, a potem powoli zaczął rozsypywać w popiół.

Było po wszystkim.

Wychodząc z centrum medycznego, Clarke niemal czuła, jak fiolka pulsuje w jej kieszeni, zupełnie jak w starym opowiadaniu, które Wells znalazł kiedyś w bibliotece. Zaproponował, że przeczyta je na głos, ale stanowczo odmówiła. Literatura grozy sprzed kataklizmu była ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała. Miała



dość przerażających scen w prawdziwym życiu.

Fiolka ta nie wywołałaby u nikogo żywszego bicia serca, wręcz przeciwnie. Toksyčna mieszanka lekarstw powinna zatrzymać każde serce raz na zawsze.

Wróciła do domu, ale rodziców jeszcze nie było. Chociaż przez ostatnie parę tygodni spędzali większość dnia w laboratorium, zawsze znaleźli wymówkę, żeby wyjść tuż przed powrotem córki ze szkolenia, i rzadko wracali, zanim zasnęła. Tak było lepiej. Im gorzej wyglądała Lilly, tym bardziej Clarke wściekała się na rodziców. Wiedziała, że to niesprawiedliwe – gdyby ktokolwiek zaprotestował, wicekanclerz błyskawicznie nakazałby stracić jej matkę i ojca, a ją samą aresztował. Niestety, ta wiedza w żaden sposób nie ułatwiała jej kontaktów z rodzicami.

W laboratorium panowała cisza. Gdy Clarke szła przez labirynt pustych łóżek, towarzyszył jej tylko szum wentylacji. Cichy gwar rozmów ustawał stopniowo w ciągu ubiegłych dni, w miarę jak coraz więcej dzieci zniknęło z sali.

Lilly wyglądała jeszcze mizerniej niż dzień wcześniej. Clarke podeszła do łóżka i delikatnie przesunęła dłonią po ramieniu przyjaciółki. Zadrżała, widząc, jak odpadają z niego strzępki skóry. Włożyła drugą dłoń do kieszeni i zacisnęła palce na fiolce. To byłoby takie łatwe! I nikt by się nie dowiedział.

Wtedy jednak półprzeźroczyste powieki Lilly otwały się szeroko i Clarke zamarta. Patrzyła chorej prosto w oczy, a po plecach przechodziły jej zimne dreszcze przerażenia i wstrętu. O czym przed

chwilą pomyślała?! Owładnęła nią wszechogarniająca chęć, by zniszczyć fiolkę. Zaczerpnęła głęboko powietrza i z olbrzymim wysiłkiem powstrzymała się przed roztrzaskaniem jej o ścianę.

Usta Lilly poruszyły się, ale nie wyszedł z nich żaden dźwięk. Clarke pochyliła się nad nią i uśmiechnęła z zakłopotaniem.

– Przepraszam, nie dostyszałam, Lil. – Przysunęła ucho do twarzy przyjaciółki. – Co powiedziałaś?

W pierwszej chwili Clarke poczuła na skórze tylko bezdźwięczny powiew, jakby w płucach Lilly nie pozostało dość powietrza, by wypchnąć słowa z ust. Potem jednak usłyszała słaby jęk:

– Przyniosłaś?

Clarke podniosła głowę i spojrzała prosto w spanikowane brązowe oczy. Powoli skinęła głową.

Dobiegło ją prawie niesłyszalne:

– Zrób to od razu.

– Nie – zaprotestowała drżącym głosem. – Jeszcze nie. – Zamrugła, żeby ukryć napływające jej do oczu łzy. – Może jeszcze poczujesz się lepiej – powiedziała, ale to kłamstwo nawet w jej uszach zabrzmiało nieprzekonująco.

Lilly skrzywiła się z bólu, a Clarke dotknęła jej dłoni.

– Proszę... – ochryple szepnęła chora.

– Przepraszam. – Clarke delikatnie ucisnęła dłoń przyjaciółki, a na jej policzkach załśniły dwie strużki łez. – Nie potrafię.

Żrenice Lilly rozszerzyły się. Clarke gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Lil?

Chora nie odpowiedziała. Patrzyła na coś, czego nie widział nikt inny, coś, co wypełniało jej oczy przerażeniem. Fizyczny ból targający jej ciałem był straszny, ale jeszcze gorsze były halucynacje. Urojone demony nie opuszczały jej ani na chwilę.

- Nie chcę!

Clarke zamknęła oczy. Dokuczały jej poczucie winy i wyrzuty sumienia, nieporównywalne jednak z tym, co czuła Lilly. Postąpiłaby samolubnie, gdyby ze strachu odmówiła przyjaciółce spokoju i ulgi w cierpieniu, na którą zasługiwała.

Trzęsa się tak mocno, że ledwie zdołała wyjąć z kieszeni fiolkę i napełnić strzykawkę. Stała koło łóżka i ujęła ramię chorej w jedną dłoń, drugą wkuwając się w żyłę.

- Dobranoc, Lil - wyszeptała.

Lilly słabo przytaknęła i uśmiechnęła się do niej. Clarke zdała sobie sprawę, że zapamięta ten uśmiech do końca życia.

- Dziękuję...

Trzymała dłoń przyjaciółki przez kilka minut, aż ta straciła przytomność. Potem wstała i sprawdziła puls.

Lilly odeszła.

Clarke osunęła się na mokrą ziemię, łapczywie chwytając chłodne powietrze, a potem przetoczyła się na bok. Przez łzy widziała niewyraźne sylwetki ludzi. Stali wokół niej nieruchomo, milcząc.

Stracili wszystko. Lekarstwa. Jedzenie. Odeszła jej najlepsza przyjaciółka, jedyna osoba, która ją naprawdę

znała, która wiedziała, co stało się z Lilly, a mimo to nadal kochała Clarke. Thalia kazała jej naprawić stosunki z Wellsem – a teraz to on przytrzymał Clarke, podczas gdy Thalia umierała na ich oczach.

– Tak mi przykro – powiedział chłopak, próbując ją objąć.

Odepchnęła jego dłoń.

– Nie wierzę ci – odparła zimno i spokojnie.

W jej sercu tlił się gniew, który potrzebował jeszcze tylko trochę żalu i furii, żeby rozgorzeć piekielnym ogniem.

– To ci się nie mogło udać – wyjąkał. – Ja... nie mogłem cię puścić. Zginęłabyś.

– Aha, więc pozwoliłeś, żeby zamiast mnie odeszła Thalia... Bo to ty decydujesz, kto ma żyć, a kto umrzeć. – Zaczął protestować, ale ona ciągnęła dalej, trzęsąc się z wściekłości: – Dzisiaj wieczorem bardzo się pomyliłam. Niszczysz wszystko, czego się tkniesz.

– Clarke, proszę. Ja...

Wstała, strząsnęła z siebie płatki popiołu i weszła między drzewa, nie oglądając się wstecz.

Wszyscy ubrudzili się popiołem, wszyscy mieli w oczach łzy. Wells jednak miał na rękach coś jeszcze – cudzą krew.

# ROZDZIAŁ 31

Glass

– Znajdę jakiś pierścionek na bazarze – oświadczył Luke, obejmując Glass w pól i prowadząc zatłoczonymi korytarzami z powrotem na „Feniksa”. Ludzie, którzy zebrali się, by oglądać komety, wracali do mieszkań na niższych pokładach. Oni jedyni przedzierali się pod prąd ku wejściu do rękawa między statkami. Glass ledwie zdawała sobie sprawę z kierunku, w którym podążali. Serce waliło jej ze szczęścia i cała się trzęsła, ale nie przeszkadzało jej to trzymać Luke’a mocno za rękę.

– Nie potrzebuję pierścionka.

Dotknęła naszyjnika, który wydawał się promieniować ciepłem. W najbliższym czasie nic nie powinno się zmienić. Glass za kilka tygodni stanie się pełnoletnia, ale nie mogą ryzykować ślubu, dopóki kanclerz nie obudzi się i nie potwierdzi jej ułaskawienia – lub póki nie zaśnie na wieki. Matka w końcu wszystko zrozumie, gdy tylko zobaczy, jak bardzo Luke kocha jej córkę. Któregoś dnia pobiorą się i wystąpią o pozwolenie na założenie rodziny.

Teraz jednak wystarczyła jej do szczęścia sama obietnica wspólnej przyszłości.

– Tak jest idealnie! – dodała.

Z klatki schodowej skierowali się ku korytarzowi prowadzącemu do połączenia. Luke zatrzymał się raptem i przyciągnął Glass do siebie, żeby przepuścić kilkunastu biegnących strażników. Przemknęli koło nich ze wzrokiem skierowanym przed siebie, tak blisko, że rękawy ich mundurów otarły się o ramię Glass. Zadrżała i przytuliła się do Luke’a, który patrzył za nimi z dziwnym wyrazem twarzy.

– Wiesz, co się dzieje? – zapytała.

– Na pewno nic ważnego – odparł odrobinę zbyt szybko. Napięta twarz przeczyła słowom. Uniósł jej dłoń ku ustom i pocałował ją. – Chodźmy.

Uśmiechnęła się, gdy ruszyli. Tupot butów strażników znikł już w oddali i teraz mieli dla siebie cały korytarz. Nagle Luke zatrzymał się i podniósł jej ramię do góry. Zanim zdołała spytać, co robi, obrócił ją i przegiął do tyłu.

Roześmiała się, kiedy objął ją w talii i porwał do tańca na pustym korytarzu.

– Co w ciebie wstąpiło?

Zatrzymał się i przytulił ją jeszcze mocniej, a potem schylił się i wymruczał jej do ucha:

– Kiedy jestem z tobą, słyszę muzykę. – Glass zamknęła oczy z uśmiechem, podczas gdy kołysali się z boku na bok.

W końcu puścił ją i wskazał wejście do rękawa prowadzącego na „Feniksa”.

– Już prawie godzina policyjna – przypomniał.

– No dobrze – zgodziła się z westchnieniem.

Poszli ku przejściu, trzymając się za ręce i wymieniając znaczące uśmiechy, od których każda komórka w ciele Glass wrzała podnieceniem. Przy wejściu przystanęli, ociągając się z pożegnaniem. Luke powiódł palcem po naszyjniku.

– Kocham cię – powiedział, ściskając jej dłoń, a potem lekko ją popchnął. – Daj mi znać, jak tylko będziesz w domu. Przyjdę jutro pogadać z twoją mamą.

– Dobrze – zgodziła się. – Do jutra.

W końcu odwróciła się i ruszyła rękawem. Była mniej więcej w połowie, kiedy w pustej przestrzeni rozległ się głośny, przenikliwy dźwięk. Rozejrzała się, zbita z tropu. Od strony „Feniksa” grupa strażników złamała szyk, ktoś wywarkiwał rozkazy. Glass zamarła, gdy dźwięk zabrzmiał głośniejsze i bardziej natarczywie. Obróciła się, by spojrzeć na Luke’a, który zrobił kilka niepewnych kroków w jej kierunku.

– Zamykamy przejście – rozległ się przez megafony bezcielesny kobiecy głos. – Proszę opuścić teren. Po krótkiej przerwie głos powtórzył: – Zamykamy przejście. Proszę opuścić teren.

Glass gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy na końcu rękawa zaczęła opadać gródź. Rzuciła się naprzód, a Luke ruszył biegiem od swojej strony, ale oboje byli zbyt daleko.

Dobiegła do przezroczystej przegrody w chwili, gdy ta dotykała już podłogi, i uderzyła w nią dłonią. Luke

gwałtownie zatrzymał się po drugiej stronie. Coś mówił, ale mimo że Glass widziała, że jego usta się poruszają, nic nie słyszała.

Jej oczy napełniły się łzami, kiedy patrzyła, jak sfrustrowany wali pięściami w szkło. Nic nie rozumiała. Rękawa nie zamykano od wybuchu epidemii w pierwszym stuleciu istnienia Kolonii. Jeżeli opuszczono gródź, to znaczyło, że już nigdy mogła się nie podnieść.

– Luke! – krzyknęła, ale słowa nie mogły pokonać bariery pomiędzy nimi. Przycisnęła dłoń do szklanej tafli. Patrzyli sobie prosto w oczy.

– Kocham cię – powiedziała.

Luke przytknął dłoń do przezroczystej ściany od swojej strony i przez chwilę Glass wydawało się, że czuje bijące od niego ciepło.

– Ja też cię kocham – odczytała z ruchu jego ust.

Uśmiechnął się smutno i pokazał jej gestem, żeby odeszła. Nie chciała jednak tego robić, nie wiedząc, co się dzieje i kiedy znów go spotka. Alarm wciąż dźwięczał im w uszach.

– Idź już – polecił Luke z poważną miną.

Glass skinęła głową i poszła, zmuszając się, by patrzeć przed siebie. Zanim jednak opuściła rękaw na dobre, po raz ostatni zerknęła przez ramię. Luke nie poruszył się. Wciąż stał przy grodzi, z dłonią na szybie.

Resztę drogi do domu pokonała biegiem, przeciskając się przez tłumy spanikowanych cywilów i strażników o kamiennych twarzach.



– Och, dzięki Bogu – wyrzuciła z siebie Sonja, kiedy Glass wpadła do mieszkania. – Tak się martwiłam! – Wepchnęła córce w rękę dzbanek. – Napełnij go w łazience. Nie wiadomo, na jak długo wystarczy wody.

– Ale co się dzieje? – zapytała Glass. – Zamknęli rękaw między statkami!

– A cóż ty tam robiłaś? – zdumiała się matka. Zmierzyła ją wzrokiem, dopiero teraz dostrzegając strój, w który Glass przebrała się po imprezie widokowej. – Aha... – na jej zmęczonej twarzy pojawiło się zrozumienie. – Znów tam byłaś...

– Co się dzieje? – powtórzyła Glass, ignorując pełne dezaprobaty spojrzenie matki.

– Nie wiem, ale mam przecucie... – Sonja zawiesiła głos, a potem zacisnęła usta. – Myślę, że to ten dzień. Ten, którego się wszyscy obawialiśmy.

– O czym ty mówisz?

Matka zabrała dzbanek i obróciła się w stronę zlewu.

– Nasz statek nie został zaprojektowany, żeby przetrwać tak wiele lat. Wszyscy wiedzieli, że to tylko kwestia czasu, zanim coś się zepsuje.

Woda zaczęła przelewać się z przepełnionego dzbanka, ale Sonja nie reagowała.

– Mamo?

Matka w końcu zamknęła dopływ wody i obróciła się ku Glass.

– To śluza – powiedziała cicho. – Było przebicie. – Z korytarza dobiegł ich krzyk. Matka rzuciła wzrokiem na

drzwi, uśmiechnęła się z wysiłkiem i ciągnęła dalej: – Ale nie martw się, na „Feniksie” mamy rezerwę tlenu. Wszystko będzie w porządku do czasu naprawy. Przyrzekam ci, kochanie, jakoś to przetrwamy.

Glass zmartwiła z przerażenia, gdy dotarło do niej znaczenie tych słów.

– Ale co to wszystko ma wspólnego z rękawem? – zapytała cicho.

– Na „Arkadii” i „Waldenie” kończy się już tlen, więc władze przedsięwzięły stosowne środki bezpieczeństwa...

– Nie – wyszeptała Glass. – Rada pozwoli, żeby wszyscy tam u m a r l i ?

Sonja podeszła i ścisnęła ramię córki.

– Musieli coś zrobić albo nikt by nie przeżył... – zaczęła, lecz córka ledwie słyszała jej słowa. – To jedyny sposób, by ochronić Kolonię.

– Muszę go znaleźć – oznajmiła Glass drżącym głosem.

Chwiejnie ruszyła naprzód. W jej głowie słowa i obrazy tłoczyły się i odbijały od siebie w panice, nie układając się w sensowną całość.

– Glass – odezwała się matka ze współczuciem w głosie. – Strasznie mi przykro, ale nic z tego. Nie możesz tam iść. Zamknęli wszystkie przejścia. – Podeszła i objęła córkę. Glass usiłowała się wyswobodzić, lecz Sonja tylko wzmocniła uścisk. – Nic nie możemy zrobić.

– Kocham go! – załkała dziewczyna.

– Wiem. – Matka chwyciła jej dłoń. – Jestem pewna, że on też cię kocha... ale może właśnie tak będzie lepiej. –

Uśmiechnęła się smutno, a uśmiech ten wzbudził w Glass dreszcz przerażenia. – W ten sposób przynajmniej nie musisz się z nim żegnać... na zawsze.

# ROZDZIAŁ 32

Wells

Wells patrzył, jak Clarke znika pomiędzy drzewami. Czuł się tak, jakby przebiła mu żebra i wyrwała kawałek serca. Ledwie docierał do niego triumfalny ryk płomieni pochłaniających zapasy, namioty... i wszystkich, którzy mieli pecha pozostać w środku. Wokół niego kilka osób leżało na ziemi, łapczywie oddychając lub trzęsąc się ze zgrozy. Większość stała jednak nieruchomo w zwartej grupie, bez słowa patrząc na szalejący ogień.

– Wszyscy cali? – zapytał Wells chrapliwie. – Kogo brakuje?

Odrętwienie, które opanowało go po słowach Clarke, ustąpiło miejsca gorączkowej energii. Podszedł do brzegu polany i osłaniając dłonią oczy, próbował sięgnąć wzrokiem przez ścianę płomieni. Nikt nie odpowiedział, więc powtórzył jeszcze raz, głośniejsz:

– Czy wszyscy wyszli cało?

Słabe głosy potwierdzenia rozeszły się falą wśród grupy.

– Nie musimy uciekać dalej? – zapytała drżącym głosem dziewczynka z „Waldena” i na wszelki wypadek odsunęła się głębiej w las.

– Nie wygląda na to, żeby pożar się rozszerzał – odparł ochryple jeden z chłopaków z „Arkadii”.

Obok niego stało kilka pokiereszowanych kanistrów na wodę i poczerniałych zasobników, które wyniósł z obozu.

Miał rację. Pas trawy otaczający obóz był wystarczająco szeroki, żeby płomienie pożerające namioty nie sięgały nawet najniższych gałęzi.

Wells odwrócił się, szukając w ciemności Clarke, ale zniknęła już wśród leśnych cieni. Każda cząstka jego ciała domagała się, by ruszył jej szukać, ale wiedział, że to beznadziejna sprawa.

Clarke miała rację. Niszczył wszystko, czego się tknął.

– Wyglądasz na zmęczonego – zauważył kanclerz, mierząc syna wzrokiem przez zastawiony do obiadu stół.

Wells podniósł wzrok znad talerza i zaprzeczył sucho:

– Czuję się świetnie.

Tak naprawdę nie spał od wielu dni. Pamięć wciąż podsuwała mu obraz Clarke, rozwścieczonej, a potem przerażonej, gdy strażnicy wywlekali ją z sali rozpraw. Pomiedzy uderzeniami serca wciąż słyszał jej udręczony krzyk.

Po procesie błagał ojca, by uchylił zarzuty przeciwko dziewczynie. Przysięgał, że nie miała nic wspólnego z badaniami i że związane z nimi poczucie winy niemal ją zabiło. Kanclerz stwierdził jednak, że nie jest w stanie tego zrobić.

Wells wiercił się niespokojnie. Ledwie mógł znieść fakt, że przebywają z ojcem na tym samym statku, a co dopiero przy jednym stole. Musiał jednak zachować pozory uprzejmości. Gdyby pozwolił sobie na wybuch gniewu, ojciec oskarżyłby go o irracjonalność i niedojrzałość, które nie pozwalają mu zrozumieć, jak działa prawo.

– Wiem, że jesteś na mnie wściekły – rzekł kanclerz i tyknął wody. – Nie mogę jednak uchylić wyniku głosowania. Po to właśnie jest rada, żeby w rękach jednej osoby nie skupiała się zbyt wielka władza. – Spojrzał na czip migający w jego zegarku, a potem znów na Wellsa. – Kodeks Gai i tak już jest wystarczająco surowy. Nie możemy rezygnować z resztek wolności, jakie nam pozostały.

– Twierdzisz więc, że nawet jeśli Clarke jest niewinna, warto pozwolić jej umrzeć, by utrzymać przy życiu d e m o k r a c j ę ?

Kanclerz zmierzył syna wzrokiem, pod którym jeszcze kilka dni wcześniej młody człowiek cofnąłby się razem z krzykiem.

– Twierdzą, że „niewinna” to rzecz względna. Nie zaprzeczysz, że wiedziała o eksperymentach.

– Rhodes zmusił jej rodziców do prowadzenia ich w taki sposób. To on powinien zostać ukarany!

– Dość – przerwał mu kanclerz głosem tak chłodnym, że niemal ugasił płomień gniewu Wellsa. – Nie będę słuchał tych herezji w moim własnym domu.

Chłopak miał na końcu języka ostrą ripostę, ale przerwał mu dźwięk dzwonka. Ojciec uciszył syna jednym spojrzeniem, a potem otworzył drzwi i wpuścił do mieszkania... wicekanclerza.

Wells z wysiłkiem ukrył nienawiść, kiedy Rhodes powitał go skinieniem głowy. Podążając za gospodarzem do gabinetu, wicekanclerz jak zwykle wyglądał na zadowolonego z siebie. Wells wstał od stołu, dopiero gdy zniknęli za drzwiami. Powinien teraz zamknąć się w swoim pokoju, jak zawsze, gdy ojciec spotykał się z kimś w domu.

Zrobiłby tak – kilka dni wcześniej. Kilka dni wcześniej nie ośmieliłby się również podsłuchiwać prywatnej rozmowy. Teraz jednak nie dbał o to. Podkradł się do drzwi i przycisnął do nich ucho.

– Łądowniki są gotowe – mówił Rhodes. – Nie ma powodu dalej zwlekać.

– Jest mnóstwo powodów. – W głosie ojca zabrzmiała nuta rozdrażnienia, jakby dyskutował na ten temat wiele razy. – Wciąż nie mamy pewności, czy poziom promieniowania jest bezpieczny.

Wells gwałtownie wciągnął powietrze i zamarł, starając się, by jego oddech nie zakłócił ciszy, jaka zapadła za drzwiami.

– Dlatego właśnie opróżniamy więzienie. Przesłane mogą czasem okazać się bardzo użyteczni.

– Nawet Odosobnione dzieciaki zasługują na szansę, Rhodes. Pamiętaj, że w osiemnaste urodziny mają prawo do ponownej rozprawy.

Wicekanclerz szyderczo wyduł usta.

– Doskonale wiesz, że nikt nie zostanie utaskawiony. Nie możemy sobie pozwolić na marnowanie zasobów Kolonii. Poza tym mamy coraz mniej czasu.

„O co mu chodzi? Dlaczego mielibyśmy mieć mniej czasu?“, pomyślał Wells, ale zanim zdążył się nad tym zastanowić, ojciec przerwał rozmówcy:

– Raporty są znacznie przesadzone. Mamy dość tlenu przynajmniej na kilka lat.

– A co potem? Każesz wszystkim wsiąść do ładowników z nadzieją, że jakoś to będzie?

– Wyślemy młodocianych przestępców, tak jak sugerujesz... ale jeszcze nie teraz. Zaczekamy, dopóki nie będzie innego wyjścia. Chyba że przeciek w sektorze C14 powiększy się, wtedy zostanie nam naprawdę niewiele czasu. Pierwsi więźniowie zostaną wysłani za rok.

– Jeśli uważasz, że tak będzie najlepiej...

Wells usłyszał, że wicekanclerz wstaje z krzesła. Bezgłośnie przebiegł do swojego pokoju i rzucił się na łóżko. Gapił się w sufit, usiłując uporządkować podstuchane informacje. Kolonia ledwie łapała oddech. Pozostało im tylko kilka lat w kosmosie.

I nagle wszystko wskoczyło na swoje miejsce. To dlatego żadnego z Odosobnionych nie utaskawiano podczas ponownego procesu: Na statku nie było dość zasobów, żeby utrzymać przy życiu wszystkich mieszkańców. Ta myśl go przeraziła, ale następna, która przyszła mu do głowy, była jeszcze straszniejsza: osiemnaste urodziny Clarke wypadły za pół roku. Wells wiedział, że nie uda mu się przekonać ojca do utaskawienia dziewczyny. Zestanie na Ziemię mogło dać jej drugą szansę... tylko że misja rozpocznie się dopiero



za rok! Jeżeli czegoś nie zrobi, Clarke zostanie stracona.

Jedyną szansą było przyspieszenie startu wyprawy, tak by pierwsza grupa została wysłana od razu.

Zaczął obmyślać przerażający plan. Gdy zdał sobie sprawę, co musi zrobić, gardło ścisnęło mu się ze strachu. Wiedział jednak, że nie ma innego sposobu. Jeżeli chce ocalić dziewczynę, którą kocha, musi narazić na niebezpieczeństwo wszystkich ludzi.

# ROZDZIAŁ 33

## Bellamy

Bellamy ześlizgnął się z drzewa i zeskokczył na ziemię. Czuł się pusty i wypalony jak wrak lądownika. Szukał Octavii od wielu godzin, przedzierając się przez las i wykrzykując jej imię, aż ochryplł, ale odpowiadała mu tylko doprowadzająca do szaleństwa cisza.

– Hej – przerwał te niewesołe myśli czyjś zmęczony głos.

Bellamy odwrócił się i zobaczył nadchodzącego powoli Wellsa. Jego twarz była usmarowana sadzą, a skóra na lewym przedramieniu mocno podrapana.

– Jak poszukiwania?

Bellamy potrząsnął głową.

– Tak mi przykro... – Wells zacisnął usta i na dłuższą chwilę wbił wzrok w ziemię. – Jeżeli cię to pocieszy, to nie sądzę, żeby tu była. Przeszukaliśmy polanę dość dokładnie. Udało się uciec wszystkim, poza... – Zamilkł.

– Wiem – odparł cicho Bellamy. – Naprawdę mi przykro. Jestem pewien, że zrobiłeś wszystko, na co cię

było stać.

Wells skrzywił się.

– Sam nie wiem, na co mnie stać. – Tamten spojrzął na niego zmieszany, ale zanim zdołał się odezwać, Wells uśmiechnął się do niego. – Wkrótce ją znajdziesz. Nie przejmuj się – powiedział, a potem powlókł się z powrotem w kierunku polany, gdzie kilka osób przesiewało popioły, szukając tego, co przetrwało żar.

W różanym świetle świtu Bellamy niemal mógł uwierzyć, że przerażające wydarzenia ostatnich kilku godzin były tylko koszmarnym snem. Płomienie dawno już wygasły, a trawa w wielu miejscach została wypalona, ale grunt pod nią był wilgotny. Ogień nie sięgnął drzew, które wyciągały nietknięte liście do słońca, nieświadome tragedii, która rozegrała się pod nimi. Bellamy wiedział, na czym polega problem z opłakiwaniem ludzi: nie można było się spodziewać, że ktokolwiek inny tak samo się nimi przejmie. Każdy musiał nieść swoje cierpienie sam.

Słyszał, jak kilka osób kłóci się na temat przyczyny pożaru: czy to wiatr przyniósł z ogniska iskrę, która podpaliła namioty, czy też ktoś nie zachował ostrożności.

Bellamy’ego ani trochę nie obchodziło, co się zapaliło i dlaczego. Interesował go tylko los Octavii. Czy zgubiła się podczas ucieczki w bezpieczne miejsce, czy też opuściła obóz jeszcze przed wybuchem pożaru? A jeżeli to drugie, to dlaczego?

Stał na drżących nogach, opierając się o pień. Nie mógł odpoczywać, kiedy jego siostra być może była

w niebezpieczeństwie. Teraz, w dziennym świetle, rozpocznie poszukiwania na nowo i zapuści się jeszcze dalej, bez względu na to, ile czasu mu to zajmie. Nie spocznie, dopóki jej nie odnajdzie.

Wszedł głębiej w cień lasu i odetchnął z ulgą, uciekając od wulgarnie jaskrawego światła słońca. Wolał być sam... i wtedy jego wzrok spoczął na postaci przedzierającej się ku niemu. Zatrzymał się i zmrużył oczy, by dojrzeć, kto zbliża się pomiędzy zielonymi cieniami. To była Clarke.

– Hej – pozdrowił ją ochryple, czując niepokój na widok jej bladej, ściągniętej twarzy. – Dobrze się czujesz?

– Czy Thalia nie żyje? – zapytała takim tonem, jakby miała nadzieję, że Bellamy zaprzeczy.

On jednak skinął powoli głową.

– Przykro mi...

Zatrzęsa się, a on instynktownie przyciągnął ją do siebie i wziął w ramiona. Stał tak przez dłuższą chwilę, przytulając do siebie drżącą dziewczynę.

– Tak bardzo mi przykro – wyszeptał w jej włosy.

W końcu Clarke wyprostowała się i cofnęła z westchnieniem. Łzy nadal ciekły jej po twarzy, ale oczy miała jasne, a policzki lekko się zaróżowiły.

– Gdzie twoja siostra? – zapytała, wycierając twarz dłonią.

– Nie tutaj. Szukałem jej przez całą noc, ale było zbyt ciemno. Właśnie idę na dalsze poszukiwania

– Czekał. – Clarke sięgnęła do kieszeni. – Znalazłam to w lesie. Za strumieniem, od strony tej wielkiej formacji

skął.

Włożyła mu coś do ręki. Odetchnął głęboko, kiedy jego palce poczuły znajomy dotyk satyny. Czerwona wstążka Octavii.

– Czy była przywiązana do drzewa? – zapytał słabo, nie wiedząc, jaką odpowiedź by wołał.

– Nie. – Brudna twarz Clarke zmiękła. – Znalazłam ją na ziemi, musiała jej w którymś momencie spaść. Miała ją na sobie wczoraj wieczorem, prawda?

– Tak sądzę – odparł Bellamy, gorączkowo starając się przypomnieć sobie obrazy sprzed kilku godzin. – Tak, na pewno miała ją na sobie, kiedy szła spać.

– Świetnie – stwierdziła Clarke z nagłą pewnością w głosie. – To oznacza, że Octavia opuściła obóz, zanim zaczęło się palić. Zobacz – dodała, odpowiadając na pytające spojrzenie Bellamy’ego – nie ma na niej popiołu. Ani śladu osmalenia ogniem.

– Chyba masz rację – przyznał Bellamy, z roztargnieniem przesuwając wstążkę między palcami. – Nie rozumiem tylko, dokąd i po co miałyby iść przed pożarem. – Popatrzył na Clarke. – Byłaś w nocy w pobliżu szpitala? Może coś zauważyłaś?

Dziewczyna pokręciła głową z nieprzeniknioną miną.

– Wyszłam na chwilę – odparła napiętym głosem. – Przykro mi.

– Nic nie szkodzi – odparł Bellamy, wkładając skrawek czerwonego materiału do kieszeni. – Nie zdołałem cię jeszcze przeprosić, a przecież przez ten cały czas miałaś

rację co do Octavii. Przepraszam. – Clarke odpowiedziała skinieniem głowy. – I dziękuję, że powiedziałaś mi o wstążce. Idę szukać siostry.

Zaczął się odwracać, kiedy dłoń Clarke spoczęła na jego ręce.

– Pójdę z tobą.

– To miło z twojej strony, ale nie mam pojęcia, jak to długo potrwa. To nie będzie taka wyprawa jak po lekarstwa.

– Idę z tobą – powtórzyła.

Jej głos brzmiał pewnie, a w oczach pojawiły się iskry, które kazały mu się zastanowić, czy naprawdę chce się jej sprzeciwić.

– Jesteś pewna? – Uniósł brwi. – Wątpię, żeby Wells się ucieszył, jak się dowie.

– Ode mnie tego nie usłyszysz. Między mną i Wellsem wszystko skończone.

W głowie Bellamy’ego kołatały się pytania, których jednak nie zadał na głos.

– No dobrze. – Ruszył naprzód, wskazując gestem, by szła za nim. – Ale muszę cię ostrzec co do jednej rzeczy: w którymś momencie prawdopodobnie będę musiał zdjąć koszulę... – Zerknął przez ramię i zobaczył, jak przez jej twarz przemknął uśmiech – tak ulotny, że mogło to być równie dobrze złudzenie wywołane promieniem słońca przedzierającym się przez liście.

# ROZDZIAŁ 34

## Glass

W Kolonii panowała cisza, nietypowo głęboka nawet jak na pierwszą w nocy. Glass nie spotkała nikogo, biegnąc przez ciemne korytarze oświetlane tylko przyćmionym blaskiem niebieskich świateł alarmowych w podłodze.

Wyślizgnęła się z mieszkania, kiedy matka w końcu poszła spać. Teraz próbowała nie myśleć, co będzie, jeżeli Sonja się obudzi i odkryje, że córka wyszła. Cierpienie i strach wykrzywiłyby jej delikatne rysy, tak jak wiele razy w ciągu ostatnich dwóch lat. Glass nie mogła sobie wybaczyć, że sprawiła matce tyle bólu, ale nie miała wyboru.

Musiała dostać się na „Waldena” – do Luke’a.

Zatrzymała się w połowie schodów prowadzących na pokład F, nad słuchując, czy ktoś się nie zbliża, ale usłyszała tylko własny zdyszany oddech. Albo strażnicy patrolowali inną część statku, albo zostali odesłani na „Waldena” lub „Arkadię”, żeby nie zużywać powietrza zarezerwowanego dla mieszkańców „Feniksa”.

Glass puściła się biegiem przez nieznaną korytarz, wyęzając wzrok w poszukiwaniu metalicznego błysku oznaczającego wlot systemu wentylacyjnego. Pokład F, znajdujący się niemal na samym dnie statku, zajmowały głównie magazyny. Szyb, który pokonała po ucieczce z lądownika, prowadził na pokład F „Waldena”. Miała nadzieję, że ten sam układ został zachowany na „Feniksie”. Szła teraz wolniej, szukając na ścianach wlotu i z każdym krokiem czując coraz większy strach. A jeśli myliła się co do układu wentylacji? Albo przewód łączący „Waldena” z „Feniksem” został dawno zaślepiiony?

Wtedy właśnie dostrzegła błysk metalu. Napięcie w jej ciele zelżało, ustępując miejsca uldze i podnieceniu. Szybko wspięła się na palce, sięgając do kraty, niestety wlot był za wysoko. Westchnęła i rozejrzała się po korytarzu. Na drzwiach brakowało oznaczeń, ale żadne z nich nie były wyposażone w skaner siatkówki. Chwyciła za najbliższą klamkę i pociągnęła. Otworzyły się z piskiem, odsłaniając ciemne wnętrza składziku.

Glass wytoczyła na korytarz niewielką beczułkę, stanęła na niej i zdjęła kratę. Podciągnęła się i zniknęła w ciemnym otworze.

Zadrzała, przypominając sobie, jak czołgała się przez szyb, a metalowe ściany zdawały się naciskać na nią ze wszystkich stron. Sięgnęła do tylnej kieszeni spodni – tym razem przynajmniej wzięła ze sobą latarkę. Skierowała słabe światło przed siebie, ale nie dostrzegła niczego poza rurą wybiegającą daleko naprzód.



Glass wiedziała, że przewód gdzieś przed nią ma drugi wylot. Miała tylko nadzieję, że powietrze nie skończy się, zanim tam dotrze. Jeżeli miała umrzeć, chciała, żeby stało się to w ramionach Luke'a.

Sytuacja na „Waldenie” wyglądała inaczej, niż Glass oczekiwała. Wszędzie działało normalne oświetlenie, a po drodze do mieszkania Luke'a nie spotkała żadnych strażników. Przez chwilę miała nadzieję, że matka się myliła. Być może panika na „Feniksie” była nieporozumieniem? Gdy jednak wspinała się na schody, poczuła, że brakuje jej powietrza. Stała i bezskutecznie próbowała wziąć głębszy oddech. Galopujący puls można było wytłumaczyć; w końcu niecierpliwie pragnęła spotkać się z Lukiem, ale wiedziała, że nie może zignorować oczywistej prawdy. Poziom tlenu na „Waldenie” wyraźnie spadał.

Zwolniła kroku i skierowała się ku mieszkaniu Luke'a. Oddychała ostrożnie, płytko, by utrzymać puls na stałym poziomie. Korytarz był pełen cicho rozmawiających ludzi, rzucających zatrwożone spojrzenia na biegające we wszystkie strony dzieci, podniecone tym, że mimo późnej pory nikt nie każe im iść do łóżka. Pewnie dlatego nie zauważały, z jakim wysiłkiem przychodzi im oddychanie. Glass chciała poradzić rodzicom, żeby uspokoiли swoje pociechy i oszczędzali tlen, ale w ten sposób wzbudziłaby tylko powszechną panikę... a poza tym sytuacja i tak była bez wyjścia.

Ledwie zastukała do drzwi Luke'a, a już otworzył je,

wciągnął ją do środka i wziął w ramiona. Przez chwilę czuła tylko ciepło jego ciała i siłę uścisku. Wreszcie wypuścił ją z objęć i zobaczyła, że troska i obawa biorą górę nad radością.

– Co tutaj robisz? – zapytał, gładząc jej policzek, jakby potrzebował dowodu, że to nie złudzenie. Spojrzał na zamknięte drzwi i obniżył głos. – To niebezpieczne.

– Wiem – odparła spokojnie Glass, ujmując go za rękę.

– Nie wiem, jak się tu dostałaś, ale musisz wracać – stwierdził Luke i pokręcił głową. – Na „Feniksie” masz większą szansę, żeby przeżyć.

– Nie ruszę się stąd bez ciebie.

Westchnął i poprowadził ją ku sofie. Usiedli razem, ona na jego kolanach.

– Słuchaj – powiedział, bawiąc się kosmykiem jej włosów. – Jeżeli strażnicy złapią nas, kiedy będziemy przekradać się na „Feniksa”, zastrzelą mnie i ciebie pewnie też. – Zamknął oczy i skrzywił się. – Szkolono nas na taką okazję, Glass. Nikt nigdy nie powiedział tego otwarcie, ale... wszyscy wyczuwaliśmy, że szykuje się coś wielkiego. Ćwiczyliśmy, co robić w takim wypadku. – Otworzył znów oczy, w których czaiła się zimna furia. Glass nigdy nie widziała go w takim stanie. Musiał zauważyć wyraz jej twarzy, bo jego mina złagodniała. – Nie powinnaś się tym martwić. U ciebie wszystko będzie w porządku, i nic więcej mnie nie obchodzi.

– Nie – zaprotestowała Glass, zdumiona gwałtownością, z jaką wyrzuciła z siebie to słowo. – Nie

będzie w porządku. – Luke uniósł brwi i otworzył usta, ale nie dopuściła go do głosu. – Umrę, jeżeli zostaniesz tu sam. Umrę – powtórzyła, walcząc o oddech. – A jeśli już mam umrzeć, wolę, żeby się to stało tutaj. Przy tobie.

– Ćśśśś – szepnęła Luke, gładząc ją po karku. – Dobrze już, dobrze. Uśmiechnął się smutno. – Najgorsze, co możemy zrobić, to zmarnować tlen na kłótnie.

– Boisz się? – zapytała Glass po dłuższej chwili milczenia.

Luke spojrział na nią i potrząsnął głową.

– Nie – podniósł jej brodę jednym palcem. Patrzyli sobie teraz prosto w oczy. – Nigdy się nie boję, kiedy jestem przy tobie. – Pochylił się i pocałował ją. Zadrżała, kiedy skóra zamrowiała pod jego oddechem.

Odsunęła się i zaśmiała cicho.

– A w ten sposób nie marnujemy tlenu?

– Wręcz przeciwnie – szepnęła Luke, przyciągając ją z powrotem. – Tak go właśnie oszczędzamy. Odnalazł znów jej usta, które rozchyliły się w następnym, głębszym pocałunku.

Glass objęła go z drżącym uśmiechem i zaczęła rozpinać jego koszulę, wmawiając sobie, że puls przyspiesza mu tylko pod jej dotykiem. Ucałowała go w policzek i powiodła ustami niżej, ku szyi. Zatrzymała się na torsie. Na żebrach miał wytatuowane liczby – dwie daty, które sprawiły, że serce podeszło jej do gardła.

– Coś nie tak? – zapytał, siadając.

Powiodła palcem ku tatuażowi, a potem gwałtownie go

uniosła, bojąc się dotknąć cyfr.

– Co to takiego?

Luke spojrzał w dół.

– Nie mówiłem ci? Chciałem zrobić coś, żeby uczcić pamięć Cartera. Jego głos nagle stał się odległy. – To data jego urodzin... i egzekucji.

Glass spojrzała na drugą linię cyfr i ledwie zdołała powstrzymać drzenie. Nie potrzebowała tatuażu, żeby zapamiętać dzień, w którym stracono Cartera. Ta data wryła jej się w pamięć równie trwale jak tatuaż w skórę Luke'a.

Glass podciągnęła kolana pod brodę i jęknęła. Pościel na jej pryczy była zmiętoszona i mokra od potu. Dręczyło ją pragnienie, ale od kolacji, na którą przynoszono wieczorny przydział wody, dzieliły ją jeszcze całe godziny. Zatęskniła za latami, które spędziła w błogiej nieświadomości, że w całej Kolonii poza „Feniksem” woda jest racjonowana.

Rozległ się niski dźwięk, a po nim kroki. Glass skrzywiła się, unosząc pulsującą bólem głowę z poduszki, i zobaczyła postać w drzwiach. Nie był to strażnik, lecz sam kanclerz.

Podciągnęła się do pozycji siedzącej i odgarnęła z twarzy pasmo mokrych włosów. Utkwiła oczy w człowieku, który kazał ją aresztować, i resztką sił powstrzymała wściekłość. Mimo bólu i wyczerpania nie uważała go tylko za zwierzchnika rady Kolonii, ale przede wszystkim za ojca jej najlepszego przyjaciela.

– Cześć, Glass. – Wskazał gestem drugi koniec pryczy. – Mogę?

Słabo przytaknęła.

Kanclerz usiadł i westchnął.

– Przykro mi bardzo, że tak się sprawy potoczyły. – Wyglądał na bardziej wymizerowanego niż wtedy, gdy umierała jego żona. – Nie chciałem, żeby stała ci się krzywda.

Glass położyła dłoń na brzuchu. Niewiele myśląc, wypaliła:

– To nie mnie stała się krzywda.

Kanclerz zamknął na chwilę oczy i rozmasował dłońmi skronie. Nigdy nie okazywał publicznie frustracji ani zmęczenia, ale Glass kilka razy widziała go podczas pracy w gabinecie, we własnym mieszkaniu.

– Mam nadzieję, że rozumiesz. Nie miałem wyboru. – Jego głos stał się mocniejszy. – Przysięgłem przestrzegać praw Kolonii. Nie mogę przymknąć oka na przestępstwo tylko dlatego, że osoba, która je popełniła, przypadkiem jest najlepszą przyjaciółką mojego syna.

– Rozumiem, że święcie pan w to wierzy – odparła sucho Glass.

Twarz mu stężała.

– Czy możesz mi zdradzić, kto był ojcem twojego dziecka?

– Dlaczego miałabym to zrobić? Żebyście mogli go tu zamknąć razem ze mną?

– Takie jest prawo. – Kanclerz podniósł się i podszedł do niej. – Gdyby ojciec dziecka nie został ukarany w równym stopniu co ty, byłoby to niesprawiedliwe. A poza tym moim śledczym nie zajmie dużo czasu ustalenie na podstawie zapisów ze skanerów siatkówki, gdzie spędzałaś najwięcej czasu. I tak go znajdziemy. Jeżeli jednak nam pomożesz, zwiększysz szanse na ułaskawienie podczas

ponownego procesu.

Patrzyli sobie w oczy, aż Glass odwróciła wzrok, krzywiąc się boleśnie na myśl o aresztowaniu Luke'a. Wyobraziła sobie, jak strażnicy wyciągają go z łóżka w środku nocy, a on z przerażeniem błaga ich, żeby powiedzieli, o co jest oskarżony. Czy zdradziliby mu prawdę, pozwalając, by cierpiał, jeszcze zanim dadzą mu śmiertelny zastrzyk? Czy też umarłby z przekonaniem, że jest ofiarą straszliwej pomyłki?

Nie mogła na to pozwolić.

Kanclerz miał jednak rację. Rada nie spocznie, dopóki nie odnajdzie współnika tej zbrodni. Ostatecznie któryś ze strażników wyśledzi, że najczęściej chodziła na pokład Luke'a – a może nawet do jego mieszkania.

Powoli odwróciła się ku kanclerzowi, wiedząc już, co musi zrobić. Kiedy w końcu przemówiła, jej głos był zimny, jakby ogłaszała wyrok śmierci.

– Ojcem mojego dziecka był Carter Jace.

W korytarzu rozległ się głośny trzask. Usiadła, nasłuchując w ciemności. Poczowała, że w jej piersi wzbiera paniczny strach. Brzmiało to tak, jakby cierpiał cały statek.

– O Boże – wyszeptał Luke, podnosząc się szybko. Dźwięk dobiegł ich znowu, a po nim – następny, tym razem dudniący. Ściany się zatrzęsły. – Chodźmy!

Na korytarzu dalej było mnóstwo ludzi, jednak tym razem dzieci ucichły. Światła zaczęły nierówno mrugać. Luke trzymał ją mocno za rękę, przedzierając się przez tłum

ku sąsiadce. Z posępną miną szepnęła do niego coś, czego Glass nie dosłyszała, ale z miny kobiety wyraźnie wynikało, że nie ma dobrych wieści. Wtedy pojawiła się przy nich inna postać i Glass ostro wciągnęła powietrze.

To była Camille. Mierzyła rywalkę wzrokiem spod przymrużonych powiek.

Glass odwróciła się, niezdolna spojrzeć Camille w oczy. Poczucie winy nie pozwalało jej potępić młodej waldenitki za to, że jej nienawidzi.

Niedaleko grupa dzieci leżała skulona na podłodze tuż koło rodziców, którzy rozmawiali cicho i z przejęciem. Wargi jednej z dziewczynek nabrały siniego odcienia, a chłopiec, którego trzymała za rękę, oddychał z dużym wysiłkiem.

Światła mrugnęły jeszcze raz i zgasły. W nagłej ciemności zabrzmiały okrzyki strachu. Na „Waldenie” nie było świateł awaryjnych tak jak na „Feniksie”.

Luke objął Glass ramieniem i przycisnął bliżej.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptał jej do ucha.

Wtedy jednak przez ciemność dotarł do nich inny głos. Camille podeszła do nich i teraz stała po drugiej stronie Glass.

– Powiesz mu czy ja mam to zrobić? – zapytała cicho, tak by Luke jej nie usłyszał.

Zaskoczona Glass odwróciła ku niej głowę, ale nie mogła dojrzeć jej miny.

– O czym ty mówisz?

– Powinien poznać prawdę. To z twojego powodu

zabito jego przyjaciela.

Glass zadygotała. Nie widziała uśmiechu Camille, ale domyśliła się go po tonie jej głosu.

– Wiem, co ukrywasz. Wiem, co zrobiłaś Carterowi.



# ROZDZIAŁ 35

Clarke

Maszerowali od wielu godzin, zataczając coraz szersze kręgi między drzewami wokół obozu, usiłując zbadać każdy centymetr kwadratowy terenu. Mięśnie nóg Clarke paliły ją ze zmęczenia, ale nie przeszkadzało jej to, wręcz przeciwnie, cieszyła się, że fizyczny ból pozwala zapomnieć chociaż na chwilę o tym, co niedawno przeżyła. Płomienie obejmujące ściany namiotu szpitalnego... Ramiona Wellsa zaciskające się na niej jak kajdany... Okropny trzask, kiedy namiot się zawalił.

– Hej, spójrz tutaj! – Clarke odwróciła się i zobaczyła, że Bellamy klęka niedaleko miejsca, gdzie znalazła wstążkę Octavii, przyglądając się uważnie śladom, które wyglądały jak odciski stóp na mokrej ziemi. Nie potrafiła odczytywać tropów, ale łatwo było się domyślić, że miała tu miejsce walka. Na pewno nie były to ślady zwykłego spaceru po lesie.

– Wygląda, jakby ktoś tu biegł... albo się bił... – rozważała cicho Clarke.

Powstrzymała się od dokończenia: „...zupełnie jakby kogoś tu ciągnięto”. Zakładali, że Octavia uciekła, ale co, jeśli została porwana?

Po zasepionej minie Bellamy’ego poznała, że i jego trapią podobne myśli. Klęknęła przy nim.

– Nie może być daleko – powiedziała z mocą. – Znajdziemy ją.

– Dziękuję. – Bellamy skinął głową. – Bardzo... bardzo się cieszę, że jesteś tu ze mną.

Brnęli przez las. Upływały kolejne godziny, słońce podniosło się, a potem zaczęło zachodzić. Zataczali coraz szersze kręgi i zaczęli zbliżać się do brzegu lasu. Zatrzymali się na skraju polany. Nie była to właściwie polana, bo również rosły na niej drzewa, ale wyglądały inaczej niż te w lesie. Miały grube, sękate pnie i gęste liściaste korony. Gałęzie ugięły się pod ciężarem okrągłych czerwonych owoców – jabłek.

Clarke ruszyła ku jabłoniom, Bellamy szedł tuż za nią.

– Dziwne – zdumiała się na głos. – Drzewa rosną w równych rzędach. To wygląda... prawie jak sad. Podeszła do najbliższej jabłoni. – Czy naprawdę mogły przetrwać przez tyle lat?

Chociaż drzewo wznosiło się wysoko, najniższa gałąź zwieszała się dość nisko. Clarke stanęła na palcach, wyciągnęła dłoń i zerwała jabłko. Obróciła je w dłoni i rzuciła Bellamy’emu, a potem sięgnęła po następne.

Podniosła je do oczu. Te owoce hodowano także na solamych plantacjach Kolonii, ale ziemskie jabłka

wyglądały zupełnie inaczej. Skórka nie była jednolicie czerwona, biegły przez nią różowe i białe pasma, a zapach nie przypominał niczego, co w życiu wąchała. Ugryzła kęs i westchnęła z zachwytem, kiedy sok pociekł jej po brodzie. Jak coś mogło być zarazem tak słodkie i cierpkie? Clarke na chwilę zapomniała o wszystkim, co przeżyła na Ziemi, i poświęciła całą uwagę jabłku.

– Myślisz o tym, co ja? – zapytał Bellamy.

Spojrzała na niego. Podczas gdy ona była zajęta jedzeniem, zaczął mierzyć odległości pomiędzy drzewami, używając opadłych gałęzi.

– Szczerze mówiąc, myślałam tylko o tym, jakie to pyszne! – przyznała Clarke, uśmiechając się ukradkiem.

Bellamy nie próbował się jednak z niej wyśmiewać. Patrzył tylko na rosnące w równych odstępach jabłonie.

– Nie przetrwały kataklizmu ani nie wyrosły w ten sposób same z siebie... – powiedział powoli, z obawą w głosie.

Zanim dokończył zdanie, Clarke wiedziała, co usłyszy. Przerazenie ścisnęło jej serce. – Ktoś je tutaj posadził.

# ROZDZIAŁ 36

Wells

– Tak lepiej?

Wells odwrócił się. Asher, chłopak z „Arkadii”, wskazywał ręką rąbany pień. Trawa usiana była wiórami i drzazgami po poprzednich próbach, ale tym razem cięcie wyglądało obiecująco.

– Dużo lepiej. – Wells skinął głową i klęknął przy pniu, wodząc palcami po szczerbach, które Asher wyciął w drewnie. – Pamiętaj, że wszystkie mają mieć tę samą głębokość, bo inaczej kłody nie będą do siebie pasować. – Wstał i zobaczył nadchodzącego Grahama, który taszczył kawał nadtopionego brezentu na rosnący stos ocalonych zapasów na środku polany. Wells wyprostował się, oczekując drwiny albo ironicznej uwagi, lecz tamten minął go w milczeniu, patrząc prosto przed siebie.

Ogień zniszczył namioty, jednak na szczęście oszczędził większość narzędzi – a także lekarstw. Wells wpadł na pomysł, żeby postawić drewniane chaty. Przedsięwzięcie okazało się tysiąc razy trudniejsze, niż to

opisywano w książkach, ale powoli domyślali się, jak dokończyć budowę.

– Wells! – Podbiegła do nich dziewczyna z „Waldena”.  
– Jak mamy powiesić hamaki? Eliza mówi, że powinny być zaczepione o belki dachu, ale przecież jeszcze go nie ma i przez kilka dni nie będzie, prawda? Myślałam też, żeby...

– Podejdę do was za parę minut, dobrze? – przerwał jej Wells. Odpowiedziała urażonym spojrzeniem. – Jestem pewien, że ty i Eliza znakomicie dajecie sobie radę – dodał, uśmiechając się do niej przyjaźnie. – Zaraz do was przyjdę.

Przytaknęła i odbiegła, okrążając stos stopionych masztów od namiotów, które wciąż wyglądały na zbyt gorące, by ich dotknąć.

Wells obejrzał się i ruszył w kierunku lasu. Potrzebował chwili tylko dla siebie, żeby pomyśleć. Szedł powoli, jakby uczucie ciężkości przesączyło się z serca do nóg i hamowało kroki. Na skraju lasu zatrzymał się, wdychając głęboko chłodne powietrze, i zamknął oczy. To tutaj pocałował Clarke po raz pierwszy na Ziemi – i zdaje się po raz ostatni w życiu.

Myślał, że doświadczył już największego cierpienia – wtedy, gdy nienawidziła go tak, że nie mogła znieść jego widoku. Mylił się jednak. Widok dziewczyny odchodzącej z Bellamym prawie go zabił. Nie spojrziała nawet w jego stronę, kiedy przyszła pozbierać to, co pozostało z jej rzeczy. Skinęła tylko w milczeniu reszcie i poszła za Bellamym do lasu.

Gdyby tylko wiedziała, na co się naprawdę poważyl,

żeby być z nią na Ziemi! Zaryzykował wszystko... I na nic się to nie zdało.

Strażnicy przyjrzeni się pobieżnie Wellsowi, kiedy podszedł do skanera siatkówki, a potem przekroczył próg. Wejście do sektora C14 było ściśle strzeżone, lecz oficerski mundur, zdecydowany krok i dobrze znana twarz gwarantowały Wellsowi wstęp praktycznie do każdej części Kolonii. Nigdy wcześniej nie nadużył swojego statusu, ale gdy podsłuchał rozmowę ojca z wicekanclerzem, coś w nim pękło.

Ułożył więc plan – nieostrożny, głupi i niewiarygodnie samolubny, ale nic go to nie obchodziło. Musiał być pewien, że Clarke zostanie posłana na Ziemię zamiast do komory straceń.

Przebiegł pustym, wąskim korytarzem, którego mrok rozjaśniały tylko światła awaryjne. Nikt nie odwiedzał śluzy pomiędzy rutynowymi kontrolami, a Wells włamał się do pliku obsługi, żeby sprawdzić ich harmonogram. Powinien być całkiem sam.

Śluza w sektorze C14 należała do oryginalnego wyposażenia statku. Mimo wysiłków inżynierów, by utrzymać ją w jak najlepszym stanie, po trzystu latach wystawienia na skrajne temperatury i kosmiczne promieniowanie ultrafioletowe zaczęła szwankować. Na brzegach pojawiły się mikropęknięcia, które łątano błyszczącymi kwadratami nowszego materiału.

Wells sięgnął za pasek i wyciągnął szczypcę. Będzie dobrze, powiedział sobie, ale ręce mu się trzęsły. I tak wszyscy się wkrótce ewakuują. Tylko przyśpieszy ten proces. Gdzieś w głowie cichy głosik

szeptał mu jednak, że łądowników nie wystarczy dla wszystkich. Nie miał również pojęcia, co się stanie, kiedy spróbują ich użyć.

Tym niech się martwi ojciec. Jego to nie obchodziło.

Wyciągnął dłoń ze szczypcami i zaczął podważać skruszałą uszczelkę. Usłyszał słaby syk i skrzywił się. Odwrócił się i pobiegł z powrotem ku schodom, próbując ignorować wzbierające przerażenie. Nie mógł znieść myśli o tym, co właśnie uczynił. Zbiegał schodami, powtarzając sobie: „Zrobiłem to, co musiałem”.

Wells podniósł się ociężale. Słońce chyliło się ku zachodowi, a tyle jeszcze było pracy przy budowie nowych chat! Przed następną burzą musieli skończyć przynajmniej niektóre. Wszedł do obozu, zastanawiając się, czy Clarke wzięła dość koców i czy będzie jej ciepło, kiedy temperatura spadnie. W tym momencie podszedł do niego Asher z nową litanią pytań. Przyniósł jedną z obrobionych belek i oczekiwał opinii na temat rozmiaru i kształtu.

Wells był jednak zbyt pochłonięty własnymi myślami, by słyszeć, co mówi tamten. Gdy tak szli obok siebie ku namiotom, widział jak usta rozmówcy poruszają się, lecz treść jego słów w ogóle nie docierała do jego umysłu.

– Słuchaj... – zaczął, chcąc powiedzieć Asherowi, że wszystkie te sprawy mogą poczekać do rana – i właśnie wtedy coś przemknęło mu przed nosem. Rozległ się przyprawiający o mdłości odgłos uderzenia i arkadyjczyk osunął się na ziemię. Krew płynęła mu z ust wielkimi bąblami.

Wells rzucił się na kolana.

– Asher! – wrzasnął, próbując zrozumieć, co się właśnie stało.

Z szyi chłopaka wystawała upierzona strzała.

W pierwszej chwili pomyślał z wściekłością o Bellamym; tylko on potrafił tak celnie strzelać.

Podniósł się i odwrócił na pięcie z krzykiem, ale nie zobaczył Bellamy’ego. U stóp wzgórza stał szereg postaci, których ciemne sylwetki rysowały się na tle zachodzącego słońca. Sapnął zszokowany i przerażony. Nagle zrozumiał, kto podpalił obóz – i kto porwał Octavię. Nie zrobił tego nikt z nich.

Młodociani przestępcy mogli być pierwszymi ludźmi z Kolonii, którzy postawili stopę na planecie od trzystu lat, ale...

Ktoś inny nigdy nie opuścił Ziemi. Nie byli na niej sami.



## PODZIĘKOWANIA

Jestem niezmiernie wdzięczna Joelle Hobeice za to, że nie tylko wymyśliła założenia fabuły *100*, ale także wspierała mnie swoją wyobraźnią, doświadczeniem redakcyjnym i uporem, oraz Katie McGee, Elizabeth Bewley i Farrin Jacobs, których dociekliwe pytania i inteligentne sugestie wpłynęły na ostateczny kształt tej książki. Dziękuję również onieśmielająco mądrym ludziom z Alloy Entertainment, w tym zwłaszcza Sarze Shandler, Joshowi Bankowi i Lanie Davis, a także pełnym poświęcenia zespołom z wydawnictw Little Brown i Hodder&Stoughton.

Podziękowania należą się moim wspaniałym przyjaciółom z obu stron East River, Gowanus Canal, Mississippi i Atlantyku – za wsparcie i zachętę do pisania. Specjalne pozdrowienia posyłam moim powiernikom i współpiskowcom spod numeru 557 na Broadwayu – załodze księgarni Crossroads, która wprowadziła mnie do świata science fiction, i Rachel Griffiths za to, że zrobiła

o całe lata świetlne więcej, niż do niej należało, pomagając mi dojrzeć pisarsko i redakcyjnie.

Najbardziej ze wszystkich wdzięczna jestem mojej rodzinie – ojcu, Samowi Henry’emu Kassowi, który w swoje dzieła włożył niezrównaną mądrość i wielkie serce; mojej matce, Marcii Bloom, łączącej w swojej sztuce mądrość filozofa z duszą estety; mojemu bratu, Peteyowi Kassowi, który potrafi mnie rozśmieszyć tak, że aż tracę oddech; moim inspirującym dziadkom: Nance, Peterowi, Nicky i Davidowi, i wreszcie całemu klanowi Kassów, Bloomów i Greenfieldów, dzięki którym w tak wielu miejscach czuję się jak w domu.



for: Michael Bisberg

## KASS MORGAN

studiowała na Brown University, a następnie zdobyła tytuł magistra w Oksfordzie. Mieszka obecnie w nowojorskim Brooklynie i pracuje nad trzecią częścią cyklu oraz jako redaktor.

„Mroczna i intrygująca mieszanka *Władcy much*, *W otchłani* i *Igrzysk śmierci*”. **Booklist**

„Morgan połączyła elementy popkultury i polityki tak, by powstała trzymająca w napięciu całość”. **School Library Journal**

„Fani *Igrzysk śmierci* pokochają fabułę tego cyklu, osadzoną w świecie po wojnie jądrowej”. **The Sun**

„(...) łatwo dać się porwać budującej napięcie narracji w stylu *Władcy much* opisującej, jak nastoletni bohaterowie walczą o przetrwanie w surowym środowisku i jak rozwijają się między nimi żarliwe, romantyczne relacje. Raptowny zwrot akcji w końcówce fabuły otwiera drogę do kolejnej części cyklu”. **Publishers Weekly**

# PRZEZ STULECIA NIKT NIE POSTAWIŁ STOPY NA ZIEMI. AŻ DO TERAZ

Trzysta lat po spustoszeniu Ziemi przez kataklizm ludzie mieszkają w stacji kosmicznej, dryfującej z dala od toksycznej atmosfery ojczystej planety. Zasoby kurczą się dramatycznie, dlatego liczebność populacji jest ściśle kontrolowana, a wykroczenia karane śmiercią. Czasu jest jednak coraz mniej. Władze kolonii decydują więc o wysłaniu setki młodocianych przestępców na Ziemię, żeby przekonać się, czy planeta nadaje się do zamieszkania. Czy dla grupy wyrzutków będzie to szansa na nowe życie? A może przeciwnie – pewna śmierć? Zesłańcy lądują na pięknej, dzikiej planecie, gdzie czają się niebezpieczeństwa, o jakich nikomu się nie śniło. W obliczu zagrożenia rodzą się konflikty, mające podłoże w tajemnicach z przeszłości. Dotychczas nikt nie uważał ich za bohaterów, jednak teraz są dla całej ludzkości ostatnią nadzieją na przetrwanie.

Fascynująca, mroźca krew w żyłach dystopia,  
na podstawie której powstał serial *The 100*.

„Jest to powieść naprawdę dobra. Z serialową adaptacją łączą ją wzbudzający sympatię bohaterowie oraz intrygujący klimat, który sprawia, że nie można się od niej oderwać”.

Adam Siennica, naEKRANIE.pl

Patronat  GILDIA.PL  naEKRANIE.PL 

[www.bukowylas.pl](http://www.bukowylas.pl)

Wyłączny  
dystrybutor

